

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

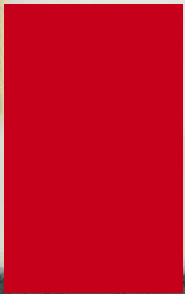


• **Antoni Macierewicz**
buduje nowy mit
• **Opowiadanie** na
ferie Rafała Kosika



**WYSOKIE
OBCASY**
Renata Orłowska
Sama wiem, co dla
mnie dobre

FOT. MACIEK JĄZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Agata Bielik-Robson:

Lgniemy do zwierząt, żeby zbudować normalną relację,
na którą z ludźmi mamy coraz mniej szans

FOT. ANNA MAKSYMILUK

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Wincenty Witos
Polacy widzą w nim
chłopa, a powinni
męża stanu



**Pałac Saski? Jestem
za!** Maciej Janowski:
Tak, powinien zostać
odbudowany

Gdy chodzę po kołędzie,
czuję się jak akwizytor, który
ma świetny towar, ale ci przed
nim zepsuli rynek ►14

Agnieszka
KublikCzego lęka się
prezydent?

Określenie „terror praworządności” to klasyczny oksymoron, taki jak: „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu” z „Sonetów krymskich” Adama Mickiewicza. To połączenie słów o sprzecznym, wykluczającym się znaczeniu, jak właśnie ów „suchy ocean, „zimny ogień” czy „spieszyć się powoli”.

Żaden Mickiewicz z Dudy, ale powiedział w 150. rocznicę urodzin Wincentego Witosa rzecz – jak się wydaje – niezwykle istotną.

– Gdzie jest dzisiaj PSL? Uczestniczy w rządzącej koalicji, która zamyka posłów do więzienia. Mamy obecnie do czynienia z terrorem praworządności. Wincenty Witos nigdy by się na to nie zgodził – przemawiał Duda.

Kto wie, czy nie jest to wręcz najbardziej doniosłe oświadczenie jego prezydentury. Ba, jego dwóch kadencji. Bo cóż nam doniósł Duda? Otóż doniósł sam na siebie. To precedens. Jeszcze nigdy żaden prezydent RP tak otwarcie nie zadeklarował, że jego celem jest przestrzeganie niepraworządności.

Duda przyznał, że lęka się ataku praworządności. To wydało się nawet logiczne – każdy, kto naruszał konstytucję i ustawy, powinien się bać. Duda naruszał. I nie zamierza przestać,

np. nadal się upiera, że mógł w 2015 r. ulaskawić nieprawomocnie skazanych, choć jednocześnie właśnie wszczął procedurę ulaskawieniową. To przecież znaczy, że ulaskawienie z 2015 r. nie ma mocy prawnej, bo by chyba nie ulaskawiał ulaskawionych?

Prof. Adam Strzembosz,

były pierwszy prezes Sądu Najwyższego i przewodniczący Trybunału Stanu, przewodniczący Krajowej Rady Sądownictwa, doliczył się u Dudy aż 13 naruszeń Konstytucji RP. To m.in. ulaskawienie Kamińskiego i Wąsika, odmowa przyjęcia przysięgi od dwóch prawidłowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego, powoływanie na stanowiska sędziów TK dublerów.

Razem z Dudą „terroryzmem praworządności” powinni czuć się zagrożeni Kamiński, Wąsik...

I to by się raczej zgadzało. Kamiński i Wąsik przecież dostali schronienie od Dudy w Pałacu Prezydenckim. Duda twierdzi, że to „krystalicznie czyści” posłowie. W praworządnym państwie skazani prawomocnym wyrokiem nie mogą być posłami na Sejm, a praworządnemu prezydentowi do głowy by nie przyszło, by przestępcom dawać schronienie przed więzieniem.

A może to był lapsus? Może Duda się przejęczył? Może chciał powiedzieć o „terroryzmie niepraworządności”? I to może mieć jakiś sens. Bo przecież Duda nadal jest przekonany, że miał prawo nie zaprzysięgać legalnie wybranych sędziów TK i jednocześnie zaprzysięgać tych wybranych nielegalnie. A to kwestionuje nowa władza.

Ach, gdyby tak Duda wreszcie chciał uprawiać „terror praworządności”. ●

Andrzej rysuje

Czy psy mają duszę
Siostry mniejsze

FOT. SUSANA VERA/REUTERS

Jak co roku 17 stycznia w Madrycie z okazji Dnia św. Antoniego w kościele pod jego wezwaniem odbyło się święcenie i błogosławienie zwierząt. Ojciec Valentin Bravo i ojciec Anioł kropią Nicoletę, Sofi, Irę i Ninet.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez cały weekend *

GP67KA2

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 20–21.01.2024 r.

Mariusz
Szczygieł:

Złotoryja była mi kulą u nogi – dlaczego? Usłyszmy w podcaście „Moja odwaga” Agnieszki Jucewicz na Wyborcza.pl

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

100. urodziny Benny’ego Hilla
Koniec żartów

Televizyjny show Benny’ego Hilla, komika, który 21 stycznia skończyłby 100 lat, przez dziesięciolecie oglądały miliony osób na całym świecie. A dziś młodzież się dziwi, jak można było się z tego śmiać.

„The Benny Hill Show” pojawiał się regularnie od 1962 do 1968 w BBC, potem – do maja 1989 – w ITV. Każdy odcinek był niemal identyczny: kilka krótkich scenek satyrycznych, wesoła piosenka i skecze, w których komik uganiał się za pięknymi kobietami. Dla mającej prawa do programu stacji Thames Television Benny Hill zarobił ponad 100 milionów funtów.

„The Benny Hill Show”, prócz rubasznego humoru i klepania starszego pana po głowie, wyśmiewał też



FOT. RICARDO LIBERATO/CC BY-SA 2.0

purytanizm Brytyjczyków, niewydolność służby zdrowia czy głupotę kina rozrywkowego. Ale z roku na rok rosła krytyka wobec jego „żartów” z kobiet. A jednak z programu na program pojawiała się coraz więcej scen, w których coraz starszy pan obmacywał dziewczynę, za co dostaje w twarz, a potem wszyscy biegają w kółko w rytm saksofonowej melodii „Yakety Sax”.

W październiku 1985 roku tancerka Stefanie Martin oskarżyła Hilla o zmuszanie jej do erotycznego tańca w zamian za występ

w jego programie. Pojawiły się o skarżenia kolejnych kobiet. W maju 1989 roku program został zdjęty z anteny. Komik próbował sił w USA, podupadł na zdrowiu. Zmarł trzy lata później na zawał. Został odnaleziony w swoim mieszkaniu dopiero po kilku dniach.

W 2022 roku jedna z brytyjskich telewizji kupiła prawa do emisji 40 odcinków programu Hilla. Protesty zaczęły się już po emisji drugiego odcinka. Najczęstszym zarzutem widzów był już nie tyle „seksizm”, ile zwykła „straszność”. ●

Tomasz Jakubowski

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Babcia
w tatuażach

Moje córki od początku wiedziały, jaką będę babcią. Że nie powiem: „Nie wynajmujcie niani, nie bierzcie nikogo do pomocy, ja się zajmę dziećmi!”

Monika Redzisz wysłuchała opowieści o układaniu relacji z dorosłymi dziećmi i wnukami



Top 2
Najważniejsze wydarzenia

Piątek

Frankenstein wiecznie żywy

1 I my możemy obejrzeć obsypane złotem (Złoty Lew i Złoty Glob) „Biedne istoty” Giorgosa Lanthimosa (od piątku w kinach). Wybitny grecki reżyser w spektakularny sposób reinterpretuje mit Frankensteina i dodaje autorski głos do odwiecznej dyskusji o wpływie natury i kultury na człowieka. W rolach głównych Emma Stone i Willem Dafoe.



FOT. 2023 20TH CENTURY STUDIO, KUBA ATYS

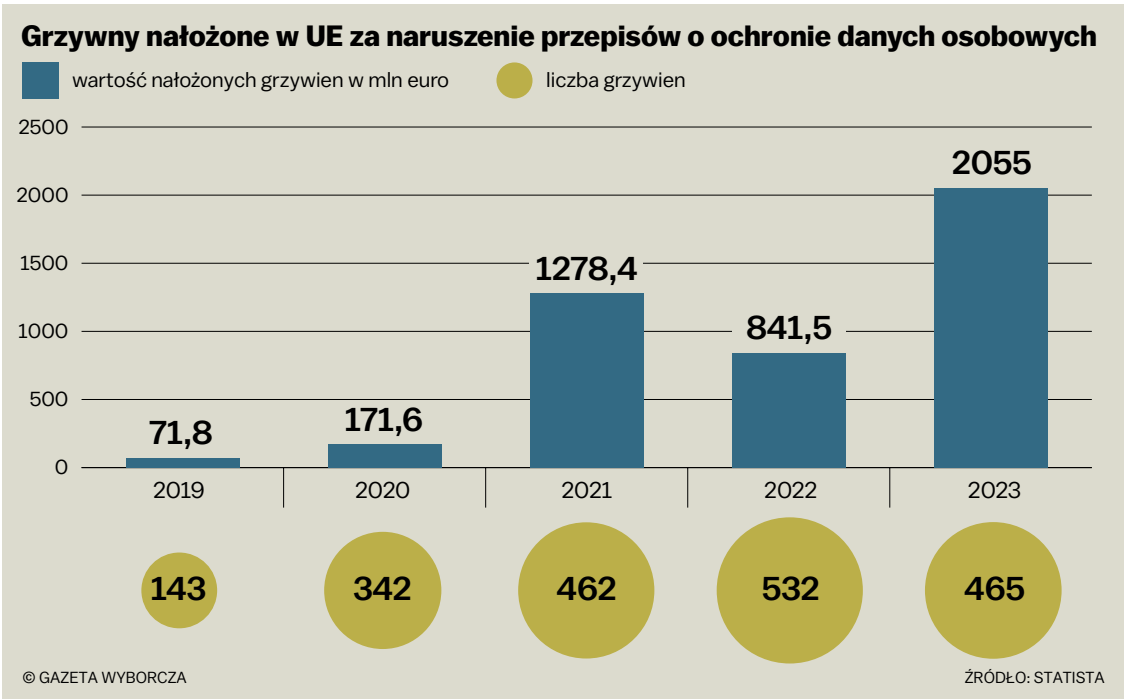
Niedziela

Najcieplejsza orkiestra

2 Znów tysiące wolontariuszy będą zbierać pieniądze do tekturowych puszek, a w internecie już trwają setki aukcji. Można np. wygrać współprowadzenie „Teleexpressu” z Maciejem Orłosem, który powrócił do TVP. 32. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy odbędzie się 28 stycznia. W tym roku gra pod hasłem: Płuca po pandemii.



Wykres dnia
Nasze dane rekordowo cenne



Grzywny za naruszenie rozporządzenia o ochronie danych osobowych (RODO) w 2023 r. osiągnęły w Unii Europejskiej rekordową wysokość ok. 2,1 mld euro. To więcej niż łącznie w latach 2019-21. Największą karę – 1,2 mld euro – nałożono na spółkę Meta (Facebooka) za niezgodne z prawem przesyłanie danych do USA.

Rozmywanie rzeczywistości

Prawo jest tylko jedno

Nie dajmy się oszukać fałszywym interpretacjom przepisów serwowanym nam przez PiS i jego propagandystów

Zakrzewski



Termin „dualizm prawny” pojawia się dziś w wielu tekstach i wypowiedziach komentatorów i ma oznaczać, że efektem ośmiu lat rządów PiS jest powstanie w Polsce drugiego, alternatywnego systemu prawnego.

Nie dajmy się oszukać, w Polsce nie istnieje żaden dualizm prawny. Nie z nim się zmagamy, tylko z fałszywymi interpretacjami prawa utwardzanymi przez równie fałszywe instytucje. Przykładem może być Trybunał Julii Przyłębskiej, który stał się zakładem usług prawnych mających legitymizować destrukcyjną działalność prezesa Kaczyńskiego. Ma on zapewnić gwarancję bezpieczeństwa wykonawcom bezprawnych działań PiS-owskiej władzy.

Dziś wciąż zadajemy sobie takie pytania: czy minister Bodnar miał prawo odwołać prokuratora krajowego? Czy minister Sienkiewicz mógł postawić w stan likwidacji spółki mediów publicznych? Czy Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik są nadal posłami i czy orzeczony wobec nich wyrok jest prawomocny? Czy prezydent naprawdę ułaskawił ich 16 listopada 2015 r.?

Tych pytań jest mnóstwo, można się w nich pogubić. Pada na nie wiele różnych odpowiedzi, a przecież prokurator Dariusz Barski nigdy nie był prokuratorem krajowym, skoro został błędnie powołany. Sienkiewicz mógł użyć takiej ścieżki, aby przywrócić media publiczne społeczeństwu. Posłowie Kamiński i Wąsik zostali skazani w dru-



giej instancji przez niezależny sąd i automatycznie utracili mandaty. A prezydent nie mógł ich w 2015 r. ułaskawić, bo nie byli prawomocnie skazani.

Niby proste, ale politycy PiS-u i ich „eksperci” udzielają innych odpowiedzi, często podpierając się przy tym Trybunałem Przyłębskiej.

Powstaje bałagan i byśmy coś z tego zrozumieli, używa się, jak wytrychu, pojęcia dualizmu prawnego. Nie jest to obiektywny instrument analityczny, niczego nie rozjaśnia – wręcz przeciwnie: powoduje chaos. W tym celowo wywoływanym bałaganie przestępcy stają się bohaterami, prezydent „podręcznikowo ułaskawia” swoich politycznych kolegów, wyroki sądu nie są wyrokami, a bezprawnie nominowanego urzędnika państwowego chroni przed usunięciem ze stanowiska głowa państwa itd.

Nie ma w Polsce czegoś takiego jak dualizm prawny. Nie ma dwóch systemów prawa. Jest prawo i bezprawie. Tłumaczył to na naszych łamach prof. Mirosław Wyrzykowski, wybitny prawnik, sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku: „Mamy jeden po-

Prezydent Duda celowo miesza w głowach obywateli, chce, aby przyjęli fałszywe rozumowanie, że wszystkie ruchy ministrów Sienkiewicza czy Bodnara to działania terrorystyczne

rządek prawny. W tym porządku prawnym mamy elementy, które są nieprawne. W tym znaczeniu, że pewne rozwiązania i koncepcje przybrały szatę ustawy. Przebrały się za ustawy. Jest to szata nie tyle fałszywa, ile przezroczysta, przez którą wyraźnie widoczna jest ich niezgodność z konstytucją”.

A ustawy muszą być zgodne z konstytucją, bo jak nie są, nie mogą być uznane za prawo – podkreślił profesor.

Mówienie o dualizmie prawnym jest rozmywaniem rzeczywistości i wpisuje się w opowieść, którą serwuje nam obóz Kaczyńskiego. Próbuje on przekonać obywateli, że rządy w Polsce prze-

jęli barbarzyńcy z obcego plemienia. PiS-owskie media i politycy z Kaczyńskim i prezydentem Andrzejem Dudą na czele wbijają nam codziennie do głowy, że Donald Tusk (najeźdźca sterowany z Berlina) ze wsparciem Unii Europejskiej (również stamtąd sterowanej) zabierze nam suwerenność, wprowadzi autorytarne rządy i pogrzebie demokrację. Komentują tak wszystkie działania rządu zmierzające właśnie do odbudowy demokracji.

W minioną niedzielę w Wierchosławicach Andrzej Duda przestrzegał rządzących przed tym, „do czego prowadzi arogancja władzy i poczucie bezkarności”, a działania koalicji rządzącej określił mianem „terroru praworządności”. Prezydent celowo miesza w głowach obywateli, chce, aby przyjęli to fałszywe rozumowanie, że wszystkie ruchy ministrów Sienkiewicza czy Bodnara to działania terrorystyczne. Wtórąją mu PiS-owscy publicyści, którzy nazywają obecną władzę koalicją 13 grudnia (zbitka ze stanem wojennym), a tłum manifestantów krzyczy pod Sejmem: „Ruda wrona (to Tusk) orla nie pokona” (młodszy czytelnikowi wyjaśnię, że wrona to skrót instytucji stanu wojennego – Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego).

To mącenie ma wzmocnić przekonanie o obcości tej władzy. Ma osłabiać jej legitymację wyborczą i prowadzić do wniosku, że rząd Tuska to grupa terrorystów reprezentujących Berlin, która spadła na Polskę, by zniszczyć demokrację i wybić tych, co jej bronią.

Mozolne przywracanie reguł państwa prawa nie jest niszczeniem demokracji – jak twierdzi obóz Kaczyńskiego – tylko jej obroną. Nie można wierzyć tym, którzy wczoraj niszczyli konstytucję, a dziś używają jej jako tarczy dla własnych bezprawnych postępów. ●

Rafał Zakrzewski

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bezradny PiS

APARAT
WPANICEW działaniach Jarosława Kaczyńskiego
nie widać spójnego planu.

Dominika Wielowieyska

Ider Zjednoczonej Prawicy ponosi klęskę za klęską. PiS za pomocą ustaw, często niezgodnych z konstytucją, zaminował państwo, aby utrzymać wpływy w kluczowych instytucjach – ale to się nie udaje. Aparat partyjny jest przerażony, bo działacze tracą posady, pieniądze i poczucie bezpieczeństwa. Widząc Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika za kratami, pytają: co poszło nie tak i kto będzie następny?

Ta panika grozi dezintegracją obozu Kaczyńskiego, bo nic nie wskazuje na to, że prezes PiS ma plan na przyszłość. Co gorsza, jego konflikt z Andrzejem Dudą utrudnia budowanie jednolitego frontu.

Prezes PiS wierzył, że koalicja rządząca nie będzie w stanie odbijać poszczególnych instytucji, bo każda taką próbę zablokuje prezydent. Kaczyński zakładał, że zaplecze koalicji nie zgodzi się na radykalne kroki, które omijają Dudę i budzą wątpliwości prawne. Rozumował tak: Ja mogę iść na rympał, bo moi ludzie nawet nie jęką, ale Tusk ma koalicjantów, którzy będą kręcić nosem.

Mylił się. Nie rozumiał, że obrzydzenie i oburzenie tym, co PiS robił przez osiem lat, osiągnęły apogeum. Społeczeństwo mając do wyboru: zgniliznę i systemowe bezprawie albo ryzykowne decyzje, które odechną PiS od kluczowych instytucji, wybrało to drugie. Koalicjanci Tuska wiedzą, że takie nastroje dominują.

Dotąd Kaczyński umacniał swój wizerunek lidera partii, która nie da zrobić krzywdy swoim działaczom, choćby nie wiem, jakie grzechy popełnili. Dlatego czuli się bezkarni i brali państwowe pieniądze pełnymi garściami. Myśleli: Nasze są prokuratura, Trybunał Konstytucyjny i część Sądu Najwyższego. Co nam mogą zrobić?

Izba Kontroli i Spraw Publicznych SN miała strzec interesów PiS i chronić działaczy przed odpowiedzialnością karną. Prokuratura Krajowa miała blokować śledztwa wymierzone w PiS i podkreślać te dotyczące nowej władzy. TVP miała uderzać w rząd i partie koalicyjne, a jednocześnie promować PiS. Tymczasem po kolei te bastiony padają.

● PiS stracił TVP; pracownicy TVPiS nie okupują już studia na placu Powstańców. Opuścili je, bo telewizja, jako państwowa spółka, mogła zażądać od nich ogromnego odszkodowania.

● Minister sprawiedliwości Adam Bodnar usunął ze stanowiska prokuratora krajowego Dariusza Barskiego. Mimo wcześniejszych sugestii prokuratorzy Zbigniewa Ziobry nie podjęli okupacji siedziby prokuratury. Będą alarmować o chaosie i łamaniu prawa, ale wcześniej czy później wszyscy o nich zapomną, a sytuacja się uspokoi.

Największą porażką Kaczyńskiego jest to, że Kamiński i Wąsik są w więzieniu. Ma to wymiar symboliczny, bo obaj czuli się całe lata bezkarni. Uważali się za panów życia i śmierci zwykłych śmiertelników – jednych mogli strącać w przepaść, innych ratować. Wszystko ozdabiali sloganami o walce z korupcją. A teraz siedzą...

Państwo jest sprawcze, nie ugina się przed lamentami, tylko wypełnia wyroki sądu. Kaczyński sądził, że z obawy przed buntem społecznym nikt nie odważy się tknąć jego ludzi. Ale się przeliczył. I nikt w PiS nie może się czuć bezpieczny, bo Nowogrodzka straciła kontrolę nad policją, służbami, mediami państwowymi i prokuraturą. A neo-sędziowie w Sądzie Najwyższym i członkowie Trybunału Julii Przyłębskiej, choć dwójka się i trojka, wydając kuriozalne orzeczenia, nie są w stanie zatrzymać rozliczeń.

Każdy działacz – w centrali czy w terenie – zadaje sobie pytanie: Co ze mną? Czy ka-

żą mi oddać pieniądze, które uszczknąłem z państwowego?

Dociera do nich, że Kaczyński już ich nie ochroni. Środowe aresztowanie przez CBA byłego wiceministra spraw zagranicznych Piotra W., jednego z bohaterów afery wizowej, takie przekonanie umacnia.

Przed wyborami parlamentarnymi podśmiewywano się z szefa gabinetu prezydenta Marcina Mastalerka, że doradził Andrzejowi Dudzie podpisanie ustawy ds. zbadania wpływów rosyjskich, która miała wyeliminować Donalda Tuska z życia politycznego. Ale nie dość, że była fikcją, to jeszcze pozwoliła Tuskowi zmobilizować antypisowski elektorat, który stawiał się 4 czerwca zeszłego roku na wielkim marszu w Warszawie.

Teraz Mastalerek w Radiu ZET próbował odegrać się za te kpiny. Mówił, że PiS powinien dobre wino posłać Tuskowi, bo zamknięcie Wąsika i Kamińskiego zmobilizowało elektorat PiS i zapewniło frekwencję w zeszłotygodniowej demonstracji. Frekwencja była niezła, jednak na dłuższą metę nie ma to znaczenia. Mężczyństwo jest teatralne, bo w każdej chwili mogliby wyjść z więzienia.

Gdyby prezydent rzeczywiście chciał wypuścić obu polityków, mógł to zrobić natychmiast. Wybrał jednak procedurę ulaskawieniową, by przerzucić odpowiedzialność na ministra Bodnara. Żony uwięzionych polityków – Barbara Kamińska i Romualda Wąsik – podczas wizyty u Dudy głośno domagały się ich zwolnienia. Ale gdy Justyna Dobrosz-Oracz z „Wyborczej” zapytała pierwszą z nich, dlaczego nie poprosi prezydenta, by ulaskawił jej męża od razu, milczała.

Plan był zresztą inny: obaj skazani mieli się ukryć w Pałacu Prezydenckim, a po dwóch dniach pójść stamtąd prosto na demonstrację PiS. Dopiero tam miała ich za-

trzymać policja. PiS liczył, że dojdzie do rozróby, w świat pójdą obrazki, jak funkcjonariusze przeganiają, a może nawet biją ludzi, by złapać Wąsika i Kamińskiego. A jak już obaj zostaliby zatrzymani, Duda natychmiast by ich ulaskawił. Wtedy pojawiliby się w Sejmie, by wepchać się na salę obrad. Awantura wybuchłaby więc na nowo.

Jednak Tusk ograł PiS w tej sprawie, bo wiedział, że każda oznaka słabości zostanie przez Kaczyńskiego wykorzystana bez skrupułów.

Szokiem musiało być dla Nowogrodzkiej to, że Służba Ochrony Państwa z Pałacu Prezydenckiego pomogła policji zatrzymać skazanych. Jednych oburzyło to, że policja weszła do siedziby głowy państwa, a innych, że prezydent skrył pod swoim dachem skazanych prawomocnym wyrokiem przestępców.

Nie ma wątpliwości, że to Kaczyński wciągnął Dudę w ten cyrk. Prezydent mógł zachować autonomię i krytyczny dystans do rządu, a jednak dołączył do korowodu przegranych, którzy pokrzykują, grożą palcem, ale nic nie mogą zrobić. Kaczyński chciał, by Duda wystąpił na ubiegłotygodniowej demonstracji w obronie Wąsika i Kamińskiego. Jednak prezydent miał dość firmowania porażek PiS i nie pojawił się na niej.

Nowogrodzka dostała szału, gdy podległy prezydentowi szef BBN Jacek Siewiera stwierdził w TVN 24, że zatrzymanie Wąsika i Kamińskiego odbyło się zgodnie z prawem. Potem – zapewne zrugany przez prezydenta – próbował odkręcić swoje słowa w portalu wPolityce.pl.

Prezes był zły na Dudę także dlatego, że decyzję o rozpoczęciu procedury ulaskawieniowej Wąsika i Kamińskiego ogłosił jeszcze przed demonstracją. Jego decyzja osłabiła na niej temperaturę tego zgromadzenia.

Teraz Nowogrodzka uważa, że prezydent powinien szybko ulaskawić obu polity-

ków, żeby mogli stawić się w Sejmie. Jednak Duda wciąż się upiera, że jego ulaskawienie z 2015 roku po wyroku I instancji jest w mocy. Ponowne zastosowanie prawa łaski było by więc przyznaniem się do błędu.

Efekt jest taki, że Kamiński i Wąsik wciąż siedzą, choć nie muszą. A PiS jest bezradny. I jest to na rękę koalicji rządzącej. To nie Tusk sprawił, że siedzą w celi, lecz niezawisłe sądy.

Nie brak głosów, że minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar – by obniżyć napięcie – powinien się zgodzić na szybkie uwolnienie obu polityków. Oczywiście warto tonować nastroje, ale taki manewr żadnej deeskalacji nie przyniesie. Wąsik i Kamiński przyjdą pod drzwi sali plenarnej Sejmu, żeby się awanturować. A Duda nie będzie kontynuował procedury ulaskawieniowej, śmiejąc się Bodnarowi w twarz.

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia po wyroku sądu II instancji mógł stwierdzić automatyczne wygaszenie mandatów obu skazanych polityków i natychmiast dezaktywować ich karty poselskie. Postanowił jednak zachować się elegancko i wcześniej doręczyć im decyzje. Jednak Wąsik i Kamiński pocztą nie odbierali, a gdy podczas obrad komisji sejmowej dokumenty dostarczył im Stanisław Zakroczyński, szef gabinetu marszałka, potraktowali go jak powietrze. Kamiński zjawił się na sali sejmowej i triumfalnie pokazał gest Kozakiewicza.

I taki jest wyłącznie efekt prób deeskalacji napięcia.

PiS uparcie twierdzi, że obaj politycy są krystalicznie uczciwi, zasłużeni, a jedyne, co robili, to ścigali korupcję. Wielu wyborców i polityków PiS w to wierzy, ale jednocześnie wiedzą, że Duda mógłby w każdej chwili ich uwolnić, a to bardzo osłabia moralne wzmożenie.

Wąsik i Kamiński przekroczyli swoje uprawnienia, fałszowali dokumenty, lecz przede wszystkim – wykorzystując machinę państwa – zastawili pułapkę na Andrzeja Leppera. Chcieli zniszczyć lidera Samoobrony, bo stała się ona ciężarem dla PiS. Wykorzystywanie służb do eliminowania konkurentów politycznych nie może pozostać bez kary. Każdy może się stać ofiarą tak działających służb, a użycie szpiegującego Pegasusu tylko to potwierdza. Znow doszło do inwigilacji oponentów PiS-u, co do których nie było cienia podejrzenia, że popełnili jakieś przestępstwo. Materiał z inwigilacji po cichu dostarczano pisowskim mediom, aby dokończyły dzieła zniszczenia.

W śróde została powołana komisja śledcza ds. Pegasusu, rozliczenie tych działań przed nami. Nawet jak Kamiński i Wąsik wyjdą z więzienia, czeka na nich więc jeszcze wiele trudnych pytań.

PiS nie ma planu, który ratowałby go przed kolejnymi porażkami. A ludzie z partyjnego aparatu wiedzą, że gdy Duda zakończy kadencję, ich sytuacja może być gorsza od tej, w jakiej są dziś Kamiński i Wąsik. Kaczyński zdaje sobie sprawę z tego, że jego obozowi grozi dezintegracja. Członkowie PiS będą szukać ratunku gdzie indziej.

Otoczenie Kaczyńskiego stara się robić dobrą minę do złej gry; rozgłasza po Sejmie, że w koalicji są napięcia, bo nie wszystkim podoba się akcja w TVP czy usunięcie prokuratora krajowego. Wśród polityków koalicji wywołuje to tylko śmiech.

Decyzje ministrów – szczególnie w sprawie TVP i prokuratora krajowego – budzą prawne wątpliwości nie tylko PiS, lecz również niektórych ekspertów i komentatorów. Wobec groźby weta prezydenta koalicja omija pułapki zastawione przez PiS i oczywiście lepiej byłoby przywracać porządek za pomocą ustaw, a nie decyzji administracyjnych, które są krytykowane, lecz Tusk uważa, że nie ma wyjścia, gdyż każda inna strategia oznaczałaby oddanie pola Kaczyńskiemu i dalszą destrukcję państwa.

Premier podkreśla: każda nasza decyzja będzie weryfikowana przez sąd i jeśli uzna

on, że się myliliśmy, to my się wyrokom podporządkujemy (pamiętajmy, że PiS wyroków niekorzystnych dla siebie nie uznaje). Dobrze to brzmi z punktu widzenia praworządności, ale też jest sprytnym zabiegiem politycznym: na rozstrzygnięcia sądów trzeba będzie poczekać, tymczasem PiS już został wyrzucony z nernalgicznych punktów struktur państwa.

Wyborcy Koalicji 15 Października mają poczucie, że nowa władza jest sprawcza. Nie można jednak wykluczyć, że sądy rzeczywiście kiedyś uznają, iż niektóre decyzje są pozbawione podstaw prawnych.

Tusk zdaje sobie sprawę z tego, że protesty PiS w sprawie TVP czy prokuratora krajowego mają niewielką siłę rażenia. PiS jest bowiem ostatnią partią, która ma prawo rozliczać kogokolwiek z takich działań. W ciągu ośmiu lat rządów Kaczyński nie oglądał się przeciw na konstytucję. Zignorował wyrok legalnego jeszcze Trybunału Konstytucyjnego i nakazał, by nie drukować jego orzeczenia.

Największą porażką Kaczyńskiego jest to, że Kamiński i Wąsik są w więzieniu. Ma to wymiar symboliczny, bo obaj czuli się bezkarni. Uważali się za panów życia i śmierci zwykłych śmiertelników

Tusk słusznie zakłada, że większość społeczeństwa nie interesuje się niuansami prawnymi. Nikogo specjalnie nie zajmuje to, czy Dariusz Barski skutecznie przeszedł ze stanu spoczynku w stan czynny i czy w związku z tym prezydent ma prawo blokować jego usunięcie ze stanowiska. Albo czy minister kultury jako właściciel TVP miał podstawy prawne, by zmienić jej władze, czy ich nie miał. Część elit, nie wspominając o reszcie społeczeństwa, nie ma ochoty śledzić prawniczych dysput. O ocenie sytuacji decydują dziś emocje: kto jest za PiS, kto przeciw.

Zwyczajna zdroworozsądkowe poczucie, że wobec zniszczenia wielu instytucji przez PiS należy nowej ekipie dać kredyt zaufania, by spróbowała przywrócić porządek i cywilizowane zasady funkcjonowania państwa.

Przekaz PiS, że przed 2015 rokiem Platforma Obywatelska podporządkowała sobie prokuraturę, był całkowicie fałszywy. To przecież ówczesna koalicja PO-PSL uchwaliła ustawę rozdzielającą stanowiska ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Zgodnie z wprowadzonymi zasadami kandydatów na to drugie stanowisko proponowały środowiska prokuratorskie, a ostateczną decyzję podejmował prezydent.

W marcu 2010 roku Lech Kaczyński powierzył tę funkcję jednemu ze wskazanych kandydatów, Andrzejowi Seremetowi. Zgodził się tylko z jednego powodu – Seremet musiał wziąć na swoich zastępców ludzi korżonych z PiS. Jednym z nich był Robert Hernand, o którym wszystko można powiedzieć, ale nie to, że działał pod dyktando PO. Dziś Hernand, współtwórca zdemoralizowanego układu w prokuraturze, który chroni polityków PiS, broni Dariusza Barskiego.

Spora część społeczeństwa to pamięta i stąd również bierze się kredyt zaufania dla

Koalicji 15 Października. Ale nie jest on bezwarunkowy. Minister Bodnar musi przedstawić projekt, który sprawi, że prokuratura będzie prowadzić niezależne śledztwa, także w sprawie polityków obozu rządzącego.

Decyzje rządu Tuska, nawet te najbardziej kontrowersyjne, nie zmieniają nastawienia wyborców koalicji. Była pisowska marszałkini Sejmu Elżbieta Witek stwierdziła niedawno, że są oni zszokowani postępowaniem rządzących. Otóż nie są.

Różne sondaże – czy to w sprawie TVP, czy zamknięcia Wąsika i Kamińskiego – pokazują mniej więcej ten sam rozkład opinii. Ponad połowa badanych uważa, że za kolejne awantury odpowiada PiS, a Kamiński i Wąsik powinni zostać w celi. Tylko jedna trzecia lub jedna czwarta – czyli mniejszość – jest zdania, że koalicja rządząca jest winna wszystkiemu, a politycy PiS powinni być na wolności. Reszta nie ma zdania. Większości więc decyzje rządu się podobają.

Natomiast sondaże preferencji partyjnych są dla PiS coraz gorsze. Wzmacnia się

Trzecia Droga, a Koalicja Obywatelska dogania partię Kaczyńskiego. Wyborcy odpływają od przegranych, to naturalny proces. Gdyby dziś odbyły się wybory, koalicja rządząca miałaby szansę na większość przelamującą prezydenckie weto. Dlatego wątpliwe, by PiS planował przyspieszone wybory.

Zresztą taki plan nie miałby szans realizacji, bo przyspieszone wybory byłyby możliwe, gdyby koalicja rządząca nie zdołała prezydentowi przedstawić na czas budżetu do podpisu. Tymczasem w czwartek Sejm uchwalił ustawę budżetową, Senat przyjmie ją zapewne bez poprawek i tak wszystkie wymagane konstytucją terminy będą dotrzymane.

Cokolwiek byśmy myśleli o działaniach Tuska, jedno jest pewne: wszystko, co dziś robi, zapowiadał w kampanii. Mówił, że będzie podejmował decyzje administracyjne po to, aby przywrócić porządek. Że będzie realizował wyroki sądów tylko prawidłowo obsadzonych. Obiecywał też radykalne kroki w sprawie uzdrowienia NBP czy Trybunału Julii Przyłębskiej. Jednak w tych sprawach ostatnio złagodził ton. Wygląda na to, że koalicja postawiła na pewne priorytety, ale chce ograniczyć liczbę awantur. Trybunał Przyłębskiej jest więc raczej ignorowany niż zwalczany. Podobnie z Krajową Radą Sądownictwa czy NBP.

Jednocześnie z mediów społecznościowych Tuska płynie pozytywny przekaz. Na platformie X premier chwali się, że 800+ płynie do rodzin, a granica polsko-ukraińska została odblokowana.

Kaczyński zdaje sobie sprawę z tego, że obstrukcja prac parlamentu nie przyniesie mu korzyści. Zresztą słynna blokada mównicy przez opozycję w 2016 roku też nie dała jej sukcesów. Dlatego PiS nie bardzo wie, co robić. Wtorkowa akcja w Sejmie, gdy posłowie poklaskali

i pokrzyczeli „uwolnić posłów”, a potem odśpiewali hymn, była mało dotkliwa. Nie zapominajmy też, że absencja na posiedzeniach i głosowaniach to mniejsze pieniądze dla posłów. Poświęcenie dla partii ma swoje granice.

Na razie nie widać więc pomysłu na ofensywę. Tusk stawia posłów opozycji przed faktami dokonanymi, więc klub pogrąża się w wielkiej smucie. Od dna PiS miał się odbić podczas debaty nad wotum nieufności wobec ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza. Zyskał wiatr w żagle, bo referendarz odmówił wpisania do Krajowego Rejestru Sądowego rady nadzorczej TVP, którą wskazał minister. Ale to już nie ma znaczenia, bo teraz TVP jest postawiona w stan likwidacji i bardziej aktualne pytanie brzmi: czy likwidator zostanie wpisany do KRS.

PiS chciał te wątpliwości wykorzystać, lecz Sienkiewicz był dobrze przygotowany i uderzył w wysokie tony: przywołał postać zamordowanego Pawła Adamowicza i Mikołaja Filiksa. Adamowicza TVPiS regularnie niszczyła. I to media państwowe ujawniły wystarczająco dużo danych, by można było zidentyfikować ofiarę pedofila, syna posłanki KO, który później popełnił samobójstwo.

Przemówienie Sienkiewicza położyło opozycję na łopatkę, a Tusk tylko przypieczętował nokaut. Pisowcy zresztą sami się podłożyli: o niewiarygodnych zarobkach w TVPiS już wiedziliśmy, ale w dniu debaty wyszło na jaw, że propisowscy komentatorzy brali za krótki występ po 500 zł, a rekordziści zarabiali nawet 300 tys. zł rocznie. Partia Kaczyńskiego nie miała na to odpowiedzi. Debata o wotum nieufności nie przyniosła jej żadnych politycznych korzyści.

Telewizja pod rządami PiS nie budziła entuzjazmu także w części obozu Kaczyńskiego. Dał temu wyraz prezydent Duda na zamkniętym spotkaniu Rady Mediów Narodowych. Mówił o tym w Radiu TOK FM Marek Rutka rekomendowany do Rady przez Lewicę. Krytycznie o TVPiS prezydent wyrażał się również podczas rozmów z Tuskiem, o czym premier wspomniął w trakcie wtorkowej debaty.

Kolejną porażką PiS było głosowanie nad odwołaniem z funkcji wicemarszałka Sejmu Krzysztofa Bosaka z Konfederacji. Wniosek złożyła Lewica. Uznała, że Bosak nie odciął się od Grzegorza Brauna, który w grudniu zniszczył w Sejmie gaśnicą świecę chanukowe.

Władze PiS postanowiły głosować za wyrzuceniem Bosaka. Kalkulacja była taka: Konfederacja, zamiast grać razem z PiS, układa się z rządzącymi, więc trzeba ich pognać. Poza tym, jak Koalicja 15 Października zostawi Bosaka na stanowisku, to będzie można mówić w Parlamencie Europejskim, że toleruje antysemitów.

Tymczasem na posiedzeniu klubu parlamentarnego PiS doszło do buntu. Spora część posłów nie chciała głosować przeciwko Bosakowi, ponieważ postrzega Konfederację jako najbliższą sobie partię i obawia się totalnej izolacji. Szef klubu PiS Mariusz Błaszczak chciał wprowadzić dyscyplinę klubową, lecz przestraszył się, że głosowanie pokaże pęknięcie w klubie. Aby ratować się przed klęską, znalazł pretekst: PiS zażąda powołania Elżbiety Witek na wicemarszałka Sejmu, a jak Hołownia się nie zgodzi na taki wniosek, to PiS nie weźmie udziału w głosowaniu. I ostatecznie nie wziął.

W rezultacie Bosak się uratował. Gdyby wszyscy posłowie Zjednoczonej Prawicy głosowali, to jego los mógł być inny, bo kilku parlamentarzystów KO poparło wniosek Lewicy. Jednak nie Bosak i jego posada są tu istotne, ale to, iż klub PiS, zaledwie po miesiącu urzędowania nowego rządu, nie stanowi już karnego, zdyscyplinowanego wojska.

Nie wróży to dobrze Kaczyńskiemu i jego obozowi. ●

Wierzy, że PiS oddał rządy na krótko. W jego przekonaniu trwa nieustanna, niezmienna od stuleci walka. Dobra ze złem

Piotr Głuchowski

Opozycji Macierewicza w partii, jak słyszę od posła z jego klubu, najlepiej świadczy to, że mówi się o nim po prostu „Antoni”:

– I to wystarcza, wiadomo, o kogo chodzi. Mariuszów i Marków jest wielu, Antoni jest tylko jeden. Jak prezes.

Gdyby jednak 30 lat temu ktoś powiedział Jarosławowi Kaczyńskiemu, że Macierewicz będzie numerem drugim w jego własnej partii – raczej by nie uwierzył.

– Jest to człowiek niewątpliwie zręczny, wykształcony, sprawny intelektualnie (...), u którego jednak w pewnym momencie kariery coś się załamało, nastąpił jakiś odjazd – mówił ówczesny szef Porozumienia Centrum, jego pierwszej partii, dziennikarce „Wyborczej” Teresie Torańskiej w roku 1994. – Być może doprowadziła do tego jego wojna z lewicą odbierana bardziej emocjonalnie niż racjonalnie. Gdzieś po 1981 roku zaczął żeglować w tę stronę, gdzie w końcu wylądował – wyjaśniał.

Ta strona przed trzema dekadami była pozaparlamentarnym składowiskiem nacjonalistycznych i prokościelnych partijek, które Macierewicz zaliczał i z których go usuwano. Skłócony z większością prawicy lądował kolejno w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym, Ruchu Akcją Polska, Ruchu dla Rzeczypospolitej i Ruchu Odbudowy Polski. Późniejszy prezes PiS określał wówczas te przeskoki „wieczną kompromitacją”.

30 lat później ma dla Antoniego same superlatywy: „to człowiek, który od najmłodszych lat postawił na Polskę”, „wspaniale połączył tradycję Piłsudskiego z tradycją Dmowskiego”, „rozbił agenturę i groźniejszy od niej system związków społecznych, który oddziaływał na naszą rzeczywistość”, „podjął się misji smoleńskiej, odważnie i z determinacją dążąc do ukazania prawdy”.

Wszystkie te peany Kaczyński wygłosił w sierpniu 2018 roku na urodzinach swego wiceprezesa.

Opowieść o 75-letnim dzisiaj Macierewiczowi można by zacząć od roku 1965, gdy wyrzucono go z warszawskiego ogólniaka za odmowę potępienia na apelu orędzia biskupów polskich do niemieckich („Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”).

Można rozpocząć też od roku 1968, gdy aresztowany po protestach studenckich jako słuchacz drugiego roku historii Uniwersytetu Warszawskiego wyspał w śledztwie Wojciecha Onyszkiewicza i kolegów, z którymi wcześniej rozrzucali ulotki, co ujawnił w wydanej w 2010 roku książce „Anatomia buntu...” historyk prof. Andrzej Friszke. Macierewicz zagroził pozwem, ale go nie złożył.

Moglibyśmy wystartować i od roku 1976, kiedy młody Antoni, magister asystent w Katedrze Iberystyki UW oraz członek Komitetu Obrony Robotników, organizował razem z Jackiem Kuroniem i Heleną Łuczywo pomoc dla represjonowanych uczestników strajków z Radomia, Ursusa, Płocka i Grudziądza.

Lub od roku 1977, gdy razem z Adamem Michnikiem zakładał podziemne pismo „Głos”. Po roku 1989, już bez Michnika, przekształcił ów samizdat w katolicko-narodowy tygodnik polityczny o tym samym tytule, w którym krytykował porozumienia Okrągłego Stołu, domagał

się lustracji, dekomunizacji i surowego ukarania winnych stanu wojennego, zaś dawnych przyjaciół z KOR określał jako „różowych”, czyli kryptokomunę.

To wszystko było już jednak nieraz opisane, dlatego zacznę od października 2015 roku, kiedy na otwartym spotkaniu wyborczym z chicagowską Polonią Macierewicz, już jako doświadczony poseł PiS, opowiadał o dwóch szczególnie nie lubianych przez siebie politykach. Zasugerował, że Donald Tusk mógł być agentem NRD-owskiej bezpieki Stasi, a Bronisław Komorowski, odchodząc z Pałacu Prezydenckiego, „przywłaszczył sobie ponad sto zabytkowych przedmiotów”. A zatem jeden jest zdrajcą, a drugi złodziejem.

Nie dziwnego, że dziennikarze zaczęli pytać przygotowującą się do objęcia teki premiera Beatę Szydło, czy polityk rzucający tego typu oszczerstwa na konkurentów jest najlepszym kandydatem na ministra obrony. Premier zapewniła, że pytanie jest bezprzedmiotowe, ponieważ w ogóle nie zamierza powoływać Macierewicza do rządu. Ministrem wojny będzie Jarosław Gowin, członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego przy Andrzej-Dudzie, a zarazem poseł Zjednoczonej Prawicy z Krakowa.

Być może Szydło nie wiedziała, że Kaczyński postawił już wcześniej na starego druha Antoniego, z którym „wysaczyli niejedną butelkę koniaku” (słowa Jarosława). Zasiadali wszak razem w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie, potem obydwa Wałęsę zwalczała jako TW „Bolka” i mimo dalszych różnic – choćby w poglądach na integrację z Unią, której Macierewicz był i został wrogiem – w roku 2013 prezes PiS uczynił wieloletniego towarzysza walki z komuną i postkomuną jednym z wiceprezesów. Wyszydza na przezeń wcześniej postawa Antoniego – nieufna wobec Zachodu, radiomaryna, wroga nowoczesności – stała się podstawą dominującą w Zjednoczonej Prawicy. Ogon zaczął machać psem, a Macierewicz PiS.

Sam bohater w autoryzowanej biografii „Człowiek do zadań niemożliwych” wspomina: „Gdy Jarosław Kaczyński zaproponował mi przed wyborami 2015 funkcję ministra obrony, rozważyłem, czy przyjąć tę ofertę, czy skupić się bardziej na służbach specjalnych, gdzie moja wiedza i praktyka działania była dużo większa...”.

O jaką praktykę chodzi? Prawdopodobnie o tę z roku 1992 i z lat 2006–07. Za pierwszym razem Macierewicz jako wiceprezes ZChN i minister spraw wewnętrznych w rządzie zasłużonego dla opozycji antykomunistycznej mecenasa Jana Olszewskiego przetrząsnął archiwa SB w poszukiwaniu polityków agentów, po czym ujawnił ich listę, co skończyło się upadkiem prawicowego gabinetu, a wkrótce oddaniem władzy SLD i wypchnięciem prawicy poza Sejm. Za drugim razem, w trakcie dwuletnich rządów PiS, Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin, jako wiceminister od sił zbrojnych tak zacięcie likwidował pozostałe po PRL Wojskowe Służby Informacyjne, że pozbawił armię wywiadu i kontrwywiadu, czego nie zdziwił nawet jego bezpośredni szef, pisowski minister obrony Radosław Sikorski. W styczniu 2007 roku zażądał od premiera Kaczyńskiego odwołania swojego zastępcy, a jako przyczynę podał „efektywne pozbawienie polskich

sił zbrojnych ochrony kontrwywiadowej”. Premier żądanie odrzucił – odejść musiał Sikorski.

Dziś zastanawia się na portalu X, czy Macierewicz „jest świrem, hochsztaplerem, czy może ruskim agentem”.

– Jeżeli ktoś fałszuje dowody, kłamie i marnuje publiczne pieniądze, niewątpliwie jest szarlatanem – wyjaśnia w rozmowie z Renatą Grochał w programie Onet Opinie. – Co do świra... wiem, że jest tak rutynowo określany zarówno w Pałacu Prezydenckim, jak i we własnej partii, co mnie niepokoi, bo niepoczytalność może być okolicznością łagodzącą, gdy przyjdzie go rozliczyć. Natomiast agenturalność to jest oczywiście sprawa dla kontrwywiadu, lecz przypominę, że Macierewicz był chyba jedynym ministrem obrony Sojuszu Północnoatlantyckiego z odebraniem dostępu do tajemnic państwowych.

Certyfikaty bezpieczeństwa (polskie, unijne i natowskie) Antoni zyskał, wchodząc do rządu Kaczyńskiego w 2006 roku, a stracił rok później, kiedy gabinet upadł. Oficjalny powód: Służba Kontrwywiadu Wojskowego, którą kierował, przeprowadziła pod nowym platformerskim szefostwem kontrolę, która ujawniła, że „były szef zapoznawał się z dokumentami zawierającymi informacje stanowiące tajemnicę państwową bez odnotowywania tego faktu w kartach zapoznania”.

Dlaczego Macierewicz skrycie buszował w archiwum SKW, choć mógł to czynić oficjalnie?

Zdaniem „Dziennika. Gazety Prawnej” szukał tam haków na Sikorskiego, ze szczególnym uwzględnieniem śladów łączących go z brytyjskim wywiadem.

Zdaniem „Wprost” szukał kompromatów na Komorowskiego – chodziło o jakąkolwiek nitkę, która mogłaby połączyć przyszłego prezydenta z wykrytą krótko wcześniej aferą finansową w Wojskowej Akademii Technicznej.

Mnie były oficer WSI Piotr Polaszczyk (bohater filmu braci Sekielskich „Korzenie zła”) zdradził, że Antoni szukał w archiwum kwitów obciążających partyjnego szefa, a konkretnie śladów na dawny związek łączący Jarosława Kaczyńskiego z Polaszczykiem właśnie.

Jeżeli to jest prawda, dlaczego prezes PiS hołubi swojego zastępcę?

Sikorski: – Ponieważ Macierewicz jest papieżem religii smoleńskiej, a owa religia jest mitem założycielskim władzy Kaczyńskiego. W efekcie Antoni jest pisowskim Borgią, którego boją się tknąć.

Macierewicz w biografii: „Pomyślałem, że zgodziłem się przyjąć w 2015 r. tekę ministra obrony, zacząłem gromadzić zespół. Informacja o tym przedostała się jednak do nieprzychylnych nam mediów, które rozpętały historyczną kampanię na mój temat w szerokich kręgach wojska. Ponieważ na wyższych szczeblach w armii dominowali wówczas ludzie z dawnego postkomunistycznego aparatu (...), kampania padła na podatny grunt. W PiS uznano, że jest to zagrożenie dla sukcesu wyborczego, dlatego pojawiła się inna kandydatura...”.

Inna, czyli Gowina, lecz była to tylko ściema. 16 listopada 2015 roku Jarosław z Krakowa został ministrem – ale nauki i szkolnictwa wyższego. MON objął Antoni z Warszawy.

„Narzucił jednoznacznie patriotyczną linię ideową dla całego wojska, co jest niezwykle ważne, bo nie ma prawdzi-

wej armii bez ideowej bazy” – wspomina w „Człowieku do zadań...” Jan Parys, minister obrony w rządzie Olszewskiego. „Nikt nie będzie ryzykował życia za pensję. Służba wojskowa ma sens, gdy jesteśmy przywiązani do ojczyzny. Antoni potrafił o tym z wojskiem rozmawiać i budować nastroje pro-polskie” – dodaje.

Elementem wychowania patriotycznego armii okazały się, po pierwsze, udział orkiestry wojskowej i kuchni polowej z grochówką w grudniowych uroczynach promującego Macierewicza toruńskiego radia; po drugie, polecenie, by ofiary Smoleńska były czczone i wymieniane z nazwiska na każdym apelu wojskowym; po trzecie, powrót do śledztwa w sprawie runicia tupolewa.

Na początku lutego 2016 roku nowy szef MON wydał rozporządzenie o powołaniu podkomisji ds. ponownego zbadania wypadku pod Smoleńskiem. Ponownego, ponieważ pierwsze badanie przeprowadzone w latach 2010–15 przez komisję Jerzego Millera wykluczyło zamach. Tym razem na czele grona niekiedy egzotycznych badaczy stanął dr Wacław Berczyński, matematyk i zwolennik teorii o wybuchu dwóch bomb na pokładzie, który już wcześniej prezentował tę tezę w ramach parlamentarnego zespołu ds. zbadania przyczyn katastrofy Tu-154M. Działający za rządów PO-PSL zespół składał się z posłów opozycyjnego PiS i sformułował raport o wywołanych przez Rosjan eksplozjach – w skrzydle i w centrum placu. „Gazeta Polska” obwołała za to Berczyńskiego Człowiekiem Roku 2013.

Dwa lata później Macierewicz zaczął czystki w resorcie. Szefów wywiadu i kontrwywiadu – generałów Radosława Kujawę i Piotra Pytla – powiadomił krótko o „utracie zaufania”, co zaowocowało dymisjami obu. Wezwał też w trybie pilnym dyrektora operacyjnego służby kontrwywiadowczej płk. Damiana Steca, którego przed oblicze ministra dowiozła żandarmeria. Macierewicz zapytał o jedno: czemu nie zapobiegł tragedii smoleńskiej? Stec odparł: „Byłem w Afganistanie”. Po czym stracił funkcję.

Z fotela wyleciał również kierujący Akademią Obrony Narodowej generał Bogusław Pacek, któremu drukująca często Macierewicza „Gazeta Polska” zarzuciła „sympatię do PRL”. W sumie przez 20 miesięcy rządów ministra w MON z armii odeszło 36 spośród ponad stu polskich generałów oraz przeszło 200 z półtora tysiąca pułkowników.

Przyszli nowi ludzie. Osobistym doradcą ministra został 20-letni syn jego znanego, student z USA, Edmund Jan-niger, który co prawda nie miał dotąd nic wspólnego z wojskiem, ale raz już doradcą był: u przewodniczącego Międzynarodowego Towarzystwa Dermatologii.

Szefem gabinetu i rzecznikiem MON został inny student – słuchacz rydzikowej Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu oraz członek rady politycznej PiS Bartłomiej Misiewicz. Przed zatrudnieniem w ministerstwie pracował na dwóch posadach – jako sekretarz zespołu ds. Smoleńska i jako pomocnik farmaceuty w aptece w Łomiankach. Resort uhonorował jego przyjeście wybicciem pamiątkowej monety z nazwiskiem „Misiewicz” i godłami czterech rodząjów sił zbrojnych. 25-letni Bartłomiej został też pełnomocnikiem ministra ds. świeżo stworzonego międzynarodowego Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO.

Nowe zadania dla Macierewicza



ANTONI

MA JESZCZE
MNÓSTWO ENERGII

Jednostka ulokowana przy ul. Chałubińskiego w Warszawie nie podlegała bezpośrednio rządowi polskiemu, ale amerykańskiemu dowództwu z Norfolk i zdanien Macierewicza stała się przechowalnią dla oficerów SKW, których on by się najchętniej pozbył. Cofnął im więc certyfikaty bezpieczeństwa i zabrał samochody służbowe, lecz to nie pomogło. Dlatego o wpół do drugiej w nocy z 18 na 19 grudnia 2015 roku żandarmeria siłowo wkroczyła do CEK z pomocą podrobionego klucza (miała też łom), po czym osadzono na miejscu „dobrozmianowego” szefa jednostki płk. Roberta Bałę oraz Misiewicza, który dodatkowo otrzymał posadę pełnomocnika ministra w zarządzie państwowej Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Obie nominacje „Miśka” skończyły się w sądach. Wiosną 2019 roku stołeczny sąd okręgowy uznał wtargnięcie do centrum eksperckiego za działanie bezprawne. Prócz tego Misiewicz odpowiada dziś za łapówki, które zdaniem prokuratury miał przyjmować, zasiadając we władzach PGZ. Przesiedział w areszcie pięć miesięcy, wyszedł za poręczeniem 100 tys. zł, grozi mu 10 lat więzienia, proces dopiero się zaczyna. Jeżeli dawny ulubieniec Macierewicza zostanie skazany, będzie to jego kolejny wyrok. Pierwszy – 20 tys. zł grzywny – zapadł jesienią 2022 roku za nielegalne reklamowanie wódki Misiewiczówka.

Co konkretnego robił „Misiek” (a pośrednio Antoni) grudniową nocą w CEK? Zdaniem dziennikarza śledczego „Newsweeka” Grzegorza Rzekowskiego prowadzony telefonicznie przez Macierewicza młody pełnomocnik szukał dokumentów obciążających szefa, jakie mieli rzekomo zgromadzić (i pochować w sejfach) służący w Centrum Eksperckim oficerowie, między innymi generał Pytel. Sejfy zostały rozwiercone, a nagrania z monitoringu zginęły.

„W sprawie CEK minister Macierewicz mógł działać zgodnie z prawem, wymienić kierownictwo i przejąć instytucję w sposób cywilizowany” – zauważył w „Newsweeku” Marek Biernacki, poseł PO i były przewodniczący sejmowej komisji ds. służb specjalnych. „Tyle że takie działania zajmują trochę czasu, a on chciał działać z zaskoczenia, ponieważ był przekonany, że w CEK są dokumenty na jego temat, i najwyraźniej bał się, że ktoś wcześniej je stamtąd wyniesie” – dodał.

Jakie to mogły być kwity? Według Rzekowskiego wskazujące na zainteresowanie Macierewicza założonym w VIP roomie stołecznej restauracji Różana podsluchem, który został wykryty w kwietniu 2015 roku, tuż przed planowanym w lokalu spotkaniem platformerskiego jeszcze szefa MON Tomasza Siemoniaka z jego holenderską odpowiedniczką Jeanine Hennis-Plasschaert. W odróżnieniu od podsłuchów zakładanych dwa lata wcześniej przez kelnerów od Marka Falenty instalację w Różanej – zdaniem informatorów Rzekowskiego – założyli bezpośrednio Rosjanie.

Sam Pytel w „Wyborczej” zasugerował, że Macierewicza najbardziej ciekawiło, jak ów podsłuch wykryto:

„Bo wciąż funkcjonują w Warszawie miejsca kontrolowane przez Rosjan. Ten, kto zdecydował o wejściu do CEK, chciał zobaczyć, w jakim zakresie SKW te punkty rozpracowała (...). Macierewicz chciał po prostu zobaczyć, co na niego mamy”.

Podobnego zdania jest dziennikarz i pisarz Tomasz Piątek, autor dwóch książek o Macierewiczu: „Antoni posłał Misiewicza i innych swoich ludzi, by zabezpieczyć w CEK dokumenty świadczące o związkach szefa z Rosją zebrane przez SKW w latach 2007-15”.

– Niby to skomplikowane, lecz wzorzec się powtarza: on wciąż szuka jakichś kwitów – mówi mi cytowany już poseł PiS, który zna Antoniego prywatnie. – Chodzą słuchy, że ma bogate archiwum.

– Im więcej zna tajemnic, tym lepiej funkcjonuje. Zapewne część dokumentów przekazuje, część prywatyzuje – dopowiada Piątek.

Jako nowy szef MON Macierewicz rozprawił się również z zainicjowanym przez swego poprzednika Siemoniaka 13-miliardowym kontraktem na blisko 50 francuskich śmigłowców bojowych H225M Caracal firmy Airbus Helicopters.

Caracale, które miały być tworzone we Francji, a montowane w dopiero planowanej części zakładów lotniczych w Łodzi, pokonały w przetargu m.in. współproduktowane przez zakłady w Mielcu amerykańskie śmigłowce Black Hawk, a także włoskie maszyny Agusta Westland oferowane przez Świdnik.

W maju 2015 roku armia poinformowała, że testy bojowe caracali wypadły pomyślnie. Macierewicz – wtedy jeszcze opozycyjny poseł – głośno zaprotestował. Złożył w sejmowej komisji obrony wniosek o wstrzymanie się z ostatecznym parafowaniem kontraktu na czas po wyborach. Jednocześnie posłowie PiS wraz ze związkowcami ze Świdnika i Mielca zorganizowali uliczne protesty przeciw Airbusowi, zaś redakcja „Wprost”, która rok wcześniej zaczęła publikację urobku z podsłuchów Falenty, wyszła z tezą, że wybór francuskich helikopterów jest ceną za poparcie Francji dla Tuska jako kandydata na prezydenta UE.

Roczne dochody Macierewicza: około 227 tys. zł. Majątek: 16-letni volkswagen i 8 tys. zł w banku

Zdaniem tygodnika Ministerstwo Obrony tak bardzo chciało dogodzić Francuzom, że posunęło się do sfalszowania szczegółów przetargu, aby produkty Airbusa – przynajmniej na papierze – wypadły lepiej od śmigłowców z Mielca i Świdnika.

Po publikacji posłowie Macierewicz i Gowin wystąpili na „proobronnej” debacie „Gazety Polskiej” z udziałem dyrektora fabryki w Świdniku Krzysztofa Krystowskiego. Cała trójka zaapelowała do rządu Ewy Kopacz o niepodpisywanie umów z Francuzami. Odtąd podział był prosty: kto za naciągającą „dobrą zmianą”, ten przeciw caracalom. I odwrotnie.

Po wyborach 2015 roku zerwanie kontraktu z Airbusem było już formalnością. Odszkodowanie, jakie rząd musiał zapłacić Francuzom, wyniosło 80 mln zł. Do końca rządów Macierewicza w MON, czyli do stycznia 2018 roku, polskie siły powietrzne żadnych nowych śmigłowców bojowych nie dostały. Minister zgłosił pomysł zbudowania wspólnego helikoptera z ukraińskimi zakładami Motor Sicz z Zaporozża, lecz koncepcja nie wyszła poza fazę planów. I dobrze, bo w 2022 roku okazało się, że szef Motor Siczy Waczesław Bogusławjew jest człowiekiem Rosji. Potajemnie sprzedawał Moskalom silniki do śmigłowców, które później atakowały Ukrainę.

Podkomisja Berczyńskiego-Macierewicza (ta od sprawy Smoleńska) nie miała statusu komisji, lecz jedynie podkomisji, gdyż inaczej musiałaby dokooptować osoby mające kwalifikacje do badania wypadków lotniczych. Macierewicz wybrał członków wedle innego klucza: do gremium weszli zwolennicy teorii o zamachu, w tym paru Polonusów, których poznał w USA. Przewodnictwo objął Berczyński, 70-letni emeryt z przeszłością w PZPR i w amerykańskich zakładach Boeinga, gdzie był informatykiem. Jego prawą ręką został dr Wiesław Binienda, inżynier z Uniwersytetu Akron w stanie Ohio, który już w roku 2011 na posiedzeniu zespołu parlamentarnego przedstawił wyniki analizy matematycznej katastrofy i wysnuł z nich wniosek, że skrzydło tupolewa nie zostało oderwane w wyniku zderzenia z brzozą, ale eksplozji.

W skład podkomisji weszli też m.in. dziennikarz Marcin Gugulski, przed laty rzecznik rządu Olszewskiego, teraz szeregowy polityk PiS; przyjaciel Macierewicza z obozu internowania w Iławie, a zarazem specjalista od spektroskopii fluorescencyjnej Kazimierz Nowaczyk; były rektor Uniwersytetu Gdańskiego i ekspert od ochrony środowiska naturalnego profesor Piotr Stepnowski.

W trakcie ośmiu lat działalności podkomisja wielokrotnie zmieniała skład, jednak od 2018 roku był on już utajniony. Nazwiska (i place) próbował poznać m.in. senator Platformy Krzysztof Brejza. W efekcie interpelacji dowiedział się tyle, że sekretarka podkomisji Marta Palonek nie zna pełnej listy komisarzy, a tym bardziej ich wynagrodzeń. Uparty polityk, z wykształcenia prawnik, poszedł do sądu i w końcu wiosną 2023 roku zobowiązane wyrokiem Ministerstwa Obrony Narodowej poinformowało go, że podkomisja wydała na prace 31 mln zł. Za te pieniądze m.in. zbudowano i wysadzono coś w rodzaju blaszatego namiotu z domalowanymi oknami samolotowymi – konstrukcja miała imitować kabinę tupolewa. Rozerwano również wybuchem stalową kopię centralnej części skrzydła wykonaną z tej okazji w zakładach lotniczych. Uszkodzono też – różnymi testami – wart 70 mln zł bliźniaczy egzemplarz samolotu należący do MON. Wszystkie te eksperymenty miały udowodnić, że w wyniku eksplozji ładunku powstają uszkodzenia podobne do tych, jakie widnieją na przetrzymywanym w Rosji wraku Tu-154M. Niestety (dla Macierewicza), zerwane konstrukcje – w sumie pół tuzina – nijak nie przypominały tego, co powinny.

Największą część kosztów podkomisji – ponad 8 mln zł – pochłonęły nie wybuchy, ale zamówiony w USA raport National Institute for Aviation Research. W tym nigdy w pełni nieujawnionym przez Macierewicza dokumencie specjaliści od wypadków lotniczych orzekli, że wbrew teorii o bombie (lub dwóch bombach) to nie żadna eksplozja, lecz słynna brzoza przecięła skrzydło maszyny. Co zresztą zgadza się ze sfilmowanym zeznaniem właściciela działki, na której rosło drzewo i który był na miejscu w chwili katastrofy. Mimo to w ogłoszonym wiosną 2022 roku tzw. raporcie końcowym podkomisja „potwierdziła” teorię zamachu. Powstał nawet sugestywny półgodzinny film, który nadal można obejrzeć w sieci. Prezydencki samolot najpierw zniża się nad podsmoleńskim ugiem, a potem „odchodzi na lotnisko pasowe” z powodu gęstej mgły.

„W tym momencie nastąpił wybuch w lewym skrzydle, co zapoczątkowało destrukcję samolotu na wysokości stu metrów. Tupolew przechyliła się na lewą stronę i gwałtownie traci wysokość (...), piloci tracą kontrolę, a samolot zasilanie elektryczne na skutek wybuchu w tylnej części kadłuba, która odrywa ogon (...). To ten ładunek zabił pasażerów salonki prezydenckiej, rozrzucając ich szczątki na odległość stu metrów” – informuje lektor.

Po obejrzeniu filmu część zde gustowanych manipulacjami członków podkomisji zrezygnowała. Wiesław Chrzanowski,

Marek Dąbrowski i Kazimierz Grono opublikowali „List otwarty do rodzin smoleńskich”, w którym napisali: „Niestety, zarówno raport końcowy, jak i film załącznik do niego w wielu kluczowych miejscach zawierają przekaz daleko wykraczający poza dostępny materiał dowodowy i cechują się zbyt dowolną interpretacją tegoż materiału, aby mogły być traktowane jako rzetelne dokumenty”.

– Ten film to kłamstwo smoleńskie w pigułce – mówi mi Krzysztof Brejza, dziś poseł PO. – Po jego obejrzeniu pisali do mnie oburzeni wyborcy, pytając, dlaczego z ich podatków finansuje się tego rodzaju fałszerstwa. Pytanie o utopione w podkomisji Macierewicza pieniądze zadałem więc początkowo Ministerstwu Obrony, ale sekretarz MON Wojciech Skurkiewicz mnie zlekceważył. W końcu jednak wydarłem im informację o zmarnowanych milionach od obywateli, którzy ciężko pracują, by utrzymać siebie i państwo, tymczasem ich pieniądze zaspokajały polityczne ambicje ministra Macierewicza.

– Sądzi pan, że on sam w te wybuchy nie wierzy?

Brejza, który zwykle odpowiada szybko, tym razem zastanawia się dłużej: – Myślę, że Smoleńsk to dla niego środek do podniesienia swej pozycji w PiS. Ten zespół parlamentarny, a potem podkomisja były prywatnymi trampolinami politycznymi, na których się wybił zarówno w oczach Kaczyńskiego, jak i najtwardszej części jego elektoratu. Zbudował własną potęgę na narodowej tragedii, kłamiąc i fałszując dane... To jest najbardziej bolesne, że dla prywatnych celów podzielił społeczeństwo, dosłownie je rozerwał, wywołując nienawiść i resentymenty. Szkodnik, jakich mało. Nie mówiąc już o jego związkach z Rosją, które świetnie opisali chociażby panowie Rzekowski i Piątek.

Macierewicz ma na koncie nie tylko koneksje rosyjskie, ale też wypowiedzi jeszcze proradzieckie – mówi dziennikarz „Newsweeka”. – W stanie wojennym przekonywał ludzi podziemia do sojuszu Kościoła i „ludowego” wojska, który mógłby zakończyć wojnę polsko-polską.

Potwierdza to Bogdan Lis, współtwórca „Solidarności”: – Antoni powiedział, że „musimy pokochać ZSRR szczerze”, bo gdy Rosjanie uwierzą w naszą miłość, „dadzą nam więcej swobody”. „Solidarność” była jego zdaniem skończona. Dlatego widzę dwa wytłumaczenia: albo już był agentem, albo po prostu zwariował.

Według Rzekowskiego trafna jest możliwość pierwsza: – Macierewicz, jeszcze jako minister u Jana Olszewskiego, zastopował operację polskiego kontrwywiadu, wtedy działającego w ramach UOP, która miała na celu rozbicie siatki rosyjskiej w Polsce. Kiedy po nocy teczek w czerwcu 1992 roku do UOP wkroczyli ludzie związani z prezydentem Wałęsą, operację podjęto na nowo. Ale była już na tyle spalona, że schwytano tylko jednego działającego pod przykryciem dyplomatycznym oficera GRU i jego polskiego agenta. Nie udało się zinfiltrować struktury, gdyż Rosjanie zostali ostrzeżeni, co było moim zdaniem efektem powyższych działań Macierewicza. Następna sprawa: on jeszcze w latach 80. nawiązał kontakt z niejakim Robertem Luśnią, współtwórcą ZChN, na przełomie wieków posłem LPR, dzisiaj milionerem...

Luśnia co najmniej do 2017 roku zasiadał w fundacji pisma „Głos”. Gdy pod koniec lat 90. został wiceprezesem w Herbatolu Lublin, zasilął pieniędzmi tej spółki firmę Macierewicza Dziedzictwo Polskie, która wydaje periodyk.

– Był dla Antoniego kimś tak samo bliskim jak późniejszy Misiewicz – mówi Rzekowski. – Po latach okazał się tajnym współpracownikiem SB, którego prowadził oficer Józef Nadworski, który z kolei miał bliskie relacje z moskiewskim wywiadem wojskowym. Nadworski, już jako biznesmen, prowadził stołeczną agencję ochrony Dakota z niejakim Markiem Zieliń-

skim zdemaskowanym jako szpieg GRU we wspomnianej operacji UOP.

– Kolejna opisana przez pana sprawa to przetłumaczenie na rosyjski raportu z likwidacji WSI. Dlaczego to istotne?

– Dlatego że likwidator Macierewicz twierdził, iż raport rutynowo przełożono na języki kongresowe – angielski, francuski, rosyjski... Tymczasem został pośpiesznie przetłumaczony tylko na ten ostatni. I nie dokonał tego żaden tłumacz przysięgły, lecz nieżyjąca już Irina Obuchowa, lokatorka tzw. szpiegowa...

– ...zamkniętego osiedla Rosjan na warszawskim Mokotowie...

– ...przed laty „opiekunka” polskich turystów jeżdżących do ZSRR zatrudniona w biurze podróży znanym jako ekspozytura KGB. Wedle osób, które ją znały, nie opowiadała tak dobrze polszczyzny, by brać się do tłumaczeń, ale jako tłumaczka raportu zyskała dostęp do szaf WSI, niektóre dokumenty nawet jej dowożono na Mokotów.

Rzeczkowski: – Następny tajemniczy znajomy Macierewicza to Jacek Kotas, prezes Wojskowej Agencji Mieszkaniowej i podsekretarz stanu w MON w rządzie premiera Kaczyńskiego. W październiku 2006 roku, gdy Macierewicz został szefem SKW, służba przyznała Kotasowi certyfikat dostępu do informacji niejawnych. Po latach Tomasz Piątek ujawnił, że Kotas zasiadał w spółkach założonych przez rosyjskie specsłużby i wspieranych przez powiązaną z Kremlm mafię solncewską. Za użyte przez dziennikarza sformułowania „rosyjski łącznik” oraz „ogniwo między Rosją a PiS” Kotas wytoczył proces. Piątek wygrał go w obu instancjach, po czym kasację Kotas oddalił Sąd Najwyższy.

Kolejna dziwna postać to Marian Szolucha, powiązany z jawnie już prokremlowską partią Zmiana, promotor myśli Romana Dmowskiego, który w 2016 roku wszedł do nadzorowanej wówczas przez Macierewicza Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Gdy wydały się jego związki ze Zmianą, ogłosił dymisję.

Idźmy dalej. Ekspertem parlamentarnego zespołu smoleńskiego, a potem niesławnej podkomisji był Andriej Ilarionow, doradca ekonomiczny Putina do 2005 roku. On później rzekomo zerwał z Kremlm, ni by go krytykował, ale wciąż jeździł do Moskwy i – co ciekawe – wzbraniał się przed ujawnianiem jakichkolwiek szczegółów wcześniejszej współpracy z Putinem. Jak twierdził, o byłym szefie nie będzie mówił źle. Takich osób, łączników Macierewicza z Rosją, jest więcej.

Zadnego z wielu wymienianych przez Rzeczkowskiego i Piątka ognie nie znajduję w biografii „Człowiek do zadań niemożliwych”. Na jej kartach okres władzy Macierewicza w MON to pasmo sukcesów nieco tylko zakłóconych sporem z prezydentem Dudą „o niektóre z nominacji generalskich”.

Jan Parys: „Antoni miał duże ambicje, by samodzielnie rządzić sprawami obronności, ale prezydent podobnie – oczywiście przy pomocy ludzi z Biura Bezpieczeństwa Narodowego (...). Brak było nie tylko chemii, ale też komunikacji, ponadto prezydent nie chciał podpisywać nominacji wnioskowanych przez Antoniego. BBN zostało pomyślane jako mała komórka analityczna – forpochta MON przy prezydencie, która ma mu tłumaczyć politykę ministerstwa. Tymczasem stało się organem, który próbował zastępować MON...”.

Macierewicz nie mógł na to pozwolić. Zawiesił dostęp do informacji niejawnych generałowi Jarosławowi Kraszewskiemu, głównemu doradcy Dudy w sprawach wojska. Obóz prezydencki w retorsji odmówił nominacji kandydatom na generałów wskazanym przez MON. Konflikt zakończył się w styczniu 2018 roku, już pod rządami Mateusza Morawieckiego, odwołaniem Antoniego z funkcji ministra. Kaczyński zgodził się z ciężkim sercem.

„Dla nikogo nie jest tajemnicą, iż naci-ski Pałacu Prezydenckiego w sprawie ministra obrony były, i to bardzo intensywne” – powiedział „Gazecie Polskiej”. „Naprawdę nie było innego wyjścia. Dla skutecznej realizacji naszego projektu politycznego tak trzeba było postąpić, choć dla nikogo z nas – a szczególnie dla mnie, jako prezesa partii – decyzja o tej dymisji nie była prosta” – dodał.

Macierewicz dowiedział się o odwołaniu na kilka godzin przed. Podobno był zaskoczony. Na kartach „Człowieka...” niczego jednak na ten temat nie ma. W książce minister odnosi „historyczne zwycięstwa”, wśród których wymienia warszawski szczyt NATO w 2016 roku, kiedy dowództwo So-

„Obrona” TVP, Polskiego Radia i PAP będzie teraz nowym pisowskim mitem, który zastąpi Smoleńsk. Macierewicz w budowie tego mitu pomoże

juszu ogłosiło stałe rozlokowanie w Polsce brygady pancernej US Army oraz budowę wojsk obrony terytorialnej w tym samym okresie.

– Macierewicza już w wojsku nie ma, ale Amerykanie szczęśliwie stacjonują, a terytorialsi są bardzo pomocni przy różnych zagrożeniach – zwracam uwagę Piątkowi. – Temu się nie da zaprzeczyć.

– I ja nie zaprzeczam, zwrócę tylko uwagę, że obsługę informatyczną szczytu Ministerstwo Obrony powierzyło spółce Siltec, która została założona w 1982 roku jako firma przykrywkowa wywiadu wojskowego PRL. A okolośzczytowe działania public relations Macierewicz zlecił firmie byłego amerykańskiego senatora Alfonsa d’Amato, z którym zasiadał w zarządzie organizacji Friends of Poland i który do wybuchu wojny w Ukrainie lobbował wśród Republikanów na rzecz firm kremlowskich. Natomiast co do obrony terytorialnej Macierewicz zatrudnił do tworzenia tej formacji ekspertów z prywatnego Narodowego Centrum Studiów Strategicznych, gdzie prezesem był Jacek Kotas, zarządca spółek powiązanych z rosyjską mafią. To z NCSS wywodzi się doradca Macierewicza ds. tworzenia OT plk Krzysztof Gaj, który publicznie zadeklarował, że „przynajmniej rację Putinowi”, gdy ten walczy z ukraińskimi „faszystami” niosącymi Europie „pożogę”. Na koniec pamiętajmy, że OT ma niechlubną kartę zapisaną na polsko-białoruskiej granicy, zaś wartość bojowa formacji jest według fachowców mocno dyskusyjna – mówi Piątek.

W czerwcu 2023 roku dziennikarka „Wyborczej” Dorota Wysocka-Schnepf zapytała Rzeczkowskiego: „Jak to możliwe, że przy tylu powiązaniach z ludźmi Kremla Macierewicz jest jednym z głównych propagatorów antyrosyjskiej narracji?”.

Rzeczkowski: „To godzi się doskonale. Kremlowska propaganda potrzebuje ludzi, którzy straszą Rosją. Oskarżenie o rusofobię było i jest narzędziem, które służy Kremlowi do podważania wiarygodności Polski na Zachodzie. Tacy jak Macierewicz są bardzo użyteczni, podobnie jak cała jego społeczność smoleńska”.

– Pomysł, że to był zamach, a nie katastrofa, wpuścili w polską infosferę Rosjanie – dowodzi Tomasz Piątek. – Krótko po 10 kwietnia prorosyjski youtuber Eugeniusz Sendecki...

– ...ten, który dwa lata wcześniej poszedł na Powążki z łopatą, by „wykopać” stamtąd Bronisława Geremka...

– ...zaczął z kamerą pytać ludzi na ulicy, czy w Smoleńsku był zamach. O sztucznej mgle, bombie próżniowej i dobijaniu pasażerów pisał też zarejestrowany na Cyprze portal z Ostrołęki. W ambasadzie polskiej w Moskwie zjawił się nasłany przez FSB „świadek”, który mówił o szczegółach zamachu. Chodziło o to, by podzielić Polskę, co pięknie się udało. Do tego przyczepiono nam gębę tych, którzy niesłusznie zarzucają Moskwie mord na prezydencie. Ten obraz Polski – kraju rusofobów – świetnie ugruntowały macierewiczowskie komisie smoleńskie.

nie Okrągłego Stołu. (...) Dziś przyrzeka, że funkcjonariuszom dawnego aparatu komunistycznego zwróci odebrane pieniądze. I przywróci im wielkie możliwości finansowe, jakich zostali pozbawieni (...). Donald Tusk nie tylko wspiera zniszczenie niepodległości Polski przez budowę totalnego państwa Unii Europejskiej, ale także wspiera ludzi z aparatu komunistycznego, którzy byli zwolennikami Okrągłego Stołu.

Zarobków z tytułu występów w TV Republika nie widzę w oświadczeniu majątkowym posła Macierewicza. Wniosek: pracuje dla redakcji społecznie. Stać go, bo formalnie jest już emerytem z niezłym uposażeniem 95 tys. zł rocznie. Inne przychody z oświadczenia: dieta parlamentarna – 33,5 tys. zł na rok, pensja posła – 97,6 tys. zł rocznie, dodatek do przejazdów służbowych – raptem tysiąc, lecz skrupulatny parlamentarzysta postanowił wpisać także i tę kwotę.

Majątek: volkswagen passat z 2008 roku i 8 tys. zł w banku. Resztę poseł przepisał na żonę, historyczkę i redaktorkę książek.

Hanna Natora-Macierewicz jest zatem właścicielką mieszkania ich obojga (spółdzielcze własnościowe, wielkość 55 metrów, wartość ponad pół miliona), drewnianej dachy na 900-metrowej działce (wartość ok. 100 tys. zł) i zasobów na kontach: pół miliona w złotychkach, ok. 200 tys. zł w obligacjach skarbowych oraz 450 tys. zł w funduszu inwestycyjnym PKO.

Do grudnia emeryt Antoni zasiadał w podkomisji, lecz również działał społecznie. Na 10 dni przed Bożym Narodzeniem rozwiązał ją nowy minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz. Z komunikatu MON: „Członkowie tego grona zostali zobligowani do rozliczenia się z dokumentacją, nieruchomości oraz sprzętów”. Wiceszef MON Cezary Tomczyk zapowiedział już powołanie zespołu, który zbada koszty, jakie wygenerowali komisarze.

Macierewicz uznał likwidację za „czyste bezprawie” i zadeklarował kontynuowanie pracy aż do ustalonego wcześniej terminu zakończenia działań, który wypada dopiero w sierpniu. W praktyce musiał ustąpić, ponieważ pomieszczenia, w których konferowali z Berczyńskim, Biniendą i resztą, zajęła żandarmeria.

Zajął się więc tym, co obecnie grzeje: fizyczną „obroną” pisowskich mediów publicznych przed ich nowymi władzami. W trakcie wigilijnej warty w gmachu PAP wdał się w szarpaninę z jednym z jej pracowników, który odmówił pokazania posłowi legitymacji. Zdaniem publicysty „Rzeczpospolitej” Jacka Nizinkiewicza „obrona” TVP, Polskiego Radia i PAP będzie teraz nowym pisowskim mitem, który zastąpi Smoleńsk. I Macierewicz w budowie tego mitu pomoże, gdyż – jak mi mówi poseł i jego znajomy – ma jeszcze mnóstwo energii.

– A do tego wierzy, że PiS oddał rządy na krótko. Że nowa koalicja się wywróci, bo to nieudacznicy, którymi Antoni gardzi na każdym poziomie. Uważa ich za zdrajców i degeneratów, a poza tym za głupków, nieuków i fajtlapy. Dla niego nie skończyło się nic: ani walka z komuną, ani – jak to określa – dochodzenie prawdy smoleńskiej. Bo tak naprawdę w jego przekonaniu trwa nieustanna, niezmienna od stuleci walka. Dobra ze złem – dodaje poseł. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Mikołaj Chrzan, Bartosz T. Wielński; WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczcerek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



We wszystkich dekadencjach kultur pojawia się to samo pragnienie:
gloryfikacji zwierzęcia i dziecka



• Julie Manet
z kotem,
Pierre-
-Auguste
Renoir,
1887 rok
FOT. DOMENA
PUBLICZNA

NAMOWA DO
ZYCIA

Z FILOZOFKA **AGATĄ BIELIK-ROBSON***
ROZMAWIA **EWA KALETA**

Zwierzęta są ostatnią ostoją mistycyzmu – przeczytałam ostatnio u słoweńskiej filozofki i lacanistki Renaty Salecl.
– Skąd to przekonanie?

Może miała na myśli obcowanie ze zwierzęciem i wrażenie, że ono żyje jakoś bardziej naprawdę, jest bardziej zakorzenione w naturze.

– Mam problem z tą animalną mistyką. Człowiek od zawsze fantazjował na temat zwierzęcia. W kulturze zachodniej ten fantazmat pojawia się u Jeana-Jacques’a Rousseau, potem z wielką mocą u Fryderyka Nietzschego, a na koniec ożywa w linii filozofii francuskiej stworzonej przez Geroges’a Bataille’a.

To czysta projekcja naszych tęsknot: idea zwierzęcia jako życia, które niczemu nie podlega, żyje w dzikiej anarchii natury i nie zna stanu neurozy zwanego cywilizacją. To życie może być wprawdzie brutalne i krótkie, ale za to jakże pełne: absolutnie wypełnione sobą do końca, nie niepokojone nowotworem refleksji. W projekcji tej natura jawi się jako raj utraconej spontaniczności. To odwieczne ludzkie zjawisko: już u Owidiusza złoty wiek jest to wiek albo ludzi żyjących jak dzieci na łonie bogów, albo niewinnych zwierząt do zwierzęcej spontaniczności i żyć w naturalnej radosnej anarchii. Ale nawet wcześniej, jeszcze w religijności totemicznej, pojawia się wizja wspaniałego zwierzęcia, z którą człowiek – „zwierzę słabe” – pragnął się utożsamiać, by posiadać choćby namiastkę tej siły, jaką mają wilki, byki czy lwy. Te fantazmaty są tak stare jak sama ludzkość, co w żadnym sensie nie czyni je prawdziwymi. Do mnie ta idealizacja natury nigdy nie przemawiała.

Ma pani jakieś intuicje, jak wygląda życie zwierząt?

– Patrząc na zwierzęta w stanie natury, widzę przede wszystkim potworny trud przeżycia. Coś, co dobrze opisał Thomas Hobbes: life nasty, brutish and short – życie okropne, krótkie i brutalne – gdzie wszyscy są przeciwko wszystkim w wojnie o przetrwanie, a jeśli pojawiają się altruizm i współpraca, to tylko w kontekście plemiennym skierowanym przeciwko innym grupom. W stanie natury panuje wprawdzie absolutna wolność, ale jej ceną jest beznadziejne życie, którego nie warto gloryfikować.

A może ten trud sam w sobie może mieć gratyfikację w postaci jasności celu. Kiedy patrzę na zwierzęta, to wydaje mi się, że one oscylują wokół bardzo konkretnej potrzeby. To w wyobrażeniu może być wyzwalające.

– W przeżyciu jest istotnie coś prostego i kiedy zapominamy o całym jego brutalnym kontekście, może wydać się ponętne. Żyjemy przecież w bardzo przesocjalizowanej kulturze, spętani siecią niezwykle skomplikowanych relacji, więc często dajemy się uwieść wizji prostoty, która obiecuje nam powrót do bezpośredniego kontaktu z życiem. Ta postawa wydaje mi się jednak mocno dekadencja, możliwa tylko z perspektywy rozwiniętej i dobrze prosperującej cywilizacji, która zwolniła nas z codziennego trudu przeżycia i dała szansę na indywidualne poszukiwanie szczęścia.

Ja uwielbiam zwierzęta i zawsze się nimi otaczałam, lecz mam wrażenie, że wbrew temu, co myślałam o nich fantazji, to właśnie one odczuwają ogromną, nieskrywaną ulgę z tego powodu, że dzięki domestykacji nie muszą walczyć o przeżycie. Kiedy patrzę na mojego kota, nie widzę dzikiego zwierzęcia, które męczy się w domu, tylko zwierzę dobrze zaadaptowane do wygod wytworzonych przez człowieka, które potrafi z nich korzystać w rozkoszny sposób. Mój kot – zdrowe zwierzę wolne od ludzkich de-

kadenczkich pokus – głęboko docenia cywilizacyjne apanaże, jakie dało ludziom wyjście z natury, wielki exodus z naturalistycznego prymatu przeżycia. Jest bardziej lojalnym zwolennikiem ludzkiej kultury od całej nowocześnie filozofii, od Rousseau po Lacana.

Ma pani kota. Co pani w nim widzi?

– Mój kot pojawił się u mnie, kiedy miał zaledwie trzy tygodnie. Nie ma rozwiniętego instynktu polowania, bo nie zdążył się tego nauczyć od swojej matki, która go bardzo wcześnie osierociła. Ma więc odruchy agresywne i drapieżne, ale rzadko zabija, a jak już zabija, to zupełnie nie wie, co ze swoją ofiarą zrobić. Przejawia się u niego instynkt pierwotny, który jest niewyuczony, a przez to dysfunkcyjny. To pokazuje, że już u wszystkich ssaków pojawia się czynnik kulturowy: potrzebne jest wychowanie, pedagogika, nurture obok nature. Człowiek jako naczelną jest na to dobrym dowodem – w naszym przypadku natura ustąpiła niemal całkowicie na rzecz kultury.

Jaka jest więc między nami różnica?

– Są różne teorie. Osobiście odrzucam te doktryny, które z góry zakładają, że zwierzę jest zupełnie czymś innym niż człowiek, bo człowiek ma duszę, a zwierzęta nie. Wtedy przepaść między nami jest całkowita, a to raczej nieprawda. Bliższe jest mi rozwiązanie dialektyczne, które zakłada, że człowiek wyewoluował ze świata zwierzęcego, ale w coś zupełnie innego, w istotę balansującą na granicy życia naturalnego. Najbardziej przemawia do mnie antropolog filozoficzny z XVIII wieku Johann Gottfried Herder, który zdefiniował człowieka jako „zwierzę wybrakowane”. To bardzo sprytny zabieg, bo wszakże broni różnicy antropologicznej, ale bez dogmatycznych religijnych skojarzeń z wyższością człowieka jako rzekomą „koroną stworzenia”. Właściwie zupełnie przeciwnie: człowiek w naturze jest słabszy i niższy. Kiedy zwierzę się rodzi, mówi Herder, jest dosyć dobrze wyposażone instynktownie, po narodzinach zajmuje mu niewiele czasu, żeby się przystosować do przeżycia w swojej naturalnej niszy (nawet mój nieco „wybrakowany” kot, gdyby go wrzucić z powrotem w naturę, nauczyłby się w końcu polować).

Kiedy zaś rodzi się człowiek, to jako zupełnie bezradne zwierzę. Po pierwsze, rodzi się za wcześnie – Herder jako pierwszy sformułował zasadę ludzkiej neotenu – a po drugie, jego wyposażenie biologiczne jest nieodkreślone, nie ma wyraźnego celu i schematu postępowania. Mamy jakieś popędy: pewien rodzaj niezdefiniowanej energii, która nie ma swojego naturalnego ujęcia i sposobu realizacji. I to właśnie jest ten nasz brak, a jednocześnie nadmiar. Brak dookreślenia, nakierowania na cel, sprawia, że człowiek nie ma niszy, w której żyją zwierzęta, lecz musi się konfrontować od razu z całym światem. Ten ogrom świata go przeraża: pierwszym doświadczeniem człowieka jest więc lęk, lęk przed nadmiarem rzeczywistości, nadmiarem bodźców, stan, który Hans Blumenberg, XX-wieczny myśliciel z linii herderowskiej, nazywa trafnie „absolutyzmem rzeczywistości.” Gdyby nie opiekunowie, ludzkie niemowlę nie miałoby żadnych szans na przeżycie, dlatego też Herder mówi, że w przypadku człowieka natura okazała się nie dobrą matką, lecz złą macochą; podczas gdy o zwierzęta zadbała, dostarczając im strategię przeżycia, człowieka osierociła, zostawiając go w stanie wybrakowania.

To jest powód, dla którego człowiek kompensuje sobie ten brak sferą symboliczną, czyli kulturą stworzoną przez język. Język jest więc kluczowy w procesie wychowania: inicjacja w język, w sferę wartości, w sferę instytucji, prawa służy oswojeniu pierwotnego przemożnego lęku przed dzikim ogromem świata. Dzięki temu powstaje cywilizacja jako pseudoniszę skrojona na miarę ludzkich potrzeb i możliwości, oferująca neoteniczną wybrakowanej istocie szansę nie tylko na przeżycie, ale także na „dobre życie” oparte na własnym poszukiwaniu szczęścia. Psychoanaliza Freuda także wyrosta z antropologii filozoficznej Herdera,

zwłaszcza z jej nauki o symbolicznej kompensacji. Dziecko rodzi się z pewną porcją energetyczną, z popędami, które Freud nazywa id – id jest absolutnie niszczycielskie w swojej pierwotnej postaci i musi zostać okiełznane przez kulturowe formy, które w psychice dziecka, już kształtowanej przez „romans rodzinny,” przyjmują postać ego, samowiedomego ja, i superego, moralnej instancji kontrolnej.

Myśli pani, że ludzie lub zwierzęta mają duszę? Czy ktoś z nas ją ma?

– Zwierzęta zdecydowanie mają duszę, jeśli i my ją mamy: tak samo jak my pragną żyć i tak samo boją się śmierci.

Nie wiem jednak, czym jest ta dusza, nie wierzę w jej nieśmiertelność. Dla mnie to wewnętrzna ściśle indywidualna forma życia – przeżywane przeze mnie moje życie, moje i tylko moje, sekretne i niedostępne komukolwiek innemu – która najprawdopodobniej przemija razem z naszą materialną postacią. Sądzę, że zwierzęta (ale może też rośliny?) mają taką witalną intuicję „mojności” życia, nawet jeśli nie osiągają pełnej świadomości swojego odrębnego ja. Życie to nie tylko proces biologiczny opisywany z zewnątrz przez obiektywną naukę, to także proces wewnętrzny wytwarzający własny rodzaj autoafekcji, samoodczuwania. Kto wie, czy to właśnie nie jest uniwersalna podstawa religijnych nauk o duszy.

Widzi pani w swoim kocie duszę?

– Obserwuję jego osobowość, jego indywidualizm, jego lęki i jego pragnienie życia. Kotów miałam całe mnóstwo i żadne z tych zwierząt nie miało nie wspólnego z kartezyjańską maszyną. One mają osobowość, uczucia, bo mają własne formy życia. Uczucia w przypadku zwierząt są intensywniejsze niż w przypadku ludzi, bo u ludzi są opakowane refleksją, za pośredniczaną. U zwierząt lęk jest nagi i radość jest naga.

To chyba jednak blisko pani do okolic słoweńskiej filozofki, o której wspomniałam na początku. Mówiąc o mistycyzmie, miała na myśli też nagość.

– Tyle że my nigdy nie będziemy mieli do niej dostępu. Wszystkie te wizje radykalnej bezpośredniości, te wszystkie próby odzyskania czystej energii id i jej formy rozkoszy (zwanej przez Lacana „jouissance” w odróżnieniu od zwykłej przyjemności) są w istocie dystopijne, ponieważ człowiek może wrócić tylko do wybrakowanego stanu zwierzęcości, który nie nadaje się ani do życia, ani nawet do przeżycia. Człowiek nigdy nie stanie się zwierzęciem przeżywającym bezpośrednio swoje emocje, a jeśli tak, to będzie to wyłącznie destrukcyjne. Salecl, podobnie jak cała linia freudowska, twierdzi, że jesteśmy skazani na kulturę, a ja uważam, że to głęboko niewłaściwa formuła. Nie, nie jesteśmy skazani: kultura nie tylko jest źródłem cierpień, jak głosił Freud, ale też podstawowym i koniecznym warunkiem naszego istnienia – a kiedy to sobie w pełni uświadomimy, kultura może się stać także naszym źródłem szczęścia (Freud i cała psychoanaliza ma niestety kłopot z tą tezą, nie bardzo wierząc w potęgę kompensacji, czyli – jak to nazywa – sublimacji). Tymczasem to

właśnie sfera symboliczna kultury udowadnia, że ten sam brak, który czynił nas słabymi zwierzętami w naturze, okazał się także bogactwem i wielką przewagą w cywilizacji, czyli sferze pozanaturalnej.

Czy pani rola wobec kota zmienia się zależnie od jego osobowości, czy dla zwierząt jesteśmy wszyscy tym samym?

– Ze wszystkimi kotami miałam osobisty kontakt, wiem, że mnie rozpoznają, reagują na imię, na swój własny sposób dialogują, rozmawiają z nami. Uwielbiam żyć wśród domowych zwierząt, ponieważ ich reakcje emocjonalne są proste i szczerze, a my, ludzie, bardzo tego potrzebujemy. Trochę gubimy się w gąszczu relacji międzyludzkich: złożyło się na to wiele „dekadenczkich” czynników, które uczyniły ze sfery kulturowej jedynie źródło cierpień nie dających pozytywnych zwrotów. Pierwszym tego symptomem jest powszechna mizantropia: jako ludzie przestajemy się lubić nawzajem i nie spodziewamy się po sobie niczego dobrego. I wtedy na arenę wkraczają zwierzęta działające na zasadzie prostej, ekwiwalentnej wymiany.

Mój bezwstydnie rozpieszczony kot nigdy nie zachowa się jak paskudny nastolatek: będzie się tym rozpieszczeniem rozkoszował, a jednocześnie okaże mi wdzięczność.

Prosty krąg do ut des (daję abyś dał) jest już niemal nieosiągalny w świecie ludzkim.

Kocha pani swojego kota?

– Bardzo.

Zaskoczyła mnie pani. Muszę się pani przyznać, że fascynuję się Lacanem.

– O nie! Lacan to niezwykle błyskotliwy myśliciel, ale o bardzo wątpliwych poglądach. Świetnie niestety dopasowany do obecnie panujących schyłkowych klimatów.

Lacan uważał, że zapraszając zwierzęta do ludzkiego świata, stają one na pograniczu. Komunikują się z nami w osteczości. Uważał, że mamy na zwierzęta bardzo duży wpływ i że one w pewnym sensie upodabniają się do nas, jakbyśmy zarażali je pragnieniem, ludzkim życiem.

– Nie przekonuje mnie ta diagnoza, jak zresztą wszystko, co mówi Lacan. Jak cała psychoanaliza Lacan też mieści się w herderowskiej linii filozofii antropologicznej, ale problem z Lacanem jest taki, że on bardzo absolutyzuje ten pierwotny ludzki brak, który u Herdera jest tylko początkiem drogi w tworzeniu sfery symbolicznej jako właściwego żywiołu ludzkiego istnienia. Jego słynne zdanie na temat różnicy antropologicznej brzmi: „Zwierzęciu brakuje braku”, a ten brak, ta nieokreśloność to zdaniem Lacana samo sedno naszego człowieczeństwa. Zamiast więc po herderowski ten brak kompensować w postaci narzędzi kultury, musimy się zbliżyć do braku, żeby nawiązać kontakt z tym, co nas naprawdę konstytuuje, co jest naprawdę moje i tylko moje. Dla Lacana tylko pierwotny brak może być całkowicie mój: wszystko inne należy do Innego, czyli do sfery symbolicznej. Dlatego też Lacan jest apologetą Tanatosa, popędu śmierci, bo jest on właśnie czystą ekspresją braku jako czegoś, co należy tylko

do mnie. Wszystko zaś, co należy do Erosa – kultura, tworzenie, intensywne relacje z innymi – jest wtórne i nieautentyczne.

Ja też tak myślę. To się przecież nawet daje poczuć.
– Oczywiście, na tym polega wielka pokusa lacanowskiej doktryny – ale jest to dokładnie ten rodzaj pokusy, której trzeba się oprzeć, żeby w ogóle móc żyć. To, co u Lacana nazywa się destytucją podmiotowości, to po prostu wycofanie ze sfery symbolicznej jako istnienia wtórnego i pozorowanego (kompensacyjnego) i powrót do stanu pierwotnego wybrakowania, w którym – powtarzam to po raz setny – nie da się żyć i funkcjonować. Dlatego w terapii lacanowskiej po „symbolicznym samobójstwie” nierzadko następuje to realne. To znany powód, dla którego Slavoj Žižek, jeden z najbardziej zawziętych lacanistów, nigdy nie przeszedł lacanowskiej terapii do końca: przełękł się perspektywę ostatecznej destytucji, która – jak stwierdził – pozbawiłaby go motywacji nie tylko do uczestnictwa w sferze symbolicznej (czyli pisania tysiącestronicowych dzieł), ale także do życia samego. Oczywiście u Lacana nie ma fantazji idealnej zwierzęcości Rousseau, natomiast jest obietnica – moim zdaniem niespełnialna – pierwotnej rozkoszy związanej właśnie z moim, tylko moim brakiem, do którego musimy wrócić, zwracając z drogi socjalizacji i zabierając w siebie resztki tej źródłowej jouissance rozproszone w świecie.

Lacan uważał, że musimy te resztki odzyskać, aby wrócić do siebie.
– Uważam, że jest to głęboko niewłaściwie, także z terapeutycznego punktu widzenia. Jestem wierna Herderowi: kompensacja braku i nowe wykorzystanie energii popędowej w aktach sublimacji to jedyna droga, w której możemy się ukonstytuować jako ludzie. Prawdziwe życie nie czeka na nas w regresji do „mojej, tylko mojej” rozkoszy (Lacan nazywa ją wprost autystyczną, choć nie w klinicznym sensie tego słowa), lecz w całkowitym przejściu na stronę kultury i intensywnych relacjach z innymi.

Słynne zdanie Lacana brzmi: „Stosunek seksualny nie istnieje”. Jesteśmy samotni w akcie seksualnym. Tam, gdzie jesteśmy bardzo blisko, najbliżej, jesteśmy jeszcze bardziej osobni. A może dzięki tej odległości możemy się wzajemnie zbliżyć poprzez zaakceptowanie swojej zwierzęcości.
– Ale my nie mamy w sobie krzyku zwierzęcości! Przyciągani iluzją cielesnej wsobności i jej „autystycznej rozkoszy” jedynie się odczłowieczamy. Przystajemy być ludźmi, bo się desocjalizujemy, bo osłabiamy nasze relacje z innymi: inny się oddala, w pewnym sensie znika z horyzontu, staje się tylko pretekstem, katalizatorem „mojej, tylko mojej” rozkoszy. Stosunek seksualny dla Lacana nie istnieje, bo dla niego nie ma relacji i co za tym idzie, nie ma też miłości. Ani miłości jako namiętnej pasji łączącej dwoje ludzi, ani miłości bliźniego jako uniwersalnego spoiwa etyki. Ani Freud, ani Lacan nie wierzą w miłość bliźniego, widząc w niej tylko opresyjny instrument cywilizacji niedający nic dobrego w zamian. Tymczasem nasze etyczne relacje w świecie symbolicznym mogą być róż-

dłem nie tylko cierpienia, ale także szczęścia. Jednak o tym i Freud, i Lacan milczą.

Ludzka seksualność nie jest więc zwierzęca?
– Otóż nie. Od samego początku popęd erotyczny jest uwikłany w sferę symboliczną. Tutaj Lacan jest nawet bardziej stanowczy niż Herder czy sam Freud: ludzki orgazm nigdy nie jest tylko prostym spełnieniem biologicznej potrzeby. Inny psychoanalityk, którego bardzo lubię, Jean Laplanche, posunął się jeszcze dalej, twierdząc, że w człowieku w ogóle nie ma biologii. Jest tylko „biologia udawana”, biomorficzna, czyli uformowana na obraz i podobieństwo procesów fizjologicznych. Ludzki nieokreślony popęd, który w stanie pierwotnym grozi autodestrukcją, szybko rozdziela się na dwa nurty: popęd seksualny, który w dużej mierze zachowuje anarchiczną postać popędu pierwotnego (stąd ludzka,

wstającej ludzkiej psychy wcale nie jest oczywiste. Zdaniem Laplanche’a bez tej perswazji ludzkie niemowlę nigdy nie nauczy się żyć. Nienamówione do życia odpowiednio wcześniej pozostanie na zawsze we władzy niszczyielskich bezzadnych odruchów, w których wybuchą będzie jego nieuformowany popęd.

I co z tego wynika?
– To, że nie rodzimy się zwierzętami: coś nas od nich odróżnia już na samym wstępie pomimo podobieństw na poziomie organicznym, jakim jest poród i pierwsza opieka nad nowo narodzoną. Matka jest dla dziecka otulającym ciałem, po trochu także przedłużeniem łona, ale też do niego mówi, a każda pieśczęta słowna namawia dziecko na istnienie. To jest także pierwsza rola języka. Bardzo obszernie pisze o tym Julia Kristeva, tworząc koncepcję

W internecie, tej strasznej otchłani, szaleje czysta przemoc, która nieuchronnie musi się kończyć wyasygnowaniem kozła ofiarnego, którego unicestwienie/cancelling cementuje „bańkę”, ale tylko na chwilę

arcyludzka wszechobecna skłonność do perwersji), i popędy porządku witalnego, które służą samozachowaniu. Tyle że te popędy witalne jedynie naśladują instynkty samozachowawcze: są „biologią imitacyjną”, którą psychę musi sobie szybko skonstruować, żeby w ogóle móc przeżyć. Laplanche mówi więc, że podczas gdy żaden kotek nie wsadzi łapki do ogniska, bo jest od początku znacznie lepiej uposażony w instynkty samozachowawcze, to dziecko robi to nagminnie. To prosta ilustracja różnicy antropologicznej. Od początku jesteśmy tą dziwną istotą, w której sfera symboliczna i naturalna się przenikają: nigdy nawet przez chwilę nie byliśmy zwierzętami. Podobnie jak psychoanalizycka Melanie Klein Laplanche zajmował się psychoanalizą niemowlęcą i studiował techniki opiekuńcze polegające na nauce życia, namawianiu dziecka, żeby zjadło, zasnęło, czyli tak naprawdę polubiło jedzenie, sen, a także defekację jako podstawowe procesy życiowe: „Za mamusię, za tatusią, jeszcze jedną łyżeczkę...”. Ta symboliczna transmisja życia to podstawowa rola matki w relacji z niemowlęciem: dzięki swojej miłości przekazuje ona dziecku, że życie da się pokochać, że dobrze jest żyć, warto coś zjeść, warto się wyspać, warto dbać o formę własnego organizmu, tak by nie funkcjonowało ono jedynie w rytmie niekontrolowanych impulsów. Że – filozoficznie rzecz ujmując – lepiej jest być, niż nie być, co z punktu widzenia dopiero co po-

matycznego języka jako naczynia, w którym rozwija się ludzka psychę. Język matczyny, bardziej muzyczny i semiotyczny niż semantyczny, czasem nawet bez słów, będący samą pieśczęcią, staje się bezpieczną ostoją, w pewnym sensie samą miłością, która zaprasza do życia i zaleca, by się nim dzielić: kochać dalej, nieść transmisję życia w świat, ku innym. Kto miał szczęście zaznać takiej namowy do istnienia, ten na zawsze będzie miał bezpieczne poczucie siebie, które Kristeva nazywa dobrym narcyzmem: był kochany i dzięki temu potrafi kochać. Ci natomiast, którym tego na początku zabrakło, mogą doświadczać pewnej ontologicznej niepewności: to tu rodzą się złe egocentryczne narcyzmy budujące sztuczne poczucie własnej wartości, które – tu znów Kristeva – tworzą piękne zasłony otaczające bolesną pustkę. Ludzka kondycja jest niezwykle krucha, na każdym etapie życia młodej psychy wszystko może pójść nie tak.

Racja. Żyjemy w ciągłym poczuciu winy wobec własnych dzieci, zawsze się martwimy, widzimy ich kruchość, widzimy, jak wydarzenia je czasem osłabiają, jak te z przeszłości na nie rzutują. Ciągłe się upewniamy, że będą żyły.
– No właśnie, może za mało kochamy, a za bardzo się martwimy. Opiekuńczość jest niezbędna, ale równie niezbędne jest usamodzielnienie. Tu na scenę wkracza mój drugi ulubiony psychoanalityk Donald Woods Winnicott ze swoją bardzo brytyjską – ironicznie dowcipną – koncepcją matki dostatecznej, czyli na trzy plus.

Ciągle upomina się rodziców, że czegoś dali dziecku za mało. A ja uważam, że problem polega na tym, że matki, za bardzo się zamartwiając, dają zdecydowanie za dużo, na pięć plus. W związku z tym dzieci nie uczą się doświadczenia frustracji, a na tym według Winnicotta zasadza się poczucie rzeczywistości, a zarazem poczucie własnego ja jako zdolnego do konfrontacji z obcym światem. Winnicottowska matka dostateczna to taka, która bardzo kocha swoje dziecko, ale nie stawia się na każde jego życzenie, natychmiast je spełniając: ta równowaga między miłością a pewną niedoskonałością w zaspokajaniu potrzeb dziecka jest tu kluczowa. W sumie znacznie gorzej dla dziecka, kiedy matka jest maksymalnie zamartwiona, a w związku z tym tak umęczona macierzyństwem, że niemal już niezdolna do spon-

Ale ta intuicyjna analogia jest bardzo aktualna. Zresztą prawdą jest, że kobiety chcą już dziś rodzić bez światła jarzeniowego, nawet i bez znieczulenia, wolą rodzić dłużej, niż przyspieszać taśmowo poród przez podanie oksytocyny. Można się z nimi nie zgadzać, lecz jest taki ruch i jest taka potrzeba.
– Jak wszystkie dzisiejsze powroty do natury inspirowane tak zwaną głęboką ekologią ruchy te wydają mi się, łagodnie rzecz ujmując, niefortunne. To raczej przepis na powrót do dużej śmiertelności zarówno noworodków, jak i rodzących kobiet.

Jakbyśmy byli błędem, anomalią. Niespecjalnie potrzebni i dziwni.
– Teraz przemawia przez panią mizantropia typowa dla tych wszystkich quasi-ekologicznych ruchów gloryfikujących powrót do natury. Może i jesteśmy naturalną anomalią, lecz co z tego? Natura też cały czas eksperymentuje i niektóre jej błędy są skazane na śmierć. Natomiast człowiek, pomimo biologicznego wybrakowania, zdołał nie tylko przeżyć, ale też stworzyć dla siebie nowy świat, w którym zapewnił sobie prosperitę nieznaną innym gatunkom naturalnym. Tak jak biocen zmienił pierwotny ziemski świat, otaczając go atmosferą sprzyjającą życiu, tak samo antropocen zmienił go raz jeszcze, budując niszę sprzyjającą człowiekowi. A może w kolejnym kroku nastąpi jeszcze jedna zmiana w stronę, powiedzmy, artificeu, kiedy rolę formowania świata przejmie samoświadoma AI? Takie są prawa ewolucji życia i nie ma co się na nie obrażać. Nasze więzi z naturą są i być powinny, antropocen musi nauczyć się żyć w zgodzie z biocenem, ale to nie znaczy, że człowiek ma nagle poczuć jakąś potężną identyfikację z naturą.

Chyba wspominał o tym Slavoj Žižek, uważał, że natura jest naszym skansenem, powinniśmy ją chronić, jednak nie mamy z nią już zbyt wiele wspólnego. Ciekawe, bo na tym zasadza się intuicyjny ekologiczny lęk, zabijamy coś „naszego”, część nas, niewdzięczni zapomnieliśmy o matce ziemi.
– Žižek mówił nawet więcej – że jesteśmy już pozanaturalną formą życia, pośrednią w tworzeniu kolejnych. Ale chwala Bogu, że nic nie wspominał o wdzięczności wobec matki ziemi, bo – powtarzam za Herderem – „w przypadku człowieka natura okazała się złą macochą”, więc jakaś przesadna wdzięczność wcale jej się nie należy.

Nasze koty są więc historycznymi artefaktami.
– A gdzie tam, to najbardziej wygrane stworzenia Wszechświata. Na szczycie buddyjskiej piramidy bytów najszcześniejszych stawiam bez żadnych wątpliwości kota domowego.

Słyszała pani na pewno takie stwierdzenia, że ludzie wolą teraz mieć psa lub kota zamiast dziecka.
– Mówi się o tym dużo, strona konserwatywna załamuje ręce. Papież Franciszek się nawet w tej sprawie wypowiedział, głęboko zaniepokojony. Ta preferencja wobec zwierząt jest jednak całkiem zrozumiała. Mówiliśmy już o tym, że coś się w naszej kulturowej transmisji życia załamało: socjalizacja przebiega coraz trudniej, nastaje era kom-

pletnej mizantropii, zanika poczucie, że być jest lepiej, niż nie być, że życie ludzkie świadome wyboru życia jest cenną formą istnienia.

Człowiek – to już nie brzmi dumnie. Ludzie nie ufają sobie nawzajem, nie lubią siebie i innych, więc to oczywiste, że wołą zwierzęta (jak niestety Hitler, pierwszy i wzorcowy ekolog mizantrop).

Bez wątpienia bardzo przyczyniła się do tego era internetu. Jak słusznie powiedział René Girard, ujawniła ona „rzeczy, które powinny być zakryte od początku świata”.

A które rzeczy ma pani na myśli?
– To brutalne dane naszej nieświadomości, które wiążą się z kondycją, jak to nazywał Freud, pierwotnej bezradności: lęk, ślepa agresja, przemoc. Świat, który wylania się z internetowej otchłani, to przerażający chaos doznań, których nie jest w stanie przefiltrować i ogarnąć żaden porządek symboliczny. Stawia ponownie ludzi umysł w sytuacji niemowlęcia wystawionego na „absolutyzm rzeczywistości” i reakcją na to niekontrolowane wystawienie na nadmiar bodźców (najczęściej zresztą negatywnych) jest regres do pozycji niemowlęcej, którą Melanie Klein określa mianem paranoidalno-schizoidalnej, pełnej „wściekłości i wrzasku,” ale nade wszystkim bezradnej.

Freud mówił, że nasza psychika jest jak Rzym, czyli miasto, które składa się z wielowarstwowych ruin: nawet najbardziej archaiczne budowle nadal tkwią w tym mieście. Dlatego wszelkie formy regresji są zawsze możliwe: to największe niebezpieczeństwo, która czyha na nas, byty psychiczne. Bycie-w-świecie (by użyć formuły Heideggera), które przybrało postać bycia-w-internecie, takim regresjom bardzo sprzyja. W tej strasznej otchłani szaleje czysta przemoc. René Girard nazywał ją przemocą mimesy, czyli związana z chaosem odróżnicowania i zanikiem porządkujących form, która nieuchronnie musi się kończyć przemocą ofiarniczą: wyasygnowaniem kozła ofiarnego, którego się wirtualnie zabija i którego unicestwienie/cancelling cementuje „bańkę”, ale tylko na bardzo krótką chwilę. Zdaniem zarówno Girarda, jak i Freuda cywilizacja ludzka dąży do tego, żeby wydobyc nas ze stanu pierwotnej bezradności, w której po prostu nie da się żyć. Internet natomiast to głos prymitywnej nieświadomości: kondycji bezradności i przemocy jednocześnie wobec świata, który na powrót stał się groźnym chaosem, tohu wawo-wohu sprzed aktu stworzenia.

To bardzo wyraźne przy cancelingu, kiedy to ofiary są uprawnione do agresji.
– Nie ma mnie w mediach społecznościowych od sześciu lat, obcuje wyłącznie z realnymi twarzami, a nie wirtualnymi awatarami: wszystkim polecam to doświadczenie. Cancelling, czyli kultura unieważnienia, który wbrew twierdzeniom polskiej bańki lewicowej (patrz: Wojciech Orliński) istnieje i ma się świetnie, jest zjawiskiem niemożliwym poza tą specyficzną sferą dehumanizacji, jaką stwarza internet. Problem z cancelingiem nie polega na tym, że ostracyzuje on osoby o fobicznych poglądach (co zdaniem Orlińskiego jest OK), ale na tym, że wykazuje w tym względzie niepokojącą gorliwość: aktywnie poszukuje nowych kozłów ofiarnych, bo tu przemoc ofiarnicza jest pierwszą i najważniejszą motywacją. Ponieważ unieważnianie jest częścią agresyw-

nej kondycji bezradności, nie chodzi w nim o realną sprawczość: o działanie w realnym świecie, które miałyby przynieść realne postępowe zmiany. Podobnie jak bezradne wściekle niemowlę rani matkę na oślep, tak samo działa agresja unieważniająca: to pseudosprawczość w sytuacji, kiedy świat wydaje się tak nieodwracalnie okropny, że nic w nim nie da się zrobić. A im więcej jesteśmy w świecie internetowym, tym silniejsze poczucie, że jest on poza zbawieniem.

I doświadczając tego, nie chcemy mieć dzieci, wolimy mieć kota.
– Bycie wśród innych staje się trudne, niemal niemożliwe. Pojawia się potrzeba wielkiego odosobnienia – jak u pani w terapii lacanowskiej – albo potrzeba bycia ze zwierzętami, które są poza całym tym ludzkim uwikłaniem.

Ale nieme.
– Ten pani mały kotek zaraz nauczy się mówić. Będzie pani słyszeć różne rodzaje miauknięć.
Pytała pani, czy jesteśmy dla kota Wielkim Innym: myślę, że nie, zwierzęta działają na zasadzie prostej wymiany potrzeb, co jest dla nas bardzo oczyszczające. Lgniemy do zwierząt, żeby mieć normalną relację, na którą w ludzkim świecie mamy coraz mniej szans.

Może za mało kochamy, a za bardzo się martwimy. Opiekuńczość jest niezbędna, ale również niezbędne jest usamodzielnienie

Era internetu bardzo przyspieszyła proces schyłkowy. Wszystkie wysoko rozwinięte cywilizacje wchodzą w pewnym momencie w tajemniczą fazę wewnętrznego wydrążenia. Michel Houellebecq napisał o tym bardzo dobrą powieść pt. „Unicestwienie”: opowiada ona o punkcie zwrotnym, który jego zdaniem nasza zachodnia cywilizacja minęła bezpowrotnie, a po którym zanika wszelka żywotność i górę bierze już tylko entropia. Niewątpliwie internet przyczynił się wprost do przyrostu entropii, do rozpadu świata w pierwotny chaos, rozproszenia, zagubienia, wtórnej bezradności. Cała ta skomplikowana perswazja – symboliczny system namawiania do życia – nagle legła w gruzach. Wszyscy to chyba czujemy, to taki egzystencjalny nastrój naszych czasów. Jakbyśmy już nie mieli dostępu do życia, jakby – jak to kiedyś powiedział Adorno – nasze życie nie żyło...

I to życie jest w dziecku albo w kotku.
– Tak, dziecko widzi niebo i radośnie się śmieje. Kot biega jak szalony po domu i jest po prostu torpedą energetyczną. We wszystkich dekadencjach kulturach pojawia się to samo pragnienie: gloryfikacji zwierzęcia i dziecka w nadziei na kontakt z utracionym skarbem życia. Doskonale wiadać to w pismach Nietzschego, pierwszego przenikliwego diagnosty zachodniej fazy osłabienia. Nietzschemu bardzo zależało na ocaleniu życia, stąd jego koncepcja, że każde mło-

de wzrastające życie trzeba osłonić „otoczką”, choćby nawet za cenę iluzji, aby nie musiało się od razu mierzyć ze strasznymi prawdami istnienia odsłanianymi przez wiedzę, która w każdej późnej cywilizacji przynosi zawsze ten sam skutek: skrajne odczarowanie. Dziś widzę tak wielu smutnych młodych ludzi, których za wcześniej dotknął smutek odczarowania: zobaczyli za dużo i za szybko, zostali wrzuceni w chaotyczną otchłań świata bez formy, czyli „absolutyzmu rzeczywistości” uderzającego ich bezpośrednio, i bez żadnych filtrów. Wszelkie „otoczki” ochronne przestały działać, a bez nich życie wydaje się po prostu niemożliwe.

Nigdy nie będziemy kotami. Ale chcemy dotrzeć do życia.
– Dla ludzi to dotarcie do życia nigdy nie jest sprawą prostą. Nasze dzieci nie są kotami: mają w sobie tyle życia, ile w nie włożyliśmy. Jednak ponieważ sami tracimy przekonanie do życia, to coraz trudniej jest nam je przekazywać kolejnym generacjom. Ludzka transmisja życia jest przede wszystkim symboliczna.

Kulturowa?
– Tak. I tu właśnie pojawia się problem – zanik witalnej perswazji po stronie kultury przytłoczonej odczarowaniem i entropią. Kultura zachodnia miała dwa mocne źródła symbolicznej namowy do życia: z jednej strony Grecję z jej ontologicznym rozumieniem dobra (dla Arystotelesa było racjonalną oczywistością, że lepiej jest być, niż nie być), z drugiej – religie abrahamiczne oparte na boskim imperatywie ubaharta bahaim, „wybierzcie życie!”, który pada w Księdze Powtórzonego Prawa i wprost namawia do wyboru życia przeciw śmierci. Oba te źródła powoli się wyczerpują i na razie nie pojawia się żadne równie silne pozytywne przesłanie, które mogłoby je skutecznie zastąpić.

A jak sobie pani radzi z atrofią żywotności? Żyje pani w azylu?
– Staram się pielęgnować rozmaite nietzscheańskie „otoczki”, które stwarzają dla życia barierę ochronną, ale powszechny nastrój smutku dopada mnie na każdym kroku, to nieuniknione. Jedyne, co mogę zrobić, to namowę do życia zawierać w mojej filozofii i wierzyć, że jeszcze do kogoś przemówi. ●



FOT. ANIA MAKSYMILUK

*Agata Bielik-Robson

• mieszka w Warszawie i Nottingham. Pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN oraz jako profesor Jewish Studies na Wydziale Teologii i Religioznawstwa w University of Nottingham. Zajmuje się współczesną filozofią psychoanalizy, filozofią religii oraz myślą postsekularną ze szczególnym uwzględnieniem dziedzictwa żydowskiego. Jako publicystkę interesuje ją także przyszłość myśli liberalnej. W roku akademickim 2022/23 objęta rotacyjną Katedrę im. Marii Janion na Uniwersytecie Gdańskim

Babciowe to trucizna

Katolicki publicysta walczy z kapitalizmem (i Tuskiem).

Magdalena Czyż

Zdumiewająca jest zawziętość konserwatywnych katolickich publicystów w ich próbach zohydzenia nowej władzy. Ale gdyby chodziło tylko o Tuska, to byłoby jeszcze pół biedy. Problem z katolicką konserwą jest od wieków ten sam: za wszelką cenę, nawet swojej śmieszności, próbuje narzucać innym, jak mają żyć.

Wygląda na to, że red. Marcin Kędzierski, publicysta „Gościa Niedzielnego”, uparł się, żeby osiągnąć oba cele jednocześnie, nie oglądając się, na kogo wychodzi w oczach czytelników.

„Babciowe jest szkodliwe” – takiego tytułu nie sposób pominąć.

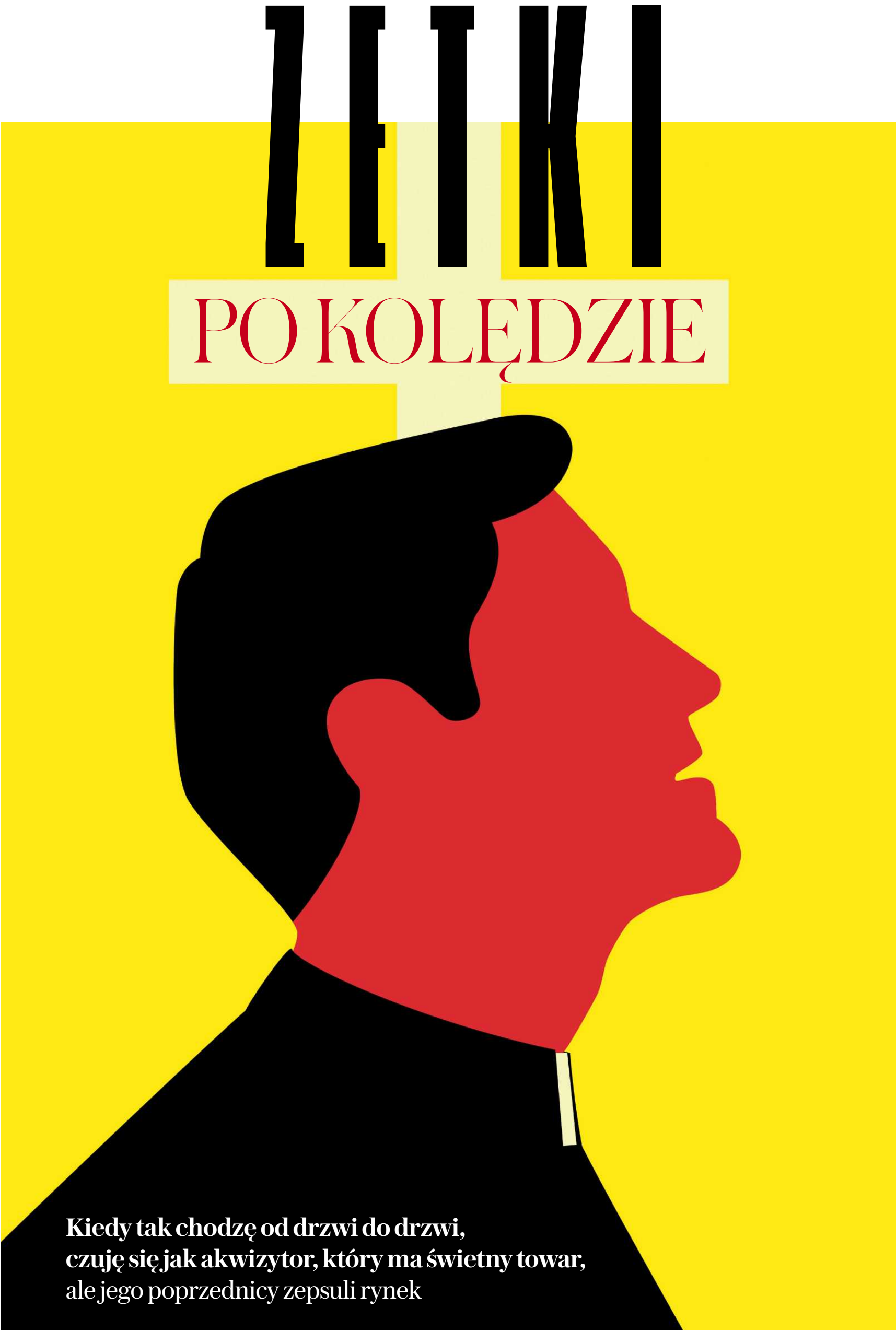
„Nowy premier złożył w kampanii wiele obietnic. Były pomysły całkiem rozsądne, jak choćby podwyżki dla budżetówki, bo ta grupa zawodowa strasznie dostała finansowo po głowie w ostatnich latach. Ale były też pomysły mniej przemyślane, żeby nie powiedzieć głupie i szkodliwe. Takim postulatem było tzw. babciowe, czyli świadczenie zachęcające młode matki do powrotu na rynek pracy. Niestety, Donald Tusk w ostatnich dniach powtórzył, że na »babciowym« mu zależy” – zaczyna wywód red. Kędzierski i kontynuuje: „Kluczem do co najmniej utrzymania współzynnika dziecięności na obecnym i tak niskim poziomie jest zatem zachęcenie Polek, aby decydowały się na drugie dziecko. Jak pokazują badania, jeśli kobieta decyduje się na urodzenie kolejnego dziecka, to najłatwiej przychodzi jej to niedługo po urodzeniu pierwszego. Dlatego wprowadzony przez poprzedni rząd tzw. Rodzinny Kapitał Opiekuńczy (RKO), który oferował wsparcie rodzicom dzieci w wieku 12-36 miesięcy, był ze wszech miar sensowny. Zachęcanie kobiet do szybkiego powrotu na rynek pracy poprzez wprowadzenie »babciowego« (notabene o wartości wyższej niż RKO) jest krokiem dokładnie w przeciwnym kierunku”.

Drobny szczegół, który red. Kędzierski (nie wierzę, że nieświadomie) pomija, jest taki, że RKO nikt w nowym rządzie nie zamierza wycofywać. Natomiast babciowe jest uzupełnieniem systemu wsparcia dla rodziców. Daje im możliwość wyboru („wybór” to – zdaje się – słowo wyklęte przez katolickich konserwatystów). Jeśli rodzic ma dobrą pracę, którą lubi i jeszcze dobrze mu płacą, to za powrót do niej dostanie dodatkowe wsparcie od państwa w postaci pieniędzy na nianię. Opłaci się to rodzicowi, państwu i dziecku, bo spełniony zawodowo rodzic jest dla malucha świetnym przykładem.

Ale red. Kędzierski się martwi: „A co, jeśli ta logika jest zabójcza? A co, jeśli dziecko do 3. roku życia powinno funkcjonować w bliskiej relacji z rodzicem (matką lub ojcem)? A co, jeśli opieka żłobkowa, nawet dobrze prowadzona, skutkuje większym ryzykiem zaburzeń psychicznych w dorosłym życiu? Nie wymyślam sobie tego, takie wnioski przynosi nam współczesna nauka”. Red. Kędzierski nie podaje badań, bo i po co. Gdyby zaczął ich szukać, doszukałby się zapewne takich, które doprowadzają naukowców do zupełnie innych wniosków.

Nie bądźmy jednak małostkowi, zwłaszcza że red. Kędzierski uderza w naprawdę wysokie to-ny: „Dlaczego tak wielu z nas trudno to zaakceptować? Dlaczego takie tezy jeżą włos na głowie licznych ekspertów od polityki społecznej, którzy jak mantra powtarzają »budujmy żłobki«”. To kapitalizm próbuje nas zachęcić, abyśmy »utowarowali« i zmonetyzowali każdą sekundę naszego życia. To kapitalizm przekonuje nas, że nasza wartość zależy od pracy zawodowej. W tym sensie »babciowe« to trucizna. Zniechęcenie do urodzenia drugiego dziecka z pewnością jest problemem z perspektywy demograficznej, ale to nic w porównaniu do kolejnego perfidnego narzędzia, które wpina nas jako społeczeństwo w kapitalistyczny matrix”.

Można się tylko domyślać, jak bardzo red. Kędzierski musi tęsknić za alternatywnym dla tego ohydneho kapitalizmu systemem gospodarki centralnie planowanej. Najlepiej przez Jarosława Kaczyńskiego. ●



Małgorzata Skowrońska

Polska nie jest jedynym europejskim krajem z dużą liczbą katolików, w którym raz w roku ksiądz odwiedza swoich parafian w domach. Kolęda odbywa się też np. w Niemczech czy we Włoszech, ale niekoniecznie w okresie Bożego Narodzenia. Nad Wisłą czas na takie wizyty przypada na przełom roku. Zaczynają się – jeśli parafia jest duża – przed świętami, a kończą w lutym. Najnowszych statystyk jednak brakuje. Ostatni raport Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego pochodzi sprzed dekady. Warto jednak do niego zajrzeć. „Trudno znaleźć odpowiedniki takich praktyk społecznych w świecie świeckich instytucji. Zwykle instytucja oczekuje i wymaga, aby jej obywatele przychodzili do urzędu i na miejscu załatwiali swoje sprawy. Z kolędą jest dokładnie odmiennie: Kościół przychodzi do ludzi, do wytwornych apartamentów i do obskurnych melin, do ludzi bogatych i biednych, młodych i starych, praktykujących i religijnie obojętnych” – można przeczytać w opracowaniu ISKK. Z zebranych wówczas danych wynika, że np. w archidiecezji warszawskiej 74 proc. przyjmowało księdza po kolędzie zawsze, czasami – 16 proc., a nigdy – tylko 8 proc.

Jak to wygląda dziś? Niewiele parafii ujawnia raporty pokolędowe. Są jednak i takie, które podają podstawowe dane statystyczne. Jezuici z warszawskiej dzielnicy Mokotów od kilku lat na swojej stronie internetowej umieszczają takie dane. Jedne z ostatnich mówią o tym, że drzwi otworzyła im zaledwie co czwarta rodzina, a na prawie 7 tys. odwiedzonych mieszkań w 4700 odbili się od drzwi. Z kolei z otwarcie wyrażoną odmową przyjęcia duchownego spotkali się w 467 przypadkach.

Dzwonię do znajomego księdza z Warszawy (jest wikarym na południowych obrzeżach miasta). – O kolędę chciałam zapytać – mówię. – A to świetnie, bo akurat chodzę po blokach – odpowiada. Gdy przepraszam, że przeszkadzam, i zapowiadam telefon w późniejszych godzinach, słyszę: – A nie, możemy rozmawiać. Czekam przed klatką, bo ministrantów puściłem, żeby sprawdzili, czy ktoś przyjmuje. W ostatniej nikt nie chciał, tu pewnie będzie podobnie, więc możemy pogadać...

PANDEMIA ZMIENIA ZWYCZAJE

Gdy w 2021 roku szalał koronawirus, a biskupi dawali dyspensę od obowiązku uczestniczenia w niedzielnych mszach, wizyty duszpasterskie ograniczono. Episkopat nie zdecydował się wówczas wydać ogólnopolskich wytycznych. O tym, czy kolęda zostanie zawieszona, przesunięta, czy zorganizowana jako msza z limitem wiernych dla osiedla czy ulicy, decydował biskup. Proboszczowie podporządkowywali się, choć narzekali na mniejsze wpływy z kopert. – Darowizny wpływające podczas takiej formy kolędy zmalały w zeszłym roku w stosunku do lat wcześniejszych o blisko 50 proc. – mówił wówczas „Wyborczej” Wojciech Żmudziński, socjusz przełożonego Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego. Inni duchowni przyznawali, że wpływy zmalały nawet o 70-80 proc.

Rok później – gdy już oswoiliśmy się z reżimem sanitarnym – wizyta duszpasterska wróciła, ale w innej formie. Kościół zaprobował „kolędę na życzenie”. To oznacza, że duchowny przychodzi tylko do tych mieszkańców, którzy wcześniej zapisali się

na listę (e-mailowo, telefonicznie lub podczas odwiedzin w kancelarii parafialnej).

Wiele parafii taką formę kolędy utrzymało do dziś, choć biskupi protestują. – Stanowczo zalecam księżom kolędę od domu do domu. Jedyne w sytuacjach, w których jest to uzasadnione, może być ona kolędą na zaproszenie (...). Kolęda ma być dobrą praktyką duszpasterską, więc, bez spiecia, ale jednak przekonuję księży do wysiłku w tym kierunku – zaapelował pod koniec ubiegłego roku biskup diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej Zbigniew Zieliński.

Kardynał Grzegorz Ryś, który zawiaduje archidiecezją łódzką, też chce powrotu do chodzenia od drzwi do drzwi, ale wyraża to mniej stanowczo. Zamiast apelu na spotkaniach czy to z katolikami, czy księżmi, wyjaśnia, dlaczego sam wybrał się z kolędą do 89-letniego łodzianina. Do tamtejszej kurii napisała córka mężczyzny z pretensjami, że jej ojciec został pominięty przez chodzącego po kolędzie proboszcza, bo emeryt nie zgłosił e-mailowo chęci przyjęcia księdza.

Hierarcha opowiada: – Nie zgłosił, bo nie miał internetu, ale tego dnia, gdy kolęda się odbywała, poprosił sąsiadów, żeby sprowadzili księdza do niego. Ubrał się w garnitur, w białą koszulę i usiadł na stolku przy drzwiach. Cekał 2,5 godziny, ale ksiądz nie przyszedł. Dlaczego? Bo uznał, że w ten sposób duchownego się nie zaprasza. I minął te drzwi. 89-letni katolik powiedział wtedy, że więcej żadnego księdza nie przyjmie. Napisałem do niego list z przeprosinami i że jestem gotów przyjść do niego po kolędzie. Okazało się, że rok temu zmarła mu żona, więc możecie sobie wyobrazić, w jakim był stanie psychicznym i duchowym. Do kogo mamy chodzić jak nie do takich ludzi?

PODZIĘKUJE, WOLE ZIMĄ KOŚCIÓŁ SPRZĄTAĆ

Katolik nie ma obowiązku przyjmowania księdza po kolędzie. Co innego ksiądz – dla duchownych to obligatoryjna praca. Zgodnie z kodeksem prawa kanonicznego „pragnąć dobrze wypełnić funkcję pasterza, proboszcz powinien starać się poznać wiernych powierzonych jego pieczy” (kan. 529 paragraf kpk). Dotyczy to także pracujących w parafii wikariuszy.

Ksiądz z 12-letnim stażem kapłańskim, pracuje w 22-tysięcznej parafii po sąsiedztwu z centrum Krakowa: – Powiem szczerze, odchoremuję kolędę. Kiedy tak chodzę od drzwi do drzwi, czuję się jak akwizytor, który ma świetny towar, ale jego poprzednicy tak zepsuli rynek, że muszę się wstydić.

Duchowny opowiada, że w czasie pandemii odetchnął, gdy nie musiał się tłumaczyć przyjmującym go katolikom z politycznego uwikłania Kościoła w Polsce: – Podczas kolędy zbieram baty za PiS, za metropolitę Jędraszewskiego, za religię w szkole i konkordat. I jeszcze za potępienie antykoncepcji albo za wykluczanie ludzi żyjących w związkach niesakramentalnych lub LGBT. Katolicy chcą dziś wiedzieć, dlaczego polscy biskupi nie słuchają papieża Franciszka albo dlaczego są tak mało otwarci. Czasami te pretensje wyrażane są dość ostentacyjnie. Ale największą awanturę miałem z panem, który słusznie się denerwował, że w naszej parafii proboszcz nie zezwala na przyjmowanie komunii na rękę.

Inny krakowski duchowny z zaledwie kilkuletnim stażem przyznaje, że po kolędzie chodził tylko raz. – Psychicznie źle to zniosłem. Co innego mszę odprawiać, kazanie głosić, a co innego siałac z ludźmi przy stole i rozmawiać. Mam jeszcze fobię z powodu zwierząt, bo jako dziecko zostałem po-

gryziony przez amstafa. Psy i koty wyczuwają mój lęk. Podczas jednej z pierwszych wizyt kot tak prychał i stroszył ogon, jakby diabła zobaczył. Domownicy musieli go zamknąć w łazience. W tym roku poprosiłem proboszcza, żeby mnie zwolnił z obowiązku wizyt, a gdy się nie zgodził, przedstawiłem mu L4. Uszanował. Tyle że dodatku do pensji nie będzie.

Kolejny ksiądz z metropolii krakowskiej (z pokolenia Z) wolałby zimny kościół sprzątać, niż chodzić po kolędzie. – Awantur się nie boję. Jak ktoś o politykę zahaça, też podyskutuję. Ręce mi jednak opadają, gdy słyszę z jednej strony tzw. katolików postępowych, którzy chcieliby zniesienia celibatu, a z drugiej tych tradycyjnych, którzy utożsamiają wiarę z narodowością i woleliby powrotu do mszy po łacinie. I nawet te skrajności już przelknę, ale dobijają mnie koperty. Modlisz się w domu, widać, że się nie przelewa, a na stole obok krzyża, świec i wody święconej leży koperta. Odmówić przyjęcia jednak nie można. Raz to zrobiłem i uraziłem gospodarzy.

W podejściu do kolędy widać różnice pokoleniowe. O ile młodzi księża krytycznie oceniają zwyczaj odwiedzania parafian w domach, o tyle proboszczowie – najczęściej pokolenie 40 plus – uważają, że to najlepszy pomysł na poznanie parafian. Ojciec Barnaba Lewkowicz, franciszkanin z Wrocławia: „Kolęda jest doskonałą okazją ku temu, aby lepiej się poznać, aby przełamać anonimowość, aby wymienić swoje uwagi czy spostrzeżenia dotyczące życia parafialnego czy też życia konkretnej rodziny. Jest okazją do tego, aby porozmawiać o wątpliwościach, odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących wiary i życia religijnego. Czasem trzeba też upomnieć”.

500 OD RODZINY, 250 OD SINGLA

I upomnienia lecą z ambony albo w mediach społecznościowych, gdy przychodzi czas na podsumowanie wizyt duszpasterskich. Kilka lat temu głośno było o proboszczu z Wrocławia, który obszernym wpisem na profilu parafii na FB podsumował kolędę: „Ludzie, którzy nie otwierają drzwi, nie mają odwagi przyznać się do innego wyznania albo do tego, że są niewierzący. Niektórzy sprawiali wrażenie, jakby uciekali przed kapłanami (...) a może jak ktoś z takich umrze, wtedy i my uciekniemy”. Są też bardziej... szczegółowe raporty. Przed pandemią proboszcz z warszawskiej dzielnicy Tarchomin ujawnił w internecie: – Najslabiej przyjmowały nas rodziny w blokach Osiedle Modlińska 67b i c. Tylko 15 proc.! Najlepiej zaś przyjmowano nas w domach przy ulicy Zakątnej – 100 proc. i Familijnej – 95 proc.

Publicznie pochwalil nowe osiedla w tej dzielnicy i zauważył, że świeżo zameldowani w stolicy przybysze pochodzą z Zamościa, Lublina, Suwałk i Łomży: – Jeszcze się na dobre nie urządzili, ale już czekali na księdza.

Tarchomiński duchowny, w przeciwieństwie do innych księży, zdecydował się też na ujawnienie, ile zebrał w kopertach. To rzadkie zachowanie, bo transparentność, szczególnie finansowa, nie jest mocną stroną Kościoła w Polsce. Okazało się, że w przedpandemicznych czasach, odwiedzając 1062 rodzin, zebrał ponad 46 tys. zł.

Ile w tym roku wkładają katolicy do koperty? Księża podsumowują, że inflacja objęła też datki zbierane podczas kolędy. – Przed pandemią standardem było 100 złotych, teraz w kopercie są dwusetki, zdarza się, że – jeśli rodzina duża oraz zamożna

– jest to 500 zł – słyszę od duchownego, który czuje się podczas kolędy jak akwizytor.

Sporo na wizytach duszpasterskich zarabiają też ministranci. Ich rola polega na anonsowaniu księdza, asystowaniu podczas modlitwy błogosławieństwa dla domu, ewentualnie śpiewają kolędy. Zazwyczaj dostają do podziału kwotę nie mniejszą niż 10-20 zł, ale bywają i tacy, którzy dają po 50 i 100 zł. – Liczę, że w tym roku uzbioram koło tysiąca złotych. Praca jest ciężka, bo mój zegarek pokazuje, że podczas takiego chodzenia po osiedlu robię nawet 20 tys. kroków w jedno popołudnie – mówi 13-letni Mikołaj, który z kolegą pomaga proboszczowi z krakowskich Czyżyn. I dodaje, że nawet jeśli „blok słaby”, to ksiądz na koniec dorzuci im „po stówce”.

Co się dzieje z pieniędzmi zebranymi podczas kolędy? Decyduje o tym proboszcz (często mówi się o pieniądzach z kopert – „księżowska trzynastka”), choć musi podzielić się najczęściej z kurią i lokalnym seminarium duchownym w proporcjach: jedna trzecia dla biskupa, taka sama część dla uczących się kleryków, a reszta dla parafii. – Dopiero z tej ostatniej części wydziela się kwoty dla wikariuszy. I to jest uznanie. Jeśli proboszcz ma gest, można liczyć na więcej. Ale zdarzają się też takie sytuacje, że kwoty są symboliczne – komentuje krakowski ksiądz.

POPROSZE O KOLEDE ONLINE. MOZE BYC NA ZOOMIE

Autorzy cytowanej historycznej analizy kolędy już ponad dekadę temu zauważyli, że szybko zmieniające się rytmy życia codziennego i świątecznego, wymuszone m.in. pracą, nie sprzyjają podtrzymywaniu tradycyjnych wzorów praktyk kolędowych. „Niekiedy odnosi się wrażenie, że organizatorzy życia religijnego w parafiach nie dostrzegają znaczenia istoty społecznych zmian, umacniając przez to procesy sekularyzacji i laicyzacji, które i tak, odrębnym kanałem komunikacji społecznej, docierają do świadomości mieszkańców parafii” – czytamy w raporcie.

– Dziś kolęda traci na znaczeniu. Zapracowanych parafian denerwuje, że muszą przygotować dom na wizytę duszpasterską i zmienić plany na popołudnie, gdy zazwyczaj ksiądz chodzi po kolędzie. Z rozprawieniem odczytałem ostatnio e-maila od pani, która poprosiła o kolędę online, najlepiej na Zoomie, bo akurat w tym dniu, gdy przyjdzie ksiądz, ma zaplanowaną wizytę w gabinecie stomatologicznym – opowiada krakowski duchowny.

Mniejsze znaczenie wizyty duszpasterskiej widzą też świeccy katolicy. – Siedem lat temu, gdy sprowadziliśmy się do nowego bloku, na naszym piętrze na dziesięć mieszkań w ośmiu przyjmowano księdza. W tym roku pewnie będzie to tylko moja rodzina i emerytowana sąsiadka. I to nie dlatego, że wszyscy stali się niewierzący, ale sporo mamy mieszkań na wynajem, a tymczasowi lokatorzy nawet nie wiedzą, kiedy jest kolęda – tłumaczy Kamila Ryniuk. Mieszkanka krakowskiego Ruczaju przyznaje, że choć wciąż decyduje się otworzyć drzwi przed księdzem, męczy ją rutynowe podejście duchownych. – Przychodzą, nie patrzą w oczy, szybkie błogosławieństwo, kilka standardowych pytań, czy chodzimy do kościoła, czy zdrowie dopisuje i jak z pracą. Sprawiają jednak wrażenie, że prawdziwych odpowiedzi nie chcą usłyszeć. Są mili, ale nie wchodzą w bliższe relacje. Dzieciom podpisują się w zeszytach do religii, wyciągną święte obrazki i koniec. Lecą dalej. ●

Inflacja objęła też datki zbierane podczas kolędy: – Przed pandemią standardem było 100 złotych, teraz w kopercie są dwusetki, zdarza się, że – jeśli rodzina duża oraz zamożna – jest to 500 zł

Ciemna strona śniegu

Kiedy zimą w górach jest naprawdę bezpiecznie, a kiedy tylko się tak wydaje?
Co wywołuje lawinę? Czy można przed nią uciec? Jak przeżyć samemu i jak ratować innych?

Wawrzyniec Świącicki

Góry zimą są wyjątkowo piękne. Wypadające w tym czasie ferie szkolne sprawiają, że na zaśnieżonych stokach pojawia się mnóstwo turystów i amatorów białego szaleństwa. Niestety, nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że góry w zimie są nie tylko zachwycające, ale mogą być również niebezpieczne.

Podstawowym problemem związanym z obecnością śniegu w górach są lawiny śnieżne. Zagrożenie lawinowe określa się w pięciostopniowej skali, na podstawie szacun-

kowej grubości i stabilności pokrywy śnieżnej. Skala ta jest powszechnie stosowana w ratownictwie górskim na całym świecie. Częstym błędem jest lekceważenie ostrzeżeń niższego stopnia. Pozornie może się wydawać, że skoro do końca skali jest jeszcze daleko, jesteśmy bezpieczni. W rzeczywistości już przy pierwszym stopniu występuje ryzyko zejścia lawiny. Drugi stopień oznacza sytuację zdecydowanie groźną – mniejsze lawiny mogą schodzić samoczynnie, a w niektórych miejscach łatwo jest podciąć śnieg,

tak by nastąpił obryw. Piąty stopień to kataklizm na skalę, która w Polsce w zasadzie nie występuje.

W Tatrach zagrożenie lawinowe występuje od listopada do czerwca, z kulminacją w marcu. Paradoksalnie te potężne, wiosenne lawiny z mokrego śniegu, które potrafią powalić cały las, ale których miejsce i czas zejścia da się przewidzieć, są zazwyczaj mniej groźne. To te mniejsze, nieprzewidywalne lawiny deskowe z suchego śniegu co roku pochłaniają najwięcej ofiar wśród użytkowników gór.

CZYNNIKI SPRZYJAJĄCE POWSTAWANIU LAWIN

TEMPERATURA

Zmiany temperatury otoczenia wpływają na strukturę kryształów tworzących pokrywę śnieżną. W zależności od częstotliwości i amplitudy tych zmian kryształy śniegu ulegają rozbudowie lub redukcji, co wpływa na zagrożenie lawinowe.



Gwałtowne ocieplenie, któremu dodatkowo towarzyszy opad deszczu, **zwiększa zagrożenie**.



Powolne, umiarkowane ocieplenie sprzyja osiadaniu i wiązaniu warstw śniegu, **zmniejszając ryzyko**.



Dobowe zmiany temperatury sprzyjają scaleniu pokrywy śnieżnej, **redukując zagrożenie**.



Długotrwała niska temperatura przedłuża zaleganie śniegu i utrwala **stan zwiększonego zagrożenia**.

Wiatr

Zagrożenie lawinowe wzrasta w czasie wietrznej pogody, szczególnie podczas opadów śniegu. Wiejący wiatr przesypuje śnieg. Przemieszczające się kryształy ulegają **rozdrobieniu i wyobleniu**. Wywiany z nawietrznej części zbocza śnieg osiada w zagłębieniach terenu i miejscach osłoniętych od wiatru, tworząc tzw. **depozyty śnieżne** słabo związane ze spodnimi warstwami.

OPADY ATMOSFERYCZNE

Obfite opady śniegu lub deszczu mogą skutkować zachwianiem równowagi pokrywy śnieżnej, głównie na skutek zwiększenia jej ciężaru oraz, w przypadku deszczu, wzrostu temperatury.

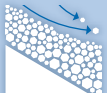
STAN POKRYWY ŚNIEŻNEJ



Świeży śnieg. Jako dodatkowy ciężar może destabilizować osłabioną warstwę starego śniegu, zwiększając zagrożenie powstawania **lawin deskowych**. Z kolei brak wystarczająco silnych powiązań między cząsteczkami świeżego śniegu może prowadzić do tworzenia się **lawin pyłowych**. Lawiny mogą wystąpić na całym obszarze objętym opadem, niezależnie od wystawy stoku.



Śnieg mokry. Woda w stanie ciekłym obniża wytrzymałość pokrywy śnieżnej. W czasie odwilży prawdopodobieństwo wystąpienia lawin jest wyższe po południu i zależy od wystawy i wysokości stoku. W przypadku deszczu wystawa nie ma znaczenia. Śnieg mokry powoduje głównie **lawiny samoistne**, poprzedzone tworzeniem się na zboczach kul i ślimaków śnieżnych.



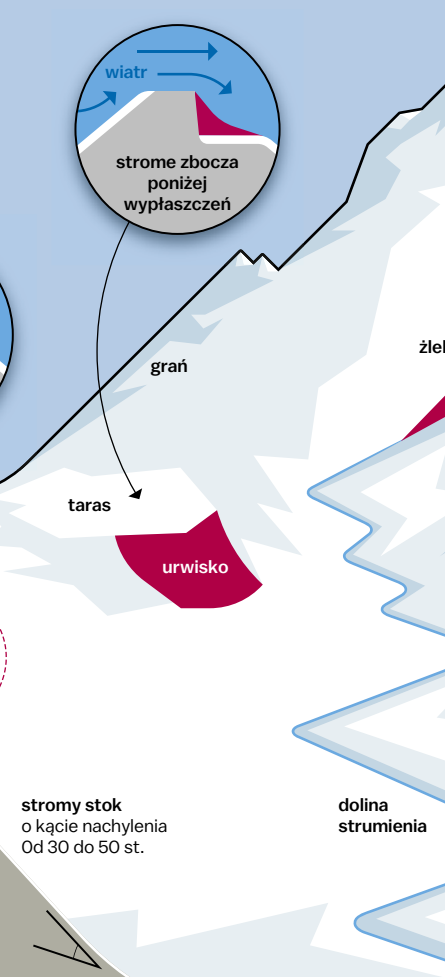
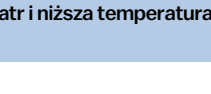
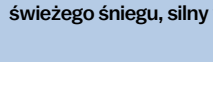
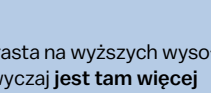
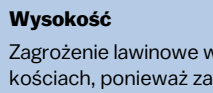
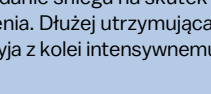
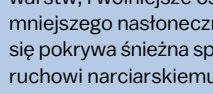
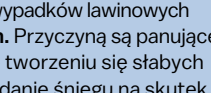
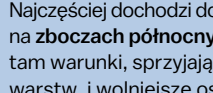
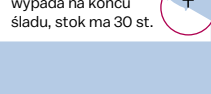
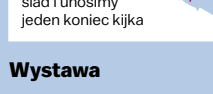
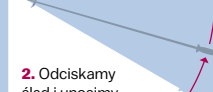
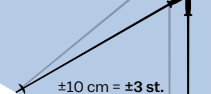
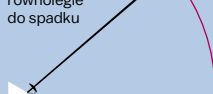
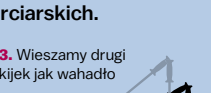
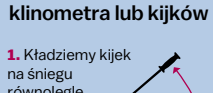
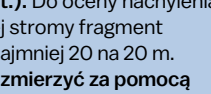
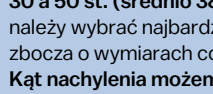
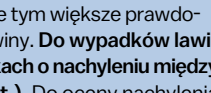
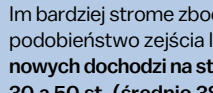
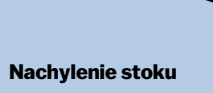
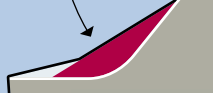
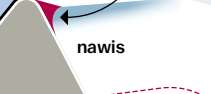
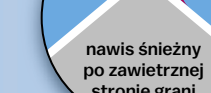
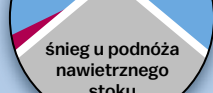
Śnieg przewiany. Powstałe nawarstwienia przeniesionego przez wiatr suchego śniegu charakteryzują się małą spójnością oraz słabym związaniem z podłożem, przez co są bardzo podatne na tworzenie się **lawin deskowych**.



Śnieg ślizgający się. W przypadku gdy śnieg tworzy grubą, jednorodną pokrywę spoczywającą na gładkim podłożu, może dojść do schodzenia samoistnych lawin na skutek utraty przyczepności śniegu do podłoża. Moment uwolnienia lawiny jest trudny do przewidzenia, choć zazwyczaj zapowiadają go charakterystyczne pęknięcia pokrywy śnieżnej – tzw. **rybie pyski**.

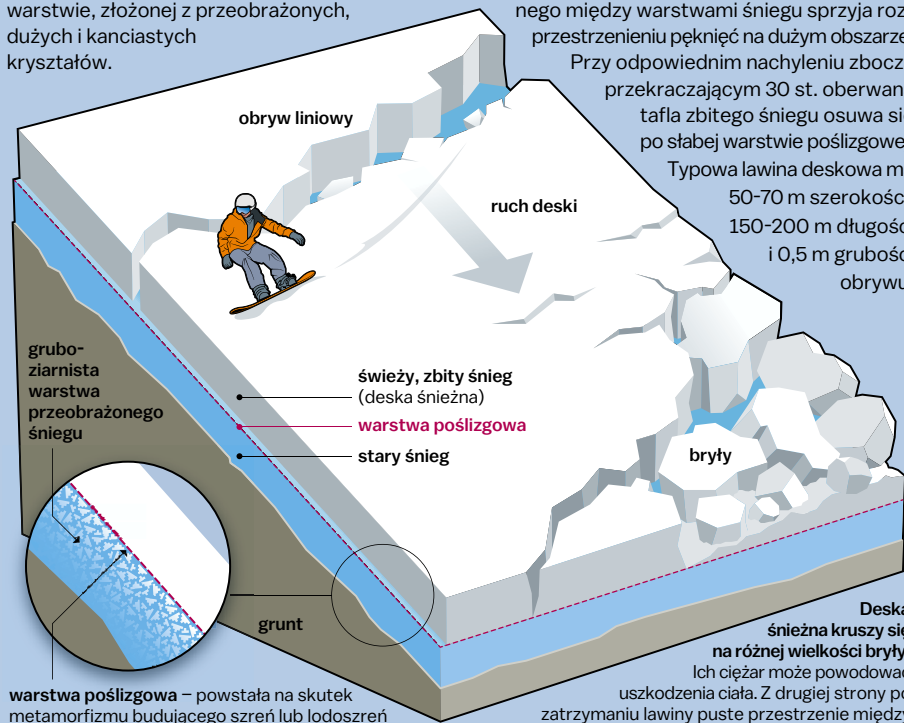
UKSZTAŁTOWANIE TERENU

Pułapki terenowe, czyli miejsca szczególnie niebezpieczne ze względu na możliwość zasypania dużą ilością śniegu (wkłęsłe formacje, w których gromadzi się przewiany śnieg) oraz zwiększone prawdopodobieństwo odniesienia urazów mechanicznych (urwiska, wystające skały i drzewa).



Deska śnieżna

Lawiny deskowe są odpowiedzialne za 95 proc. wszystkich wypadków lawinowych. Tzw. deskę tworzy warstwa dobrze związanego, drobnokrystalicznego śniegu, leżąca na słabszej starszej warstwie, złożonej z przeobrażonych, dużych i kanciastych kryształów.

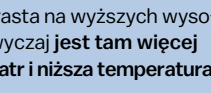
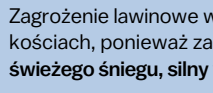
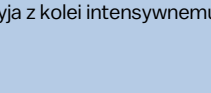
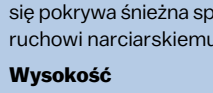
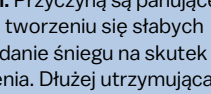
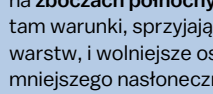
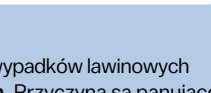
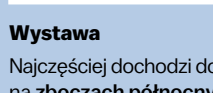
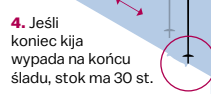
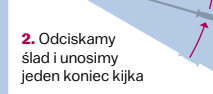
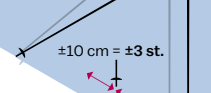
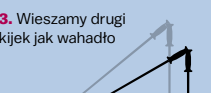
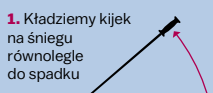


warstwa poślizgowa – powstała na skutek metamorfizmu budującego szreń lub lodoszeń (zimny opad na ciepłe podłoże lub odwrotnie)

© GAZETA WYBORCZA

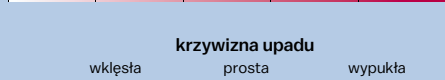
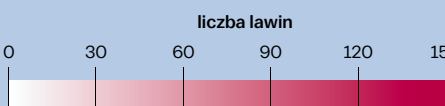
Nachylenie stoku

Im bardziej strome zbocze tym większe prawdopodobieństwo zejścia lawiny. **Do wypadków lawinowych dochodzi na stokach o nachyleniu między 30 a 50 st. (średnio 38 st.)**. Do oceny nachylenia należy wybrać najbardziej stromy fragment zbocza o wymiarach co najmniej 20 na 20 m. **Kąt nachylenia możemy zmierzyć za pomocą klinometra lub kijków narciarskich.**



Kształt stoku

Na podstawie analizy 567 lawin wywołanych przez narciarzy ustalono, że **do wypadków lawinowych dochodzi najczęściej na zboczach prostych lub wkłęsłych oraz w żlebach**.



NA STOKU

Jak się przygotować wcześniej

- Przed wyjściem w góry sprawdź prognozę pogody i komunikaty o zagrożeniu lawinowym.
- Najlepiej, by wszyscy uczestnicy posiadali podstawowy sprzęt lawinowy ABC i mieli ukończony kurs lawinowy. Wskazane jest też posiadanie kasku.
- Skontroluj, czy wszyscy uczestnicy mają sprawne detektory lawinowe, włączone w trybie „send” i schowane pod ubraniem.
- Staraj się poruszać po bezpiecznym terenie. Unikaj żlebów i dużych pól śnieżnych.
- W terenie zagrożonym lawiną pilnuj odstępów między uczestnikami (min. 10-15 m).
- Wyjmij ręce z pętli kijków lub czekana, rozepnij pas biodrowy plecaka (jeżeli nie jest to plecak wypornościowy).
- Zapnij kurtkę, naciągnij kaptur i rękawice.

Co robić, gdy znajdziesz się w lawinie

- Pozbądź się nart, kijków, plecaka (zwykłego).
- Jeśli posiadasz plecak wypornościowy, uruchom system ABS (otwórz poduszkę).
- Walcz o utrzymanie się na powierzchni.
- Jeśli zasypie cię śnieg, przesunij łokcie przed klatkę piersiową i ostoń twarz dłońmi, żeby usta i nos nie zatkały się śniegiem, a przed tobą powstała wolna przestrzeń.
- W ostatniej chwili przed zatrzymaniem się lawiny próbuj wypchnąć rękę w górę – może będzie widoczna dla ratowników.
- Kiedy śnieg znieruchomieje, uspokój oddech, oszczędzaj powietrze.
- Próbuj wybić otwór na powierzchni.
- Krzyk ma sens tylko wtedy, gdy masz otwarty kanał z powietrzem na zewnątrz. Zasypany bardzo dobrze słyszy dźwięki z powierzchni, ale sam nie jest słyszany.

WEZWANIE POMOCY

Telefon ratunkowy w górach do służb operujących na danym terenie

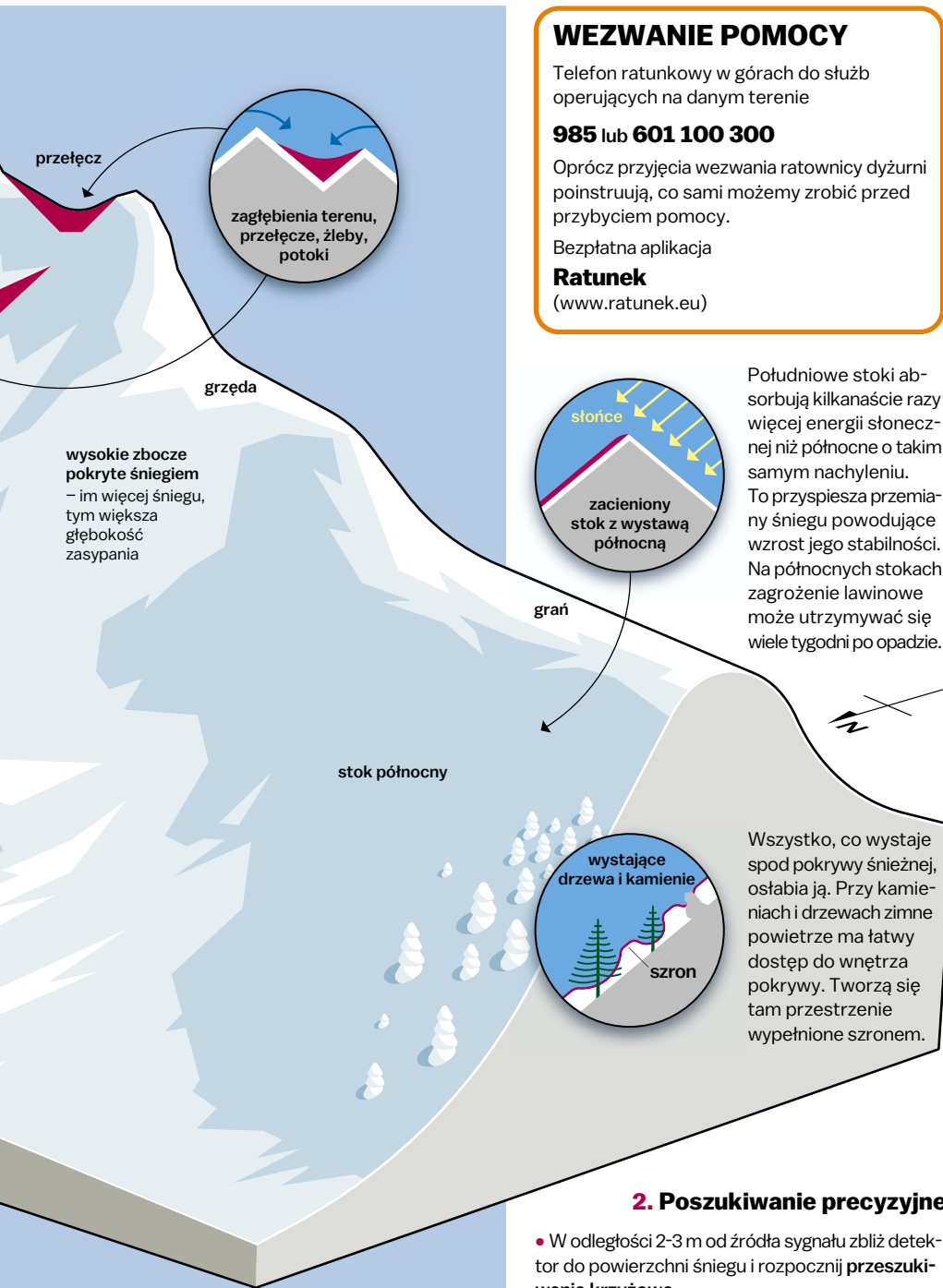
985 lub 601 100 300

Oprócz przyjęcia wezwania ratownicy dyżurni poinstruuja, co sami możemy zrobić przed przybyciem pomocy.

Bezpłatna aplikacja

Ratunek

(www.ratunek.eu)



CZNNIK LUDZKI

Większość wypadków lawinowych spowodowana jest niewystarczającą oceną sytuacji lawinowej i błędnymi decyzjami ludzi przebywających w górach. Sprzyjają temu:

- zmęczenie osłabiające uwagę,
- nadmierna motywacja (chęć wyróżnienia się),
- złudne poczucie bezpieczeństwa w grupie,
- konformizm nakazujący podporządkowanie się decyzjom forsowanym przez innych członków grupy, nawet wbrew własnym obawom.

Zimą po górach nie należy chodzić samotnie. Najlepiej robić to w grupach 2-4 osobowych. Zbyt wielu uczestników wycieczki sprawia, że grupa porusza się wolniej, trudniej jest zachować bezpieczne odstępów, utrudnione są też komunikacja i proces podejmowania decyzji.

AKCJA RATOWNICZA

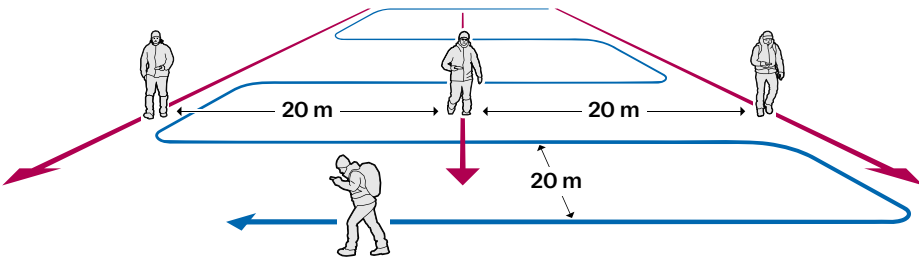
Szansa na uratowanie ofiary lawiny istnieje tylko wtedy, gdy w pobliżu znajdują się osoby dysponujące niezbędnymi umiejętnościami i wyposażeniem, zdolne do podjęcia natychmiastowej akcji ratowniczej. 90 proc. odkopanych w pierwszych 15 minutach udaje się uratować. Po pół godzinie szansa na przeżycie spada do 30 proc.

Jeśli jesteś świadkiem wypadku lawinowego:

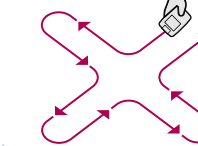
- zapamiętaj, gdzie ostatni raz widziałeś ofiarę,
- natychmiast wezwij służby ratownicze,

1. Metody przeszukiwania lawiniska w zależności od liczby ratowników

→ równoległa → zakosami (jedna osoba)



Miejsce, w którym detektor wskazuje najniższą wartość, oznacz za pomocą skrzyżowanych kijków lub czapki.



Sondowanie zaczynaj od punktu z najmniejszym wskazaniem odległości.



Sonduj zawsze pod kątem 90 st. do powierzchni śniegu.

Pozostaw sondę wbity w miejscu, w którym udało się zlokalizować ofiarę.



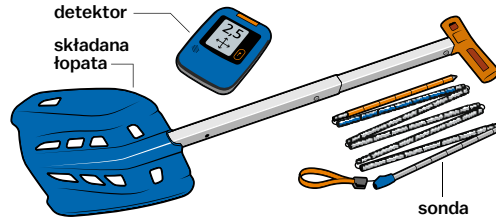
SPRZĘT LAWINOWY

Plecak lawinowy wyposażony jest w jedną lub dwie poduszki napęnlane gazem z butli lub wydajnego wentylatora elektrycznego. Mechanizm aktywuje się przez pociągnięcie uchwytu na ramieniu. Poduszka zwiększa wyporność osoby porwanej przez lawinę, utrzymując ją tuż przy powierzchni. Oprócz funkcji awaryjnej plecaki wypornościowe pełnią funkcję typowych plecaków do przenoszenia innego sprzętu, w tym zestawu narzędzi ułatwiających odnalezienie poszkodowanych w lawinie śnieżnej (tzw. lawinowe ABC).

• **Detektor lawinowy** to urządzenie nadające i odbierające sygnał radiowy w promieniu do 50 m. Powinien być włączony na początku wycieczki i cały czas działać w trybie nadawania sygnału. Należy go przechowywać jak najbliżej ciała, np. na klatce piersiowej pod ubraniem. W trakcie akcji ratowniczej detektor nastawiony na tryb odbioru pokazuje na wyświetlaczu odległość i kierunek do osoby zasypanej.

• **Sonda lawinowa** to metalowa lub karbonowa tyczka złożona z połączonych linką segmentów o całkowitej długości od 240 do 320 cm. Służy do precyzyjnej lokalizacji zasypanych pod lawiną.

• **Łopata lawinowa** najlepiej by była wykonana z hartowanego aluminium. Powinna być lekka, mocna, mieć składany teleskopowo trzonek.



- zacznij poszukiwania w miejscu, gdzie ostatni raz widziałeś zasypanych,
- nasłuchuj odgłosów i szukaj wzrokiem wystających ze śniegu przedmiotów, garderoby itp.,
- przełącz detektor na tryb poszukiwania i szukaj sygnału urządzenia ofiary. Jeśli jesteś sam, idź zakosami, jeśli masz partnerów, poruszajcie się równolegle wzdłuż zbocza. Pas poszukiwań w zależności od zasięgu sygnału detektora powinien wynosić maksymalnie 20-50 m.

Dla wędrowca kładzie się chleb na parapecie

Dawno nie czytałem wierszy tak bardzo wychylonych w stronę istnień innych niż tylko zbolale ego autora. A przecież realny Michael Krüger faktycznie walczy o oddech i życie, pozbawiony odporności w związku z poważną chorobą.

Krzysztof Siwczyk

Michael Krüger w minionym roku obchodził 80. urodziny i przy okazji opublikował książkę, której nie spodziewałem się po nestorze literatury niemieckiej. Właśnie ukazała się w przekładzie Pawła Marcinkiewicza w Polsce. Fakt ten zasadniczo nie zmieni relacji polsko-niemieckich. „W lesie, w drewnianym domku” to gargantuicznych rozmiarów poemat pisany w czasie pandemii. Już tylko to może być przyczynkiem do oczywistego zapomnienia. Chcemy bowiem nie pamiętać pandemium, które zmusiło świat do kolapsu.

Zaskakująco łatwo wyparliśmy jako ludzkość ten czas marny, na afisz wskoczyła sztuka wojny po rusku, a za progiem mamy już nowe lęki, które wyznaczają odliczanie do wojny Rosji z NATO. W polskiej piaskownicy bawimy się wiaderkiem Kaczyńskiego i łopatką Tuska. Powolutku opada z nas entuzjazm ostatnich wyborów, zaczyna się skądinąd nudna i przewidywalna przepychanka polityczna, a wszystko to pod niebem coraz bardziej zasnutym wizją atomowych grzybów. Wygląda na to, że eskapistyczny zapis życia bohatera książki Krügera w drewnianym domku, gdzieś w lesie niedaleko Allmannshausen, może zainteresować germanistów i dziwaków. Ewidentnie należę do tych drugich, a książka Krügera zdaje mi się jedną z niewielu udanych twórczo realizacji „pamiętnika z końca świata”, jaki zwiastowała pandemia. Wygląda na to, że nie tylko ja tak uważam. Książka Krügera odbiła się sporym echem w Europie, za moment jej przekład ukaże się w jednym z najważniejszych wydawnictw światowej literatury, czyli w Seagull Books. Mamy więc po polsku okazję skonfrontować w lekturze ten fenomen.

Ostatnio widziałem się z Krügerem przed pandemią. Umówiliśmy się na kawę w Katowicach. Był też Tomasz Różycki. Trochę pogadaliśmy o pierdołach, trochę o Witoldzie Wirpszy, którego Michael dobrze znał i odwiedzał w latach 80. w Berlinie. A potem Tomek napisał mi, że Krüger ma poważne problemy ze zdrowiem. Bardzo poważne. Jakoś nie mogłem przyjąć do wiadomości, że ten długi jak tyczka Niemiec jest śmiertelny, zwłaszcza że jego długie życie doskonale uzgadnia się z tym, co najlepsze w relacjach polsko-niemieckich. Michael jako szef wydawnictwa Hanser przez lata przyjaźnił się z wielkimi twórcami literatur światowych i promował polską literaturę w Niemczech uparcie jak osioł. W tym hardym uporze przypomina nieodżałowanego Karla Dedeciusa. Krüger w 1966 roku poznał Zbigniewa Herberta i Tadeusza Różewicza, którzy odbywali wspólną trasę po Niemczech. Chwilę wcześniej widział w Berlinie Gombrowicza, by parę lat później odwiedzić go w Vence wspólnie z Alistairem Hamiltonem. W „Dziennikach” Gombrowicza opisuje tę wizytę jako odwiedziny „dwóch błądzących Anglików”.

Faktycznie jest w Michaelu coś z angielskiego humoru, co pięknie wybrzmiewa „W lesie, w drewnianym domku”. Dajmy na to taki fragment: „Gazeta donosi o sukcesie nowych walut,/ krzywa śmiertelności pnie w górę, szafa gra”. Niech nas nie zwiedzie to lekko lekceważące intermezzo. Cała książka jest bowiem przepelniona rodzajem elegijnego tonu, który spowija długie frazy, w których Krüger daje światu widzialnemu czas na odpowiednio podniosłą agonię. Niekończące się świetne opisy biosfery wokół „drewnianego domku” apelują tyleż do historii malarstwa, ile do hiperrealizmu spod znaku Hoppera. Jest tak, jakby Krüger



FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

dzięki izolacji został wyposażony w dodatkowy narząd obserwacji. Jego oko widzi i opisuje kolejne następujące po sobie epizody pandemicznej rutyny, która stopniowo przetrada się w rodzaj medytacji w bezruchu, a wizyta listonosza okazuje się spotkaniem z międzygalaktycznym autostopowiczem. Jest w tych wierszach jakiś rodzaj zastopowania świata, z którym nie chcemy się ostatecznie pożegnać, bo „obraz przemijającego świata stał się znowu statyczny,/ bawarska sielanka bez wielkiej fali z Kanagawy,/ na którą czekałem. Od strony ludzików wciąż dochodzi hałas,/ coś w rodzaju słabnącego bulgotu i dalekiego chichotu./ – Tylko nicość jest bez znaczenia, powiedziałem do lustra, które odbijało mnie niewzruszone, jak nieporadną kopię”. Okazuje się w najnowszej książce Krüger zręcznym średniowiecznym kopistą rzeczywistości, maluje ją w wyjątkowo ostrych barwach, a jednocześnie traci siebie z oczu. Dawno nie czytałem wierszy tak bardzo wychylonych w stronę istnień innych niż tylko zbolale ego autora. A przecież realny Krüger faktycznie walczy o oddech i życie, pozbawiony odporności w związku z poważną chorobą. Nic jednak z tego dramatu nie szantażuje emocjonalnie czytelnika. Mało tego. Bohater tych wierszy zdaje się przemawiać bardziej losem ptaków niż własnym. Zresztą ptakom poświęca chyba najwięcej miejsca i uwagi, podglądając ich zwyczaje, podobnie jak znajduje upodobanie w spacerach z psem. Niby nic szczególnego, a jednak wyłania się z tych rytuałów wiarygodny program polityczno-egzystencjalny: „Pies szybko się wysikał i człapał dalej obok mnie,/ jakby jego prawdziwym głosem było milczenie./ Polityczne kwestie? Gdy powiedziałem mu coś o populizmie,/ o końcu demokracji, o wolnych wyborach,/ zawarczał./ Jesteśmy przecież tak czy siak bez praw,/ a to miałoby znaczyć, że nikt nie otwiera ust,/ gdy jesteśmy bici. – Co tak właściwie się kończy,/ spytał mnie, gdy zatrzymaliśmy się przy jagodach, wszyscy z niepokojem mówią, że coś się kończy?/ – Suwerenność, odparłem lakonicznie, suwerenność! (...) Ale pies już poszedł dalej, prosto jak strzelił,/ niczym skrajny oszołom w kierunku końca”.

Tak właśnie przywraca się faktyczne znaczenie słowu „suwerenność”, której pandemia nas ostatecznie pozbawiła, przypominając o naszym miejscu w szeregu życia. Nie jest to miejsce specjalnie centralne, a jednak walczymy o nie zażarcie, niosąc randomową przemoc nawet tak niegroźnym roślinkom jak dzwonek brodaty, o czym z angielskim humorem pisze poeta: „Ma się wrażenie, że świat/

gubi się w bezkresie, mimo piękna i godności/ detali, które rozpościerają się przed oczami w zasięgu ręki:/ porzucona skorupa ślimaka, połyskliwa skóra węża./ Gdyby tylko nie było gołębi z ich banalną monotonią,/ autorytet ciszy zająłby należne mu miejsce./ (...) Czy mam zerwać dzwonek brodaty? Do tego pytania/ wszystko się sprowadza. Od tysięcy lat nowe rośliny/ czują się przy nas świetnie i nie ma powodu, by było inaczej:/ więc zrywaj i się zmyj”. Bardzo imponuje mi ten luzacki, późny styl Krügera, którego zawsze kojarzyłem z nieco klasycznymi wierszami zanurzonymi w jego potężnej wiedzy historycznoliterackiej i oddanymi dziedzictwu tradycji greckiej, rzymskiej i renesansowej. Tymczasem na starość Michael dał na luz, obstawiając swoje wiersze zdecydowanie bliżej tradycji anglosaskiej i amerykańskiej. Paradoks tego gestu bierze się stąd, że zajmuje dziś miejsce klasyka poezji niemieckiej, a krytyka sytuuje go na oczywistym piedestale. „W lesie, w drewnianym domku” swoją tonacją przypomina mi kongenialne teksty starego Eugenia Montalego zebrane w tomie „Zapiski z czterech lat”. Myślę, że Michael nie obrazi się na takie powinowactwo, zwłaszcza że pełno w tych wierszach nawiązań do bliskich mu poetów, w tym do Montalego też. Wśród dobrych, starych kumpli na kartach książki powracają oczywiście Polacy. Chyba najbardziej zabawnie prezentuje się Herbert, którego zawsze miałem za nudziarza, tymczasem Krüger cytuje wybitną sentencję autora „Raportu z oblężonego Miasta”: „Kura najlepiej ukazuje,/ do kąd prowadzi bliska zażyłość z człowiekiem”. Nie znalazłem Zbigniewa Herberta, ale od tej sentencji bardzo tego żałuję. Koniec książki Krügera przynosi całkiem pokaźny zestaw wierszy pod wspólnym tytułem „Co jeszcze się stało”. To „jeszcze” daje nadzieję na jakąś przyszłość po przejściu końca świata, którego ekspozyturą stał się wirus SARS-CoV-2. Wśród tych wierszy znalazł się jeden, który chciałbym na koniec zacytować w całości, bo jest w nim wszystko, co mnie uwiódło w tej dziwnej, pięknej książce Michaela Krügera, który przeżył pandemię, przeszedł sam siebie i dał literackie świadectwo, że w kryzysie robi się świetne wiersze.

OWCE Z ALLMANNSHAUSEN

*Dla wędrowca kładzie się chleb na parapecie
lub w otwartym oknie kuchni szklankę mleka,
gdy słońce już tam nie dociera, więc łatwo
można uwolnić się od brzemienia luksusu,
a dla oka są liście na wietrze,
dla ucha ptasie koncerty z wirującymi nutami.
U stóp wzgórza, na którym stoi nasz dom,
mieszkają teraz owce. Członkowie sekty,
religijni odszczepieńcy, którzy zachowują się,
jakby nie widzieli, że staramy się zachować ich sekret.
Rano wyglądają jak trzęsące się kamienie,
które ziemia podnosi i wciska między osty;
w południe roztaczają podejrzaną ciszę,
z drwiącą wyższością pożerając wszystko przed sobą,
jakby chciały ukryć swój ograniczony jadłospis;
po południu zapadają się zusammen do kupy jak suflet.
Trzeba długo śledzić je wzrokiem –
ich welniste wdzięk, ich rajcujące milczenie –
żeby zdać sobie sprawę, że nas nie potrzebują,
bez względu na to, jak bardzo skomlemy o ich miłość.
Więc stoimy przy płocie, aż słońce zajdzie,
a wiatr gra bluesa nad głowami owiec,
które marzą o źródle żywej wody
w świecie, który już dawno się skończył*

Michael Krüger „**W lesie, w drewnianym domku**”,
Im Wald, im Holzhaus.
Przeł. Paweł Marcinkiewicz.
Instytut Mikołowski,
Mikołów 2023 r.



Ruda wrona

Skojarzenia ze stanem wojennym politycy i zwolennicy PiS-u mają silne.

Michał Rusinek



Zapewne nigdy nie dojdziemy do prawdy, ile osób zgromadził Marsz Wolnych Polaków 11 stycznia w Warszawie. Trudno. Nie jest to jedyna prawda, do której nie dojdziemy. Mamy już doświadczenie w niedochodzeniu do prawd. Możemy zamiast tego przyjrzeć się transparentom, jakie pojawiły się na owym marszu.

Dominował na nich przymiotnik „rudy”: „Ruda wrona orła nie pokona”, „Ruda świnią do Berlina”, „Rudy spadaj do Brukseli”, „Ruda szmata nie doczeka lata”, „Rudy wylaż z budy” (*okrzyki*), „Polacy, otwórzcie oczy. Ruda koalicja kroczy”. Określenie „ruda wrona” pojawiał się już wcześniej i jest o tyle interesujące, że poza odwołaniem do koloru włosów premiera Donalda Tuska, zawiera, po pierwsze, aluzję do Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, a więc do organu administrującego Polskę w czasie stanu wojennego, a skojarzenia ze stanem wojennym politycy i zwolennicy PiS-u mają silne. Dość niefortunnie zatem na jednym z transparentów umieszczono parafrazę zdania generała Wojciecha Jaruzelskiego z przemówienia, w którym ogłaszał wprowadzenie stanu wojennego: „Są granice, których przekraczać nie należy”. Po drugie, spory polityczne w Polsce ubierane są często w metafory ornitologiczne ze względu na nasze godło. W stanie wojennym zestawialiśmy orła z wroną; w 2024 roku uczestnicy propisowskiego marszu tę wronę zaktualizowali i prze-malowali na rudo. Ciekawe, co na to ornitologdy.

Pojawiło się także hasło: „Herr Rudy! Dość obłudy”, nawiązujące albo aż do osławionego „dziadka z Wehrmachtu”, albo do refrenu dawnej TVP: „für Deutschland!”, w każdym razie zawierające sugestie, że Tusk jest niemieckim agentem, chce w Polsce zaprowadzić niemieckie porządki i trzeba się do niego zwracać po niemiecku. „Czyja będzie Polska – Polaka, czy folksdojca?” – pytanie retoryczne na innym transparencie, niezbyt poprawnie pod względem interpunkcji. Natomiast znajomość ortografii srodze zawiodła autorów hasła: „Niemiecki benkart”. Polskiej ortografii. Znajomość angielskiej okazała się zbyt trudna dla autora hasła: „End censorship. Bring banck pluralism”. Zastanawiający był transparent z napisem: „Hans G. zapowiedział, Donald T. wprowadza IV Rzeszę do Polski”. Prawdopodobnie chodzi o niemieckiego przedsiębiorcę z Dębogórze, który w zeszłym roku został oskarżony o nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych oraz propagowania ustroju faszystowskiego, gdyż w przypływie złości na swoich polskich pracowników pozwolił sobie na zbyt daleko idące analogie historyczne. Trudno wywnioskować, na jakiej zasadzie jego wypowiedzi były zapowiedzią wprowadzenia IV Rzeszy, ale to chyba nieistotne. Był tylko prorokiem, a prorocy mówią niejasno. Ważne, że wprowadzającym będzie Tusk.

Nazwisko premiera działało inspirująco na twórczość transparentową. Albo jako rym dokładny („Telewizję zostaw Tusku, wywieziemy cię na wózku”), albo jako rym niedokładny („TVN i Tusk nie zamknięcie nam ust”), albo jako akrostych („Ten Utopi Swoją Kraj”), albo jako podstawa słowotwórcza neologizmów („Tfusk”, „Tuskość to niemoralność”, „Tuskula”). Ten ostatni to zapewne połączenie Tuska z Drakulą, ale pobrzmiwają w nim także „Tuskulanki” Cyncerona. Podejrzewam, że niezamierzenie. Rymy lub coś zbliżonego do rymów pojawiały się w hasłach: „Tfusku, liczyłeś głosy przed laty, historia policzy ci gnaty”, „Tusk i Putin szeptali na molo. Obaj Polski zmorą”, „Dosyć mydlenia! Hołownia do cyrku, Tusk do więzienia”. W tym ostatnim zabrakło doprecyzowania, że chodzi o metaforyczne mydlenie oczu. Brak doprecyzowania sugeruje nawoływanie do zaniechania zabiegów higienicznych. A przecież Przemysław Czarnek mówił, że ci, którzy przyjechali na marsz, „to są ludzie kulturalni, to nie są barbarzyńcy, ludzie, którzy chodzili po tej ulicy z wulgaryzmami na ustach. To nie są ludzie, którzy potrafią tylko krzyczeć osiem gwiazdek”. Nagrania wideo z marszu przeczą jednak temu stwierdzeniu, a na jednym z transparentów widać wyraźnie wprawdzie nie osiem, lecz pięć gwiazdek – przed nazwiskiem Tuska. Czarnek, Kaczyński, Morawiecki i inni politycy PiS-u nie tylko jednak nie widzą i nie słyszą wulgaryzmów, ale też zdają się przykaskiwać hasłom, które podlegają do nienawiści na tle różnic światopoglądowych i noszą znamiona mowy nienawiści. Tyle że już tych znamion nie dostrzegamy, bo przyzwyczaili nas do nich propaganda ostatnich lat.

Propaganda, dodajmy, sączona nam przede wszystkim przez TVP, której także dotyczyło wiele hasel na transparentach, np.: „Ludzie Tuska. Dziś w PAP-ie, jutro w twoim domu”, „Sienkiewicz, sam się zlikwiduj”, „Neo-TVP jest czerstwe jak żarty Czyża”, czy dramatyczne: „Oddajcie babci pilota!”. Jedno było dość ogólne i stanowiło parafrazę pieśni religijnej: „My chcemy Boga w polityce”. Zdumiewająco spora liczba hasel była jakby żywcem wzięta z protestów drugiej strony, sprzed 15 października: „Brońmy polskich mediów”, „Zamach na wolność słowa”, „Ręce precz od TVP”, „Wolne media, wolna Polska”, „R.I.P. demokracja”, „Konstytucja”, a także – o zgrozo – „Jeszcze będzie przepięknie”. „Precz z komuną” też wydaje się polskim hasłem uniwersalnym.

Jeśli dodamy do nich jeszcze hasło z czasów PRL-u: „Uwolnić więźniów politycznych” (w absurdalnym kontekście Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika), to łatwo zauważyć, że mieliśmy do czynienia z zawłaszczaniem słów na własne polityczne potrzeby. Partia, która niszczyła demokrację, łamała konstytucję, zmieniła telewizję publiczną w partyjną, walczyła z wolnymi mediami i wolnością słowa – będąc w opozycji, udaje, że właśnie o nie walczy. Z pewnością rozumie je inaczej i chce, żebyśmy my je inaczej rozumieli. Jak? Mówiąc eufemistycznie: wąsko. W czasie marszu głos zabrała Roma Wąsik, żona Macieja Wąsika, i powiedziała – w imieniu własnym oraz żony Mariusza Kamińskiego – znamienne zdanie, a właściwie dwa zdania. Pierwsze mogłoby pojawić się na każdym proteście przeciwko rządowi PiS-u: „Zwracam się do państwa z apelem, żebyśmy pilnowali wolności”. Drugie stanowiło jego doprecyzowanie: „Wolności naszych mężów”. I właśnie ten zaimek – „naszych” – pokazuje fundamentalną różnicę między tym marszem a marszami sprzed wyborów parlamentarnych. Chodzi przecież o wolność dla „naszych”, o „naszą” telewizję i demokrację „po naszymu”. Tyle że to wcale nie jest demokracja. ●

Myśli z kolcami zamiast pluszaka

Felietonista nie przygotowuje czytelnikowi ciepłej, niby-intelektualnej kąpie-li, w której można się z lubością zanurzyć.

Marcin Matczak



Jaki jest współczesny czytelnik? Czy jest otwarty na treści, z którymi się nie zgadza, w myśl zasady, że gdy konfrontujemy się z innym zdaniem, zmusza nas to do myślenia, czy też wybiórco wystawia się na informacje, które zapewniają mu intelektualny i emocjonalny komfort, jak głosi teoria selective exposure? Innymi słowy, czy jest, nie daj Boże, jak inżynier Mamoń z „Rejsu”, któremu podobają się wyłącznie takie melodie, które wcześniej słyszał?

Podlizywanie się czytelnikowi popłaca. Napiszesz, że prezydent debil – brawa. Powiesz, że elektorat PiS to ciemnogród, bo się modli i daje na msze – owacje. Twoje intelektualne notowania rosną, wszyscy uważają cię za mądrego, bo myślisz tak jak oni, a oni przecież nie w ciemię bici. Gdybyś jednak zechciał się różnić w opinii, zwłaszcza w sprawie emocjonalnie istotnej, toś od razu jak prezydent – też debil, i jak elektorat PiS – ciemniak i talib.

Czy można czytać myśl inną, która uwiera, i nie uznawać jej automatycznie za idiotyczną? To trudna sprawa, zwłaszcza dzisiaj, kiedy ludzie traktują idee nie jak dania, których warto próbować, ale jak szpik swoich kości, esencję jestestwa. Kiedy więc ktoś przedstawia im ideę inną, to czują się tak, jakby kwestionował ich tożsamość. A na to oczywiście pozwolenia być nie może, bo każdy tożsamości broni jak niepodległości.

To, że wystawiamy się na informacje selektywnie, zwiększa polaryzację. Media społecznościowe tylko sprawę pogarszają – ich algorytmy pokazują nam więcej i więcej tego, co lubimy, a coraz mniej tego, co wybiłabyło nas z komfortu własnej bańki. Mogłoby się здаwać, że media tradycyjne pozwalają na ogląd bardziej zbalansowany. Jednak nie – i tu przeważa potrzeba komfortu. Jakby tekst w gazecie był pluszakiem, do którego można się przytulić i powiedzieć: „Mój ci on”.

Czy zatem serwować poważnym, inteligentnym ludziom pluszaki zamiast myśli z kolcami, które mogą uwierać? Felietonista nie jest masażystą, nie przygotowuje czytelnikowi ciepłej, niby-intelektualnej kąpie-li, w której ten może się z lubością zanurzyć i poddać psychologicznemu efektowi potwierdzenia. Felietonista zamiast masażu oferuje akupunkturę – jest od tego, żeby podrażnić i pobudzić. Bo nie ma sensu, by czytać wszędzie to samo i uważać za godne rozważenia tylko coś, z czym już się w swojej mądrości zgodziło, prawda?

Pisze mi czytelnik, że jestem pięknoduchem, gdy mówię, że praworządność trzeba przywracać w zgodzie z prawem i w takim stylu, żeby nie eskalować społecznych emocji: „Wczoraj dostał odpowiedź od Staroego Dziada, że jak PiS wróci do władzy, to zmieni konstytucję bez żadnych procedur. Tak kończą naiwniacy myślący, że inni docenią ich dobrą wolę”.

Pisze tak, bo ulega prowokacji Kaczyńskiego, a w emocjach świat wydaje się

mniej zniuansowany. Kiedy jednak rozebrać tę logikę na czynniki pierwsze, wychodzi nam to:

1. Rząd Tuska w sprawie TVP i prokuratury działa na podstawie prawa, choć są wątpliwości.

2. Mimo tych starań, by działać na podstawie prawa, Kaczyński zapowiada, że Tusk niszczy praworządność bardziej niż PiS, zatem gdy Kaczyński dojdzie do władzy, polamie prawo całkowicie.

3. Czy w tej sytuacji rząd Tuska powinien: a) przestać przejmować się prawem i jechać po bandzie, czy też b) działać na podstawie prawa?

4. Odpowiedź a) powoduje, że spirala się nakręca: im bardziej Tusk będzie łamał prawo, tym bardziej Kaczyński będzie czuł, że też może. Jak to powstrzymać? Zdelegalizować PiS? Powstanie nowa partia. Zamknąć Kaczyńskiego? Będzie inny lider. Może nie organizować wyborów? Dokładnie tak w efekcie spirali bezprawia upadają na świecie demokracje. Każda z tych dróg jest absurdalna.

5. Pozostaje odpowiedź b) – działać na podstawie prawa, nie wpadać w spiralę bezprawia, przekonywać wyborców, że Kaczyński chce zniszczyć Polskę swoimi szaleńczymi metodami. I mieć nadzieję, że większość Polaków to zrozumie. Skoro mimo propagandy TVP większość widziała, że to PiS łamał przez osiem lat konstytucję i jest winny temu prawnemu bałaganowi, to i teraz ta nadzieja co do rozwiązań Polaków nie pozostaje całkowicie płonna.

Czytelnik w odpowiedzi nalega: „Kaczyński i tak będzie łamał prawo, kiedy będzie mu to potrzebne i wygodne. Wyborcy Tuska nie darują powtórek z rozrywki. Wszelkie zmiany powinny być transparentne i zgodne z prawem, ale i stanowcze”.

Problem w tym, że dla wielu zwolenników Tuska zmiany powinny być przede wszystkim stanowcze, a dopiero w drugiej kolejności zgodne z prawem. I nie mówię tu o zmianach, które nastąpiły (media i prokuratura), bo tak, jeśli chodzi o zgodność z prawem i staranie, by ją wykazać, było całkiem nieźle. Mówię o tych, które następują – w szczególności dotyczących Trybunału Konstytucyjnego, gdzie uląskiej prawniczej fantazji jest najwięcej.

A z Kaczyńskim nie chodzi o to, że jak dojdzie do władzy, będzie prawo łamał. To jest pewne. Chodzi o to, żeby do władzy nie doszedł. A o tym zdecydują wyborcy. Nie myślmy więc: nie ma znaczenia, czy Tusk będzie łamał prawo, bo i tak Kaczyński złamie je bardziej. Im więcej łamania po stronie Tuska, tym więcej POPARCIA dla łamania prawa przez Kaczyńskiego, bo ludzie nie będą widzieć różnicy. Twardy elektorat koalicji rządzącej będzie zachwycony ciężką ręką, lecz duża część tych, którzy 15 października głosowali za zmianą, już nie.

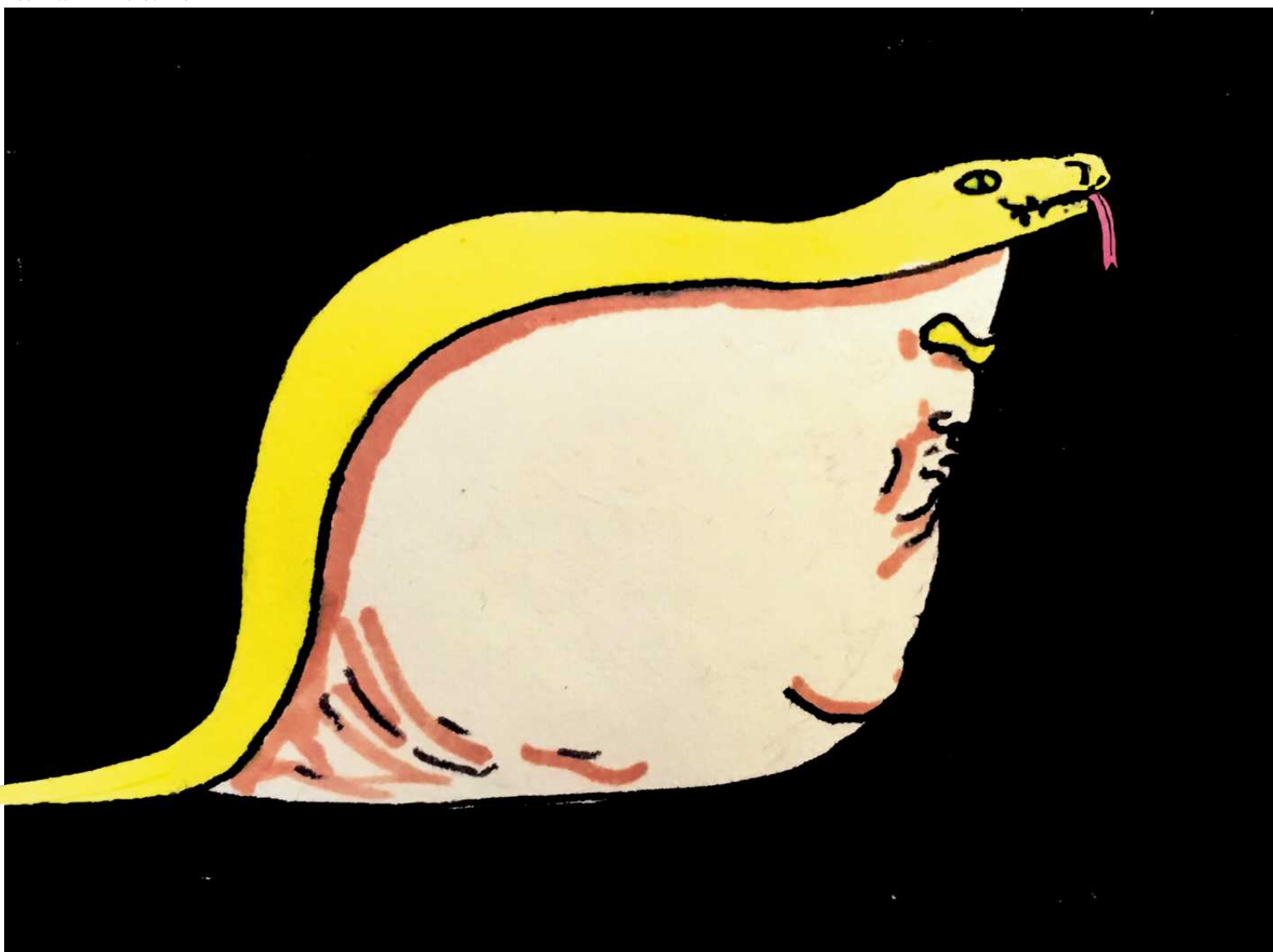
Zapominamy, że ten mecz między Tuskiem a Kaczyńskim oglądają nie tylko ultrasi. Gdyby politykę wyobrazić sobie jako stadion Legii, to obecnie siedzą na trybunach nie tylko bywalcy „żylety” i szalejący w swoim sektorze fanatyczni kibice gości. Jest sporo rodzin z dziećmi, kibiców przygodnych, którzy znowu, mimo wcześniejszego zniechęcenia, zdecydowali się przyjść. Oni oceniają, czy zmienił się styl gry, czy też dalej na murawie trwa ta sama naparzaneczka bez żadnych zasad. I to oni zdecydują, jak ta gra ma się dalej toczyć.

Ufam, że czytelnik potraktuje tę myśl jako inspirację. Bo felieton nie jest maskotką, która utuli skołataną nerwy. Jest bardziej jak filiżanka kawy, która ma podnieść ciśnienie, żeby się lepiej myślało. ●

*Przestańmy myśleć
życzeniowo i zmierzmy się
z surową rzeczywistością:
Stany Zjednoczone zmierzają
w stronę dyktatury
i z każdym dniem droga
do niej staje się coraz krótsza*

– pisze amerykański analityk
polityczny i publicysta Robert Kagan
w „The Washington Post”.

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI



NAJBOGATSI ZŁAMIĄ SIĘ PIERWSI

Darczyńcy Partii Republikańskiej zaczynają porzucać innych kandydatów i przenoszą się do Trumpa.

Andrzej Arpinacki

Iuż wkrótce, wbrew głosom odmawiającym Trumpowi szans na zwycięstwo, „miliony wyborców Partii Republikańskiej postawią na tego, którego rzekomo nikt nie chce”.

Od miesiący Amerykanie się samooszukują, liczą na to, że wśród Republikanów górę weźmie Ron DeSantis albo Nikki Haley. A może Trumpa pogrążą niezliczone oskarżenia, wobec których staje?

„Od dawna wiemy, że przed nami znajduje się wodospad, ale zakładamy, że jakimś sposobem uda nam się dotrzeć do brzegu, zanim przeleciemy przez jego krawędź. Jednak teraz działania konieczne, aby się dostać na brzeg, wyglądają na coraz trudniejsze, jeśli nie wręcz niemożliwe”.

Kiedy Trump zostanie kandydatem Partii Republikańskiej na prezydenta, nastąpi korzystna dla niego i dramatyczna zmiana dynamiki politycznej.

Do tej pory – ocenia Kagan – republikanie i konserwatyści chętnie wypowiadali się na temat alternatywnych kandyda-

tów, krytykowali dawne i obecne zachowania Trumpa. Skrajnie krytycznie do niego nastawieni sponsorzy swobodnie przekazywali pieniądze jego konkurentom. Republikanie z establishmentu nie kryli nadziei, że Trump zostanie skazany i wypadnie z wyścigu.

Wszystko to się jednak zmieni, gdy Trump wygra w superwtorek (wtorek na początku lutego lub marca w roku wyborów prezydenckich, kiedy w największej liczbie stanów odbywają się prawyborzy). Za tym sukcesem pójdą pieniądze i stanie się potężniejszy niż dotychczas. Zresztą już teraz darczyńcy zaczynają porzucać innych kandydatów i przenoszą się do Trumpa.

„Nawet darczyńcy sprzeciwiający się Trumpowi – pisze Kagan – muszą się zastanowić, czy ich celom najlepiej służy odwracanie się od człowieka, który może zostać następnym prezydentem. Czy dyrektorzy korporacji postawią pod znakiem zapytania interesy swoich akcjonariuszy tylko dlatego, że oni sami lub ich współmałżonkowie nienawidzą Trumpa? Najbogatsi złamią się jako pierwsi”.

Wielu w Partii Republikańskiej szybko podąży ich śladem. Niedawne wezwania stratega politycznego Karla Rove’a, aby w prawyborach poprzeć kogokolwiek, byle nie Trumpa, to zapewne ostatni taki apel w tej partii. „Większość kandydatów występujących przeciwko niemu przejdzie na jego stronę, walcząc o jego przychyłność. Po superwtorku nie będzie dla republikanina pewniejszej i krótszej drogi do prezydentu-

ry niż lojalne poparcie kogoś, kto w 2028 r. będzie miał 82 lata”.

Kiedy Trump już otrzyma nominację, partia w całości podporządkuje się wymogom kampanii. Który konserwatysta przeciwstawi się wtedy Trumpowi? Wszak wybór będzie już tylko między Trumpem a Bidenem. To będzie „tsunami wsparcia” Trumpa przez wszystkie nuryty w partii. Ktoś, kto ma poważne szanse na sprawowanie władzy na całym świecie, przyciągnie poparcie bez względu na to, kim jest.

Ale Trump zdominuje nie tylko partię. „Będzie górował nad krajem jak kolos, a każde jego słowo i gest będą rejestrowane bez końca”. Już dziś główne media informacyjne, np. NBC News, łączą siły z prawnikami Trumpa, aby uzyskać zapis telewizyjnej relacji z jego procesu karnego w Waszyngtonie. „Trump zamierza wykorzystać proces do wzmocnienia swojej kandydatury i zdyskredytowania amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości jako skorumpowanego”. Media dbające o własne interesy mu w tym pomogą.

Trump zatem od początku 2024 r. wejdzie w kampanię przedwyborczą z rozmachem dzięki rosnącemu zasobom politycznym i finansowym oraz coraz większemu zjednoczeniu Partii Republikańskiej. Czy to samo można powiedzieć o Bidenie?

Czy jego partia zjednoczy się wokół niego? A może wątpliwości wśród Demokratów, już spore, będą nadal rosły? W ich partii nastąpi rozłam, podczas gdy

Republikanie się zjednoczą, a Trump umocni pozycję.

Biden nie może twierdzić – jak zwykle czyni podczas kampanii urzędujący prezydent – że wybór jego przeciwnika to skok w nieznane. Niewielu reprezentantów Partii Republikańskiej uważa prezydenturę Trumpa za nieudaną. Podczas niej „poważni” ludzie z jego otoczenia ukrywali przed opinią publiczną jego niebezpieczne poczynania i do dziś niektórzy z tych urzędników rzadko wypowiadają się publicznie przeciwko niemu. Dlaczego – pyta Kagan – wyborcy Republikanów mieliby mieć problem z Trumpem, skoro ci, którzy mu służyli, go nie mają? „To będzie bitwa dwóch prawowitych prezydentów”.

Trump ma dziś mocny atut: nie jest za nic odpowiedzialny. Biden musi dźwigać problemy świata jak każdy urzędujący prezydent. Za czasów Trumpa nie było pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, większego ataku na Izrael, galopującej inflacji ani katastrofalnego odwrotu z Afganistanu.

Trump ma też inny niezwykły atut jak na pretendenta. Nawet Ronald Reagan nie miał w kieszeni Fox News i spikera Izby Reprezentantów. I dochodzi jeszcze problem, którego Biden nie może w żaden sposób rozwiązać: kwestia jego wieku.

I kolejny atut Trumpa. Na niecały rok przed wyborami nastroje w Ameryce charakteryzują się ponadpartyjnym wstrętem do systemu politycznego w ogóle. Rzadko w historii Ameryki nieunikniony w de-

mokracji bałagan był bardziej uderzający. W Niemczech w czasach Weimaru Hitler i inni agitatorzy skorzystali na kłótniach wewnątrz partii demokratycznych po prawej i po lewej stronie, na niekończących się bataliach o budżet czy na rządach kruchych i krnąbrnych koalicji. Niemieccy wyborcy – przypomina Kagan – coraz bardziej tęsknili za kimś, kto przebiję się przez to wszystko i coś – cokolwiek – zrobi.

Trump czerpie korzyści z dysfunkcji obecnych w Waszyngtonie, ponieważ oferuje prostą na nie odpowiedź: to on sam. „W tych wyborach – pisze Kagan – tylko jeden kandydat opowiada się za wykorzystaniem bezprecedensowej władzy do załatwiania spraw, do diabła z zasadami”. A rosnąca liczba Amerykanów twierdzi, że tego chce, po obu stronach sceny politycznej. „Trump działa przeciwko systemowi. Biden jest żywym ucieleśnieniem systemu”.

Bez wątplenia Trump wolalby ubiegać się o urząd, nie spędzając większości czasu w sądach. Jednak to na sali sądowej w nadchodzących miesiącach Trump zamierza pokazać swoją niezwykłą władzę w amerykańskim systemie politycznym.

Trudno winić tych, którzy pozwali Trumpa. Z pewnością popełnił co najmniej jedno z zarzucanych mu przestępstw, co wiemy i bez procesu – próbował unieważnić wybory prezydenckie z 2020 r. Nie można też winić tych, którzy mieli nadzieję przeszkodzić mu pozwami w powrocie do Gabinetu Ovalnego. „Kiedy rabuś wdziera się do twojego domu, rzucasz w niego wszystkim, co masz pod ręką – garnkami, patelniami, świecznikami – w nadziei, że go powstrzymasz. Ale to nie znaczy, że to działa”.

Trumpa nie powstrzymają sądy ani rządy prawa. Wręcz przeciwnie, zamierza wykorzystać swoje procesy, aby pokazać siłę. Dlatego chce, żeby były transmitowane w telewizji. Władza Trumpa pochodzi od jego zwolenników, a nie od instytucji rządowych, a jego oddani wyborcy kochają go właśnie dlatego, że przekracza granice. Czują się przez to wzmocnieni, a to z kolei jemu dodaje sił.

Czy sędziowie wsadzą do więzienia domniemanego kandydata Republikanów za obrazę sądu? Kiedy stanie się jasne, że nie, układ sił na sali sądowej i w całym kraju ponownie przesunie się w stronę Trumpa. Najbardziej prawdopodobnym wynikiem procesów będzie wykazanie niezdolności naszego systemu sądownictwa do powstrzymania kogoś takiego jak Trump. Oskarżenie Trumpa o próbę obalenia rządu będzie podobne do oskarżenia Cezara o przekroczenie Rubikonu i równie skuteczne. Podobnie jak Cezar Trump ma wpływ wykraczający poza prawo i instytucje władzy, opiera się na niezachwianej lojalności armii swoich zwolenników.

Czy Trump może wygrać? Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, jak najbardziej. A jeśli wygra, stanie się najpotężniejszą osobą, jaka kiedykolwiek piastowała w Ameryce urząd prezydenta. Nie tylko będzie posiadał ogromną władzę, jaką jest amerykańska władza wykonawcza, ale też będzie to czynił przy najmniejszych ograniczeniach spośród wszystkich prezydentów.

System sądowy, który nie mógłby kontrolować Trumpa jako osoby prywatnej, nie będzie kontrolował go lepiej, gdy zostanie prezydentem i mianuje własnego prokuratora generalnego oraz wszystkich innych najwyższych urzędników Departamentu Sprawiedliwości. Wielka byłaby siła człowieka, który zostałby wybrany na prezydenta mimo aktów oskarżenia, procesów, a może nawet wyroku skazującego. Czy w ogóle podporządkowałby się wyrokowi Sądu Najwyższego? A może zapytałby, ile Sąd Najwyższy ma dywizji?

Czy przyszedł Kongres go powstrzymać? Prezydenci mogą obecnie wiele osiągnąć bez zgody Kongresu, co pokazał nawet Obama. Jedyne środki kontroli, jaką Kongres

ma wobec nieuczciwego prezydenta, czyli impeachment i wyrok skazujący, okazał się już niemal nie do użycia – nawet gdy Trump nie sprawował już urzędu.

Sprawować kontrolę prezydent może przez biurokrację federalną – profesjonalnych urzędników rządowych. Ale oni ograniczają każdego prezydenta. Jak to ujął Harry S. Truman: „Biedny Ike [Eisenhower]. Powie »zrób to« lub »zrób tamto« – i nic się nie dzieje”.

To był problem Trumpa podczas jego prezydentury – zauważa Kagan. – Nie miał własnych ludzi, którymi mógłby obsadzić administrację. Tym razem będzie miał. I oni nie będą odmawiać spełniania jego życzeń. Wielu dawnych zawodowych biurokratów zniknie, a ich miejsce zajmą osoby dokładnie „sprawdzone” pod kątem ich lojalności wobec Trumpa.

Ostatnim ograniczeniem nałożonym na amerykańskich prezydentów – stwierdza Kagan – było zawsze ich pragnienie, by pozostawić po sobie poważne dziedzictwo, którego miarą jest tradycyjnie dobrobyt kraju. Trump może i pragnie takiego wielkiego dziedzictwa, ale wyłącznie dla własnej chwały.

Jeśli chodzi o jego zwolenników, to według Kagana nie musi niczego osiągnąć, aby utrzymać ich poparcie. Nigdy nie oczekiwali od niego niczego poza tym, aby zatriumfował nad siłami, których nienawidzą w społeczeństwie amerykańskim. „I to – możemy być pewni – będzie główną misją Trumpa jako prezydenta”.

A czy jego rezydentura może się zmienić w dyktaturę? Takie ryzyko – twierdzi Kagan – jest spore.

Wyobraźmy sobie nastrój Trumpa po zwycięstwie. Rok 2023 poświęcił w znacznej mierze walce o to, by nie pójść do więzienia;

działania, które ich zdaniem uszczęśliwią go, zwiększając w ten sposób swoje własne wpływy i władzę”.

Administracja Trumpa będzie więc mogła na różne sposoby prześladować wrogów, prawdziwych i domniemanych. Weźmy choćby obowiązujące dziś przepisy, które dają rządowi federalnemu ogromną władzę w zakresie inwigilacji ludzi pod kątem ich możliwych powiązań z terroryzmem albo w sferze dochodzeń w sprawie rzekomego uchylania się od płacenia podatków.

Czy ktoś powstrzyma ściganie wrogów Trumpa? – pyta Kagan. Kongres Republikanów będzie wykorzystywał swoje uprawnienia do wzywania obywateli i oskarżania ich o wszelkie przestępstwa. Czy będzie miało znaczenie to, że będą bezpodstawne?

W reżimie, w którym władca uznał media informacyjne za „wrogów państwa”, znajdą się one pod znaczną i stałą presją. Właściciele mediów odkryją, że wrogi i nieokielznany prezydent może na wiele sposobów uprzykrzyć im życie.

Czy ktoś poza prawnikami stanie w obronie ludzi publicznie oskarżonych? – zastanawia się Kagan. Czy ktoś zaryzykuje własną karierę, aby bronić innych? Ci, którzy będą chcieli usprawiedliwić prześladowania, znajdą mnóstwo precedensów – choćby taki, że przecież w czasie II wojny światowej Franklin D. Roosevelt Amerykanów pochodzenia japońskiego umieścił w obozach.

Jak Amerykanie zareagują na takie prześladowania polityczne ze strony władzy? Czy oburzeni powstaną? Nie liczmy na to. Ci, którzy nie znaleźli powodu, aby sprzeciwiać się Trumpowi w prawyborach i w ogóle się mu sprzeciwiać, prawdopodobnie nie doświadczą naglej iluminacji, gdy jakiś były urzędnik zostanie objęty śledztwem z nie-

Czy dyrektorzy korporacji postawią pod znakiem zapytania interesy akcjonariuszy tylko dlatego, że oni sami lub ich współmałżonkowie nienawidzą Trumpa?

pozbawiony był w tym czasie tego, co lubi najbardziej: szansy na zemstę. Ten nastrój to będzie wściekłość.

Głębokie pragnienie zemsty było widoczne w jego obietnicy złożonej z okazji Dnia Weterana: że „wykorzeni komunistów, marksistów, faszystów i radykalnie lewicowych bandytów, którzy żyją jak robactwo w granicach naszego kraju, kłamią, kradną i oszukują podczas wyborów; chcą zniszczyć Amerykę i amerykański sen”.

Jak odpłaci wrogom? Trump wymienił już niektóre osoby, którymi zamierza się zająć po wyborze: to np. wyżsi urzędnicy z jego pierwszej kadencji, choćby były prokurator generalny William P. Barr i inni, którzy wypowiadali się przeciw niemu po wyborach w 2020 r. Albo urzędnicy FBI i CIA, którzy prowadzili dochodzenie w dotychczas go aferze rosyjskiej. I urzędnicy Departamentu Sprawiedliwości, którzy odrzucili jego żądanie unieważnienia wyborów z 2020 r.

Ale to dopiero początek. Administracja pełna będzie ludzi, którzy mają własne listy wrogów. Jego urzędnicy będą starali się usunąć z kręgu władzy tych, którym nie można ufać. Wielu zostanie po prostu zwolnionych; innych czeka dochodzenie niszczące ich kariery.

Administracja Trumpa – przewiduje Kagan – będzie wypełniona ludźmi, którzy nie będą potrzebowali wyraźnych instrukcji od Trumpa, tak samo jak gauleiterzy Hitlera nie potrzebowali instrukcji. „W takich okolicznościach ludzie »pracują na rzecz Führera«, co oznacza, że uprzedzają jego pragnienia i zabiegają o przychyłność poprzez

wiadomych powodów: a może, kto wie, tacy oskarżeni są naprawdę oszustami podatkowymi, chińskimi szpiegami albo zbrojcami?”

Dyktatura Trumpa nie będzie systemem na komunistyczną modłę. „W konserwatywnych, antyliberalnych tyraniach zwykli ludzie spotykają się z wszelkiego rodzaju ograniczeniami swoich wolności, ale jest to dla nich problem tylko w takim stopniu, w jakim cenią te wolności, a wielu ludzi ich nie ceni”. Być może większość Amerykanów zajmie się po prostu swoimi codziennymi sprawami, tak jak wielu Rosjan czy Węgrów.

Pojawi się ruch opozycyjny w Partii Demokratycznej, demokratyczni politycy, zwłaszcza ci najmłodsi, będą krzyczeć i protestować, ale jeśli nie dołączą do nich reprezentanci Republikanów, będzie to wyglądało na działanie motywowane partyjną stronniczością.

Amerykanie mogą wyjść na ulice. Być może wielu się zaangażuje w protesty przeciwko nowemu reżimowi, może nawet zamienią zdąży on udowodnić, że na nie zasługuje. I co dalej? Trump zapewne sięgnie po prawo przewidziane dla sytuacji, gdy dochodzi do zamieszek. I pewnie będzie zachwycony tym, że może sięgnąć po nie – wszak „komuniści, marksisci, faszyszy i radykalnie lewicowi bandyci” wyszli na ulice.

Kto zatem może zatrzymać Trumpa? Być może gubernatorzy stanów w większości demokratycznych, takich jak Kalifornia i Nowy Jork. „Stany z demokratycznymi gubernatorami mogłyby odmówić uznania władzy tyrańskiego rządu federalnego.

W naszym systemie federalnym zawsze istnieje taka możliwość”.

Jednak ci gubernatorzy „znajdą się pod oblężeniem na własnym terenie, jeśli spróbują stać się bastionami oporu wobec Trumpa. Republikanie i konserwatyści w całym kraju zostaną pobudzeni przez triumf swojego bohatera”.

Zmiana władzy na szczęble federalnym oraz ton groźby i zemsty dobiegający z Białego Domu ośmielą wszelkiego rodzaju bunt i brutalne protesty nawet w stanach głęboko demokratycznych. Kto odeprze takie ataki i utrzyma porządek? Policja stanowa i lokalna?

Czy zamierzamy coś z tym zrobić? Dużym problemem są ci, którzy dostrzegają ryzyko, ale z różnych powodów nie uważają za konieczne, żeby się poświęcić, by mu zapobiec.

Republikanie mogli powstrzymać Trumpa przed zdobyciem przez niego nominacji prezydenckiej w 2016 r., ale tego nie zrobili. Wyborcy mogli wybrać Hillary Clinton, ale tego nie zrobili. Republikanie senatorowie mogli głosować za skazaniem Trumpa w którymkolwiek z postępowań w sprawie impeachmentu, ale tak się nie stało.

„Przez te lata działała zrozumiała psychologia – pisze Kagan. – Na każdym etapie powstrzymanie Trumpa wymagałoby nadzwyczajnych działań ze strony polityków, wyborców czy darczyńców, działań, które nie byłyby zgodne z ich bezpośrednimi interesami. Byłoby niezwykle, gdyby wszyscy republikanie startujący przeciwko Trumpowi w 2016 r. zdecydowali się porzucić osobiste nadzieje związane z prezydenturą i zjednoczyć się wokół jednego z nich. Zamiast tego zachowywali się normalnie, poświęcając swój czas i pieniądze na wzajemne ata-

ki, wychodząc z założenia, że Trump nie jest dla nich najpoważniejszym wyzwaniem lub że ktoś inny go obali. Tym samym otworzyli drogę do nominacji Trumpa”.

Zachowali się podobnie, z kilkoma wyjątkami, w obecnym cyklu wyborczym. „Byłoby niezwykle, gdyby Mitch McConnell i wielu innych senatorów republikańskich głosowało za skazaniem prezydenta swojej własnej partii. Zamiast tego założyli, że po 6 stycznia 2021 r. [atak zwolenników Trumpa na Kapitol] Trump będzie skończony, w związku z czym można było bezpiecznie go nie skazywać. Wierzyli, że mogą jak zwykle realizować swoje osobiste interesy i ambicje, mając pewność, że gdzieś w przyszłości ktoś albo coś innego lub po prostu los go zatrzyma. Dlaczego to oni mieliby poświęcić swoją karierę?”.

Mitt Romney wspominał niedawno, że republikańscy członkowie Kongresu, rozważając głosowanie za impeachmentem i skazaniem Trumpa, obawiali się o bezpieczeństwo fizyczne swoje i swoich rodzin. „Nie ma powodu, aby strach miał być dzisiaj mniejszy. Niech no tylko Trump wróci do władzy, a ceną przeciwstawienia się mu będą prześladowania, utrata mienia i być może wolności. Czy ci, którzy wzburlali się przed przeciwstawieniem się Trumpowi, gdy ryzyko było jedynie polityczne, nagle odkryją w sobie odwagę, gdy ceną może być zniszczenie ich samych?”.

Dzisiaj jesteśmy coraz bliżej tego punktu niż kiedykolwiek. ●

oprac. Andrzej Arpinacki

N A S Z A E U R O P A

Yuval Noah Harari:

NIE BĄDŹCIE OPTYMISTAMI,
TYLKO DO ZADAŃ!

Pesymista uważa, że jesteśmy skazani na zagładę, ale po co w takim razie próbować robić cokolwiek? Z kolei optymista wierzy, że wszystko samo się ułoży, więc nie bierze za nic odpowiedzialności. Prawda jest taka, że stoimy przed ogromnymi wyzwaniami, lecz mamy zarówno wiedzę, jak i zasoby, by im sprostać.

Jesús Ruiz Mantilla

EL PAÍS

Błoto to ważne słowo w życiu 47-letniego Yuvala Noaha Harariego. Jako dziecko mieszkał w domu nad jeziorem. Grał tam w piłkę, obserwował zwierzęta i budował zamki z mokrej ziemi. Jak pisze: „Chyba już wtedy zacząłem dostrzegać sprzeczności różnych doznań, które łączyły się paradoksalnie. Błoto wstrętne, błoto pociągające, błoto życiodajne...”

„Częścią problemu z naszymi czasami jest to, że jesteśmy zotopieni w mnóstwie informacji, których nie jesteśmy w stanie sensownie przetworzyć, a większość z nich to śmieci. Potrzebujemy diety. Musimy też odmierzać i selekcionować porcje informacji, którymi się żywimy” – dodaje.

Dieta to kolejne słowo, które ma znaczenie dla Harariego. Jest weganinem, choć nie ortodoksyjnym. Gdy jest w odwiedzinach u matki, a ona dodaje kozi ser do potrawy, nie odmawia. Niemniej narzucił sobie dość ostrą dyscyplinę, co po części jest wymagane przez jego intensywny tryb życia. Podczas swojej ostatniej wizyty w Madrycie w maju długo opowiadał na temat przyszłości systemów opieki zdrowotnej, demonstrując przy tym swoją umiejętność do rozkładania na czynniki pierwsze złożonych koncepcji przed wszelkiego rodzaju publicznością. Zapewniał, że stoimy w obliczu nowej ery: „Rewolucja technologiczna prowadzi nas nie tylko do skutecznego leczenia wszelkich chorób, ale także do radykalnej poprawy stanu tych, którzy w zasadzie są zdrowi”.

Jednak jego optymizm nie jest bezwarunkowy. „Jeśli wkrótce nie uregulujemy nowych technologii informacyjnych, w tym sztucznej inteligencji, stracimy kontrolę nad naszym życiem” – przekonuje. To właśnie pomiędzy nadejściem apokalipsy a realizacją najbardziej pożądanego postępu, jaki jest w naszym zasięgu, izraelski filozof rozpiął swoje rozważania na temat epoki, w której żyjemy – przede wszystkim w swoich trzech bestsellerach sprzedanych w ponad 45 mln egzemplarzy („Sapiens”, „Homo deus” i „21 lekcji na XXI wiek”), ale także w licznych rozmowach, na konferencjach i w globalnej debacie publicznej.

Harari jest dziś intelektualistą celebrytą. Wielu zarzuca mu zbyt łatwe udzielanie odpowiedzi na trudne pytania. „Staram się być realistą” – odpowiada. I dodaje: „Nie uważam się za pesymistę, który uważa, że jesteśmy skazani na zagładę i nie mamy żadnego dobrego wyjścia, bo po co w takim razie pró-

bować robić cokolwiek? Z kolei optymista wierzy, że w końcu wszystko samo się ułoży, więc nie bierze za nic odpowiedzialności. Prawda jest taka, że stoimy przed ogromnymi wyzwaniami, ale mamy zarówno wiedzę, jak i zasoby, aby im sprostać”.

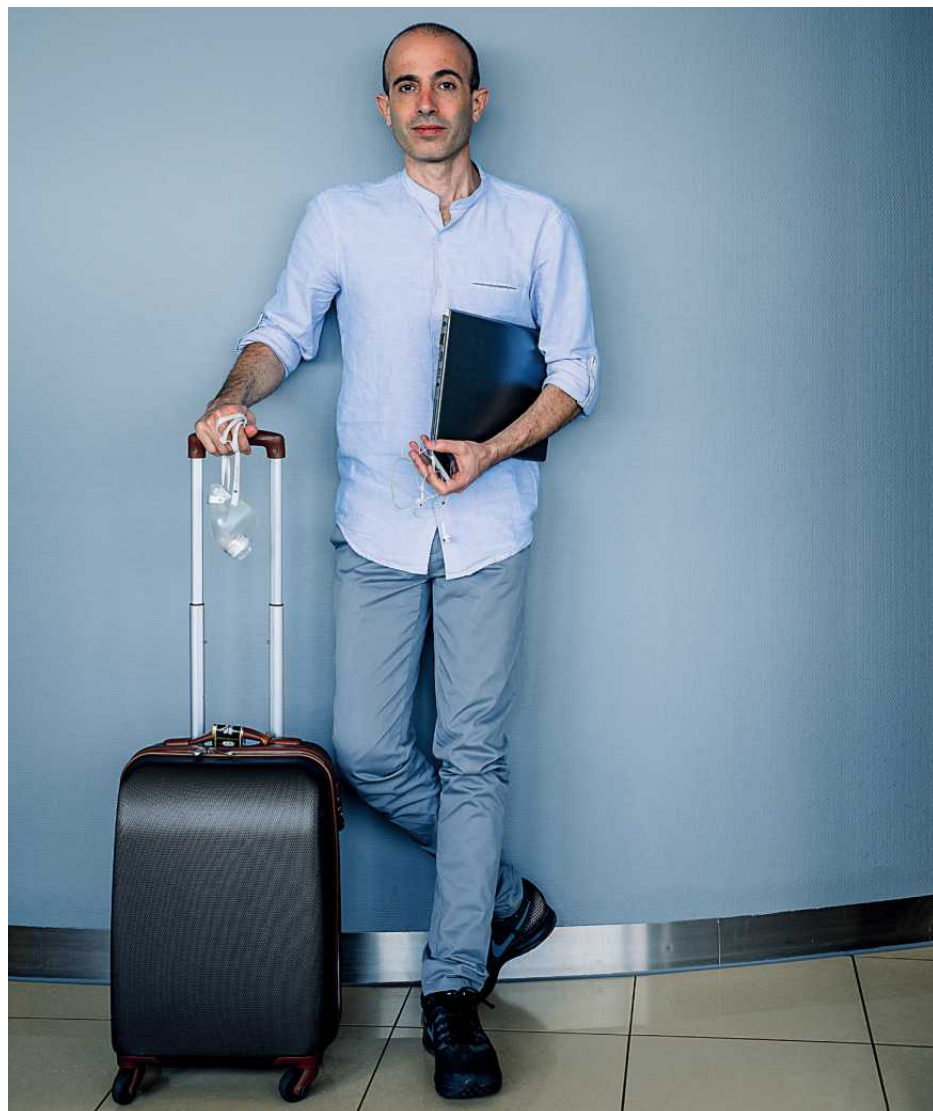
Jeszcze zanim wybuchła aktualna wojna na Bliskim Wschodzie, Harari występował ostro przeciwko atakowi rządu Beniamina Netanjahu na demokrację w swoim kraju. Sytuacja po ataku Hamasu z 7 października nie zmniejszyła jego krytyki Netanjahu: „Nie można go bezpośrednio winić za atak przeprowadzony przez Hamas. Ale za to, że nie zdołał przygotować kraju do tej wojny – owszem. Premier rządzi z małą przerwą od 2009 r. i niestety systematycznie przedkłada swoje osobiste interesy nad rację stanu. Zbudował swoją karierę polityczną, dzieląc kraj i osłabiając każdą instytucję państwową, która nie była mu bezwarunkowo posłuszna”.

Protest przeciwko polityce Netanjahu stał się ostatnio kwestią numer jeden działalności Harariego: „Czuję się bardzo zaangażowany w tę sytuację w sposób, którego nigdy sobie nie wyobrażałem. Do tego stopnia, że wiosną znalazłem się na środku placu w Tel Awiwie, wygłaszając przemówienie przed tysiącami manifestujących ludzi. Kiedy dochodzi do tego, że zaczynasz się na serio zastanawiać, jak by to było żyć w dyktaturze, po prostu chyba nie masz wyboru. Ponadto moja praca jest całkowicie uzależniona od utrzymania wolności słowa, od tego, czy nadal można pisać nieprzyjemne rzeczy o przywódcach politycznych lub biznesowych. Sama myśl, że pewnego dnia mogę się obudzić w kraju, w którym wolność słowa zniknęła, że w 2024 r. możemy być świadkami ostatnich demokratycznych wyborów w USA lub że izraelskiemu rządowi może udać się zniszczyć niezależność sądów i znieść prawa człowieka, zmusza do reakcji”.

W ciągu ostatniego roku, jak mówi Harari, osaczanie demokracji w jego kraju osiągnęło bezprecedensowy poziom:

„Netanjahu zbudował koalicję mesjanistycznych fanatyków i oportunistycznych lajdaków, którzy długo i z zapalem ignorowali wiele naszych zasadniczych problemów, w tym pogarszającą się sytuację w zakresie bezpieczeństwa, a zamiast tego skoncentrowali się na zdobywaniu nieograniczonej władzy dla siebie. Aby realizować te cele, przyjęli skrajnie dzielącą politykę, rozpowszechniali teorie spiskowe na temat instytucji publicznych, które sprzeciwiały się ich strategiom, a każdego krytyka uznali za destabilizującego zdrajcę”.

Harari kładzie nacisk na to, że rząd, rozkręcając swoją populistyczną strategię, wołał puszczać mimo uszu ostrzeżenia ze strony służb wywiadowczych. „Byli nie-



FOT. JONAS HOLTHAUS / LAIF / FORUM

ustannie ostrzegani przez wywiad i armię, że taka polityka naraża kraj na ryzyko i radykalnie zmniejsza naszą zdolność do stawienia czoła atakom zewnętrznym. Wyśmiewali ekspertów i ignorowali wszystkie ich ostrzeżenia” – mówi.

„Krótko przed atakiem Hamasu głównodowodzący armii poprosił premiera o spotkanie, aby ostrzec o skutkach jego polityki na bezpieczeństwo narodowe, a premier odmówił spotkania. A kiedy minister obrony Jo'aw Galant podniósł alarm na własną rękę, zwolnił go, po czym został zmuszony do przywrócenia go na stanowisko, ale tylko z powodu powszechnego oburzenia, jakie wywołała ta decyzja” – wyjaśnia.

Hamas zaatakował 7 października i była to – zdaniem Harariego – próba zapobieżenia istotnemu wydarzeniu. „Izrael miał właśnie podpisać porozumienie pokojowe z Arabią Saudyjską. Traktat wieńczyłby normalizację stosunków między Izraelem a światem arabskim, oznaczałby poprawę sytuacji dla Palestyńczyków i otwierał drogę do wznowienia procesu pokojowego. Ta perspektywa normalizacji przerażała zarówno Hamas, jak i Iran, jego głównego sponsora. Dlatego właśnie doszło do ataku, który został celowo przeprowadzony z maksymalnym okrucieństwem, które było skrzętnie filmowane. Celem Hamasu było bowiem nie tylko wykoślenie porozumienia, lecz także zasianie ziaren świeżej nienawiści, która ma zabić wszelkie szanse na przyszły pokój” – uważa.

To dlatego Harari dziś nieustannie wzywa swój rząd, by nie wchodził w tę zaprojektowa-

ną z wyrachowaniem pułapkę: „Nie powinniśmy dać się wciągnąć w niekończącą się wojnę, w której będą ginąć tysiące cywilów. Trzeba rozbroić Hamas, ale nie wyrzucać do kosza przyszłych porozumień pokojowych. Izrael powinien powrócić do rozmów z Saudami i zdać sobie sprawę, że pokój może zostać osiągnięty tylko wtedy, gdy pociągnie za sobą możliwość zapewnienia Palestyńczykom godnego życia na ich własnej ziemi”.

Cel ten jest jednak odległy. A obawy przed najgorszym na razie się spełniają. „Fatalna polityka trwająca od lat spowodowała korozję siły armii i państwa. Izrael nazwał swoją operację wojskową Żelazne Miecze. Ale jeśli trzymasz miecze w słonej wodzie, rdzewieją. Cokolwiek można myśleć o konflikcie izraelsko-palestyńskim, sposób, w jaki populistyczna polityka Netanjahu doprowadziła do korozji Izraela, powinien służyć jako ostrzeżenie dla wszystkich demokracji na całym świecie. Jeśli dasz władzę populistom, może się to przydarzyć w twoim domu” – przestrzega.

Harari zapewnia, że nie znudzi mu się ostrzeżenie. Akurat on ma okazję, by powtarzać to bezpośrednio najbardziej wpływowym liderom na świecie, bo co rusz się z nimi spotyka.

Fundacje, think tanki, politycy i wpływowi przedsiębiorcy – Harari odwiedza ich regularnie w ramach swoich międzynarodowych tournée. Jest aktualnie ulubionym guru Doliny Krzemowej. Być może jest filozofem, który nie sformułował żadnej niezwykle oryginalnej myśli, lecz nikt nie wątpi, że udało mu się dobrze podsumować

NASZA EUROPA

wiele z tego, co dzieje się z nami w erze niepewności napędzanej zalewem danych.

Sam nie nadużywa smartfona (choć ma go w kieszeni, na wszelki wypadek). Poświęca dwie godziny dziennie na medytację i co najmniej jeden lub dwa miesiące w roku na odosobnienie w całkowitej ciszy zgodnie z zasadami buddyjskiej vipassany. Kwestionuje sposób, w jaki przyjęło się myśleć o podstawowych koncepcjach myśli politycznej: od wolności po równość. W tym sensie, że nie uważa ich za niezbywalne prawa człowieka, lecz za zdobycz właśnie, dzieło jego koncepcyjnych możliwości.

Nie oznacza to wcale, że mamy do czynienia z gniewnym anarcholeberalem, wręcz przeciwnie. Poglądy Harariego prowadzą go do coraz większego zaangażowania w obronę demokracji.

Mieszka w Tel Awiwie, gdzie wraz ze swoim mężem i menedżerem Itzikiem Yahavem założył firmę Sapienship. Przed wydaniem pierwszego bestsellera był profesorem historii średniowiecznej i wojskowości na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, gdzie, jak mówi, pisał artykuły i opracowania, które prawie do nikogo nie docierały. Wpadł na pomysł napisania „Sapiens. Od zwierząt do bogów”, studiując m.in. historię podboju Meksyku i analizując kronikę Bernala Díaza del Castilla, żołnierza Corteza, a w tym samym czasie dla rozrywki czytając prace o zachowaniu szympansov.

Zdał sobie sprawę, że musi całkowicie zniszczyć własną metodę pisania. „Kiedy jesteś na studiach doktoranckich i pisziesz artykuły naukowe, robisz to w sposób, który podoba się twoim kolegom, w kodzie, o którym wiesz, że oni zaakceptują. Musiałem o tym zapomnieć i na nowo nauczyć się pisać tak, by było to przystępne” – mówi. Szukał inspiracji. „Kluczowa była lektura książki biologa ewolucyjnego Jareda Diamonda. Jego »Strzelby, zarazki, maszyny« dosłownie zmieniły moje życie. Nie tylko jeśli chodzi o myślenie o tym, jak pisać, ale także o czym” – wyznaje.

„Na uniwersytecie zmuszają cię do specjalizacji i wybierając karierę naukowca, warto się na tym skupić, ale na pewnym etapie trzeba poszerzyć swoje spojrzenie, dodać mu kontekst, ni mniej, ni więcej tylko całą historię Wszechświata” – dodaje.

Kolejny istotny wpływ na Harariego wywarł Frans de Waal, prymatolog i etolog, autor m.in. „Chimpanzee Politics. Power and Sex among Apes” (Polityka szympansov. Władza i seks wśród naczelnych): „Ta książka nauczyła mnie, że dogłębne rozpoznawanie zachowań zwierząt i ludzi można przeprowadzić z notorycznym zastosowaniem poczucia humoru”.

Harari rozwinął swój własny styl eseisty popularyzatora wiedzy. Sposób opowiadania o nauce i filozofii, który wciągnął dziesiątki milionów ludzi i w którym spotykają się kultura popularna i nauka na wysokim poziomie. Harari nie unika odniesień do popularnych komiksów czy „Harry’ego Pottera”, jeśli uważa, że to może ludziom pomóc zrozumieć zawile kwestie. „Moim zadaniem jest budowanie pomostu między tą bardziej akademicką wiedzą a ogółem społeczeństwa” – mówi. I nie ma nic przeciwko zarzutom o „populizm naukowy”, „To prawda, że upraszczam, ale nie uważam, że to złe. Do tego właśnie dążę, do popularyzacji nauki. Mam już na koncie artykuły, które zostały przeczytane przez góra pięć osób na całym świecie. Teraz z uwagą studiuję to, co napisali lepsi ode mnie, i podaję to szerzej – i nie piszę, by zachęcać do tworzenia teorii piskowych, lecz by dotrzeć do większej publiczności. Jeśli do niej nie dotrzemy, pozwolimy na powiększanie poznawczej próżni, którą potem zaleją kłamstwa. Krótko mówiąc: jeśli stracisz tę szeroką publiczność, zdobędą ją inni” – tłumaczy.

„Wielu świetnych naukowców nie wie, jak dobrze komunikować swoje odkrycia. Piszą pod presją liczb, równań, rygoru faktów. Tymczasem ludzie są gatunkiem przyzwy-

czajonym do opowieści, myślimy w tym kłuczu, jesteśmy uzależnieni od tego, a nie od równań i statystyk” – mówi. To jest zresztą główna teza „Sapiens”. Harari argumentuje tam, że nasz gatunek zdołał zdominować świat właśnie dzięki swojej zdolności do tworzenia fikcji, które cementują struktury społeczne: „Jeśli chcesz wyjaśnić ważne kwestie, potrzebujesz narzędzi dobrego opowiadania. Trzymaj się nauki i najnowszych odkryć, ale przełóż je na temat, który jest interesujący i dostępny nawet dla nastolatków”.

Jednak jego celem jest nie tylko dotarcie do czytelników z niewygodnymi wnioskami w rodzaju tezy, że *Homo sapiens* dokonał ludobójstwa na neandertalczykach lub że wielka zmiana klimatu, która nadchodzi, będzie co najmniej trzecią, jakiej doświadczy gatunek ludzki. Stara się również wpływać na rządzących. „Często radzę im, aby się nieco wycofali, medytowali, znaleźli czas i przestrzeń dla siebie” – mówi. I dodaje: „Żądamy, aby nasi przywódcy wkładali w realizowanie zobowiązań wobec nas całą swoją siłę, ale jeśli nie mają możliwości kontemplacji i uspokojenia się, nie będą dobrze wykonywać swojej pracy”.

Opierając się na sporym doświadczeniu z politykami, zauważa: „Często zdaję sobie sprawę, że jeśli nie mam czasu na szeroko zakrojoną rozmowę z nimi, nic dobrego ani wartościowego z tego nie wyniknie. Jeśli masz tylko 20 minut, nic nie osiągniesz. To są ludzie przyzwyczajeni do natychmiastowego przechodzenia do kolejnej kwestii, oni boją się nawet chwili ciszy. Ale w ten sposób pozostajemy na poziomie banałów. Jako naukowiec wiem, że najlepsze pomysły przychodzą, gdy pojawia się cisza, gdy jesteś znudzony”.

Dlatego Harari nie znosi słowa „ekscytujący”. „Silne emocje występują, kiedy pojawia się niebezpieczeństwo lub otwierają się możliwości. Ale biologicznie potem należy się uspokoić, tak ewolucyjnie zaprojektowane jest nasze ciało. Jeśli utrzymasz organizm w ciągłej ekscytacji, w końcu się załamuje. W Ameryce wszystko jest ekscytujące, nawet przywitanie się z kimś po raz pierwszy. Komplement powinien być odwrotny: »Jestem bardzo uspokojony faktem, że cię poznałem«” – wyjaśnia.

A jego własne emocje związane z globalnym sukcesem? „Jestem nadal zaskoczony. Moja specjalność to historia wojskowości w średniowieczu, rekonkwista czy wyprawy krzyżowe. Tymczasem nagle znalazłem się w gronie osób mówiących wszem wobec o sztucznej inteligencji... Nie spodziewałem się tego. Prowadziłem spokojne życie, niewiele osób przychodziło na moje wykłady, publikowałem artykuły, które prawie nikogo nie przyciągały. Nadal jeśli dasz mi do wyboru książkę o katolickich monarchach Hiszpanii lub Elonie Musk, wybiorę Izabelę i Ferdynanda. Ale pociągała mnie wojna, być może dlatego, że w Izraelu żyliśmy stale blisko niej, a mój ojciec, inżynier, pracował w przemyśle zbrojeniowym” – wspomina. Mimo to pierwszym konfliktem, który zapamiętał, była brytyjsko-argentyńska wojna o Falklandy: „Zabawne, prawda? Akurat ta wojna, od której byliśmy najdalej”.

Obecnie Harari pracuje nad trzema tomami dla dzieci. To seria zatytułowana „Unstoppable”, w której streszcza historię świata. Na ten rok zapowiada także nową książkę dla dorosłych. „To spojrzenie na sztuczną inteligencję i technologię informacyjną z szerokiej perspektywy historycznej. W rzeczywistości ma więcej rozdziałów o dawnej historii niż o rozwoju Doliny Krzemowej. W końcu nie jestem informatykiem” – mówi. Książka nie ma jeszcze tytułu: „Unikam myślenia o tytule do samego końca, ponieważ sam proces pisanie i analizy zaskakuje mnie i zabiera w niespodziewane miejsca. Jeśli trzymasz się sztywno jakiegoś pomysłu, gdzie kończysz? Jeśli wiesz wszystko od początku, jaki jest sens zaczynania? Wtedy nie odkrywasz niczego nowego, prawda?”. ●
tłum. Łukasz Grzymistawski

UE powoła fundusz obrony przed Rosją?

100 mld euro na zbrojenia

FOT. REUTERS/ISSEI KATO

Thierry Breton, unijny komisarz odpowiedzialny za obronność, przekonuje, że UE musi się szybko dozbroić w obliczu agresywnych działań Rosji. Proponuje wspólny fundusz o wartości 100 mld euro.

Florentin Collomp



Dokładnie cztery lata temu na Forum Ekonomicznym w Davos Donald Trump – wówczas prezydent USA – wydał jasne ostrzeżenie dla Europejczyków. „Musicie zrozumieć, że jeśli Europa zostanie zaatakowana, nigdy nie przyjdziemy wam z pomocą i wsparciem” – powiedział przewodniczącej Komisji Ursuli von der Leyen i obecnemu przy tym Thierry’emu Bretonowi.

W obliczu realnej możliwości powrotu republikańskiego miliardera do Białego Domu Breton, obecnie unijny komisarz ds. rynku wewnętrznego, którego kompetencje obejmują kwestie związane z obronnością, przypomniał tamte słowa w przekonaniu, że należy mówić o tym jak najgłośniej przed czerwcowymi wyborami do euro-parlamentu.

„Naprawdę konieczne jest znaczne zwiększenie naszych zdolności produkcyjnych w zakresie sprzętu obronnego w Europie” – apelował Breton w poniedziałek na konferencji prasowej w Paryżu. „Jest absolutnie ważne, aby robić to już, nie czekając na uformowanie się nowej Komisji Europejskiej” – dodał.

Na wtorkowym spotkaniu europarlamentarnej grupy Renew Francuz przedstawił pomysł utworzenia nowego funduszu w wysokości 100 mld euro na wspólną obronę. Kalkulacja jest prosta: gdyby wszystkie państwa europejskie osiągnęły próg 2 proc. PKB przeznaczanego na obronność – wymagany przez NATO – dałoby to 143 mld euro do całkowitej puli wynoszącej obecnie ok. 200 mld euro.

„To byłby bardzo duży skok i kolosalny impuls dla potencjału UE, zwłaszcza że żadne państwo członkowskie nie jest w stanie osiągnąć takich funduszy celowych samodzielnie” – argumentuje Thierry Breton. Choć z drugiej strony suma 100 mld euro to właśnie tyle, ile sam rząd Niemiec chce w najbliższym czasie przeznaczyć na modernizację własnej armii.

Celem tego połączonego, wspólnego funduszu byłaby pomoc rządów w prefinansowaniu produkcji sprzętu wojskowego jeszcze przed potwierdzeniem zamówień dla producentów. Ostatecznym celem jest nadrobienie utracenia „dywidendy pokojowej”, jak nazywa ją Breton, która skończyła się wraz z atakiem Rosji na Ukrainę.

Trzy dekady niedoinwestowania armii w Europie

Unia Europejska nakazała już zwiększenie produkcji sztuk amunicji do miliona rocznie, aby zastąpić zapasy wyczerpane przez wojnę w Ukrainie. Thierry Breton zapewnia, że zobowiązanie to zostanie wypełnione w tym roku, a nawet przekroczone w przyszłym w celu osiągnięcia potencjału artyleryjskiego zbliżonego do rosyjskiego.

Michael Gahler, niemiecki europoseł (z CDU) z komisji spraw zagranicznych Parlamentu Europejskiego, chwali inicjaty-



wę wspólnego funduszu „w czasie, gdy pilnie musimy nadrobić trzy dekady niedoinwestowania w naszą obronność, której braki dramatycznie uwypukla rosyjska agresja”. Gahler podkreśla potrzebę „wspólnego wysiłku w celu zapewnienia interoperacyjności sił zbrojnych”.

Europa już współfinansuje wspólne projekty podejmowane przez producentów uzbrojenia z co najmniej czterech krajów.

27 lutego Komisja Europejska ma przedstawić swoją nową strategię przemysłową w dziedzinie obronności. A Thierry Breton będzie do tego czasu spotykał się z ministrami obrony wszystkich 27 krajów UE, aby spróbować przekonać ich do swojego projektu.

Skąd UE weźmie dodatkowe pieniądze

Szefowie państw mają się spotkać w Brukseli 1 lutego na nadzwyczajnym szczycie. Jego cel: znaleźć porozumienie w sprawie pakietu pomocy dla Ukrainy w wysokości 50 mld euro, który na razie został zablokowany przez premiera Węgier Viktora Orbána, oraz zwiększyć budżet operacyjny UE.

„Biorąc pod uwagę niechęć państw członkowskich UE do szukania pieniędzy na sfinansowanie nowych priorytetów budżetowych, trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób inicjatywa Bretona może się stać rzeczywistością przed uruchomieniem kolejnego budżetu UE, którego wydawanie rozpocznie się w 2028 r.” – zastrzega Michael Gahler.

Francuski komisarz znany jest w Brukseli z regularnego zabiegania o nowe fundusze. Odnosił duży sukces, gdy połączył siły z Emmanuelem Macronem, a następnie Angelą Merkel, aby zebrać 750 mld euro na pakiet naprawczy po pandemii COVID-19. Znacznie mniej szczęścia miał w zeszłym roku, kiedy wezwał do utworzenia funduszu suwerenności w celu sfinansowania europejskiej polityki przemysłowej zagrożonej przez Chiny i Stany Zjednoczone. Góra urodziła mysz: fundusz STEP (Strategic Technologies for Europe Platform), początkowo wyposażony w 10 mld euro – co już było dalekie od pierwotnych ambicji – został właśnie zredukowany do 1,5 mld euro przez przewodniczącego Rady Europejskiej Charlesa Michela w nadziei na osiągnięcie kompromisu na szczycie 1 lutego.

„To normalne, że jak tylko przedstawiamy jakiś pomysł, zawsze na początku słyszemy »nie«” – mówi niezarażony Thierry Breton. „Europa jednak oznacza przede wszystkim posiadanie ambicji i planów, po których uzgodnieniu możemy zacząć działać i znaleźć finansowanie. Jeśli natomiast najpierw czekamy na finansowanie, w efekcie po prostu nie robimy nic, a na to nie możemy sobie teraz pozwolić” – przekonuje. ●



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

Adam Michnik poleca **Mit złotych lat 70.**

MÓWI GIEREK DO SWEJ STASI

„Wyrzekłam się nawet herbaty po 2 zł, bo muszę oszczędnie żyć, a pożyczać już nie chcę”. Oto legendarna PRL-owska dekada.

Zbigniew Mentzel*

Książka Marcina Zaremby „Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności” opowiada o Polsce lat 70. XX w. – dekadzie rządów Edwarda Gierka.

Pod koniec roku 1970, kiedy Gierek piął się na szczyty władzy, jego okryty niesławą poprzednik opadał w polityczny niebyt. Władysław Gomułka był grabarzem nadziei na porcję wolności i demokracji, tych wielkich nadziei, które – także dzięki niemu – przeczekały Polaków 14 lat wcześniej, w październiku 1956 r.

Obiecywanych wtedy i niecierpliwie oczekiwanych zmian w polityce rządzącej partii Gomułka nie dokonał. Za czasu jego dyktatury Polska z roku na rok coraz głębiej pogrążała się w marazmie. Prawdy o postępującej pauperyzacji materialnej i duchowej, o braku perspektyw na przyszłość nie dawało się ukryć.

Ale dużo czasu musiało jeszcze minąć, zanim w odpowiedzi na podwyżki cen żywności robotnicy powiedzieli Gomułce „dość!”. Na Wybrzeżu strzelano do nich. Ciała zabitych ukrywano. Tow. Wiesław żegnał się z władzą, mając krew na rękach.

Nowy, młodszy I sekretarz mógł się z początku cieszyć dużym społecznym poparciem. Zaufano mu. On także obiecywał zmiany – dobre zmiany. Polska będzie rosnąć w siłę. Ludzie będą żyli dostatnio. Że obietnice te są na wyrost i Gierek ich nie dotrzyma, zrozumiano w połowie dekady, kiedy widmo gospodarczej klęski już krążyło nad krajem.

W czerwcu 1976 r., po zapowiedzi podwyżek cen, ludzie wyszli na ulice. Bito ich. Wyrzucano z pracy. Tych, którzy odważyli się przyjąć im z pomocą, różnymi metodami prześladowano. Nieszczęsna dekada. Czas, o którym chcielibyśmy zapomnieć. Ale pamiętamy dobrze i dlatego dręczy nas pytanie: skąd się w wolnej Polsce wzięła nostalgia za Gierkiem?

Ten „komunistyczny, ale patriota” (jak go nazwał Jarosław Kaczyński) często wspominany bywa z sympatią i współczuciem. Niedawno powstał o nim zakłamanym, niemal hagiograficzny film fabularny. Co roku w dniu Wszystkich Świętych słyszymy, że na cmentarzu katolickim w Sosnowcu wokół grobu Gierka pali się największy zniczy.

Marcin Zaremba, rocznik 1966, profesor w Instytucie Historii UW, pisze książki, które mają wymiar ponadakademicki. „Wielkie rozczarowanie” – tak samo jak wcześniejsza, z uznaniem przyjęta „Wielka trwoga. Polska 1944-1947” – to zarazem dzieło naukowo rzetelne

i poruszająca lektura dla... Nie, nie dla wszystkich, oczywiście, ale dla tych, którzy rozumieją, że każdy z nas historię współtworzy i ponosi za to odpowiedzialność.

Opisaną wszechstronnie „epokę edwardiańską” Zaremba przedstawia w sposób, na ile to tylko możliwe, obiektywny. Jednak w książce znalazło się też miejsce dla osobistych wspomnień autora i fragmentów dziennika jego matki.

W połowie dekady 10-letniego Marcina zaniepokoiło, że ze sklepów zniknęła czekolada, którą wcześniej matka kupowała mu bez trudu, tak jak niedostępne za Gomułki cytrusy. Gdzie się podziały czekolada, którą lubi najbardziej – mleczna, na-



Nieuk, półanalfabeta wyniesiony został przez rządzącą partię na najwyższe stanowisko, by 40-milionowy kraj wyprowadzić z głębokiego kryzysu. Czy w ogóle miał do tego kwalifikacje?

dziewana migdałami – chłopiec nie potrafił sobie wytłumaczyć.

Trauma wywołana odstawieniem ulubionych słodczy, notuje półzartem Zaremba, może pomóc w zrozumieniu przełomowych momentów historii. „Jedno z powiedzonek, które pamiętam z czasów dzieciństwa – »Kto daje i zabiera, ten się w piekle poniewiera, a po śmierci kijem wierci i kapustę zbiera« – jest bodaj najprostszym wytłumaczeniem genezy większości buntów i rewolucji”.

Ludziom, którzy w PRL-u przeżyli długie lata (to również mój przypadek) i niejedną już pracę o „epoce edwar-

diańskiej” czytali, mogłoby się wydawać, że lektura „Wielkiego rozczarowania” nie będzie dla nich poznawczym szokiem. A jednak obraz polskiego życia, jaki Zaremba przedstawia, jest tak straszny i śmieszny, że chociaż do bólu prawdziwy, rodzi niedowierzanie, zdumiewa, szokuje.

„Czy nie było to także TWOJE życie? Co zrobiłeś, aby je zmienić?” – zdaje się pytać historyk. Nie lubimy takich pytań. Pokrywamy je milczeniem. Nie chcemy mówić prawdy ani myśleć, jaka ona jest. Wymaga to przecież rozważenia naszych zasad moralnych, wyborów życiowych, błędów, obojętności. „Wielkie rozczarowanie” to lektura bolesna, którą z trudem przychodzi odchorować.

Dla wiarygodności książki Zaremby kluczowe znaczenie ma wybór materiału źródłowego. Tylko niewielki jego procent to świadectwa, które powstały w elitarnym kręgu osób ze „środowisk kulturalnych”, zwłaszcza wśród pisarzy źle przez władzę widzianych. Owszem, historyk cytuje nieraz ich wspomnienia czy dzienniki (najchętniej Mariana Brandysa i Kisiela), ale znacznie bardziej zdaje się go ciekawić to, co było „widziane z dołu” – na najniższych szczeblach grup społecznych i zawodowych.

Listy, skargi, prośby o pomoc często pisane przez ludzi chaotycznie i niezdarnie, porażają autentycznością. Ta prywatna korespondencja, kontrolowana przez armię czynowników z MSW, dostępna jest w archiwach, które Zaremba od lat pracowicie przeszukuje. Czytamy fragmenty tej korespondencji z gryzącym wstydem za politykę rządzącej partii, za państwo, w którym polscy obywatele sprowadzeni zostali do poziomu pariasów.

„Od 6.00 do 14.00 praca w kasie biletowej. Dzieci miały mi przynieść do pracy chleba ze smalcem, bo wczoraj wróciłam z niej o 22.00, to już nie było chleba. W barze u nas nie mam zamiaru tracić 10 zł na samo śniadanie. Wyrzekłam się nawet herbaty z baru po 2 zł, bo wiem, że muszę oszczędnie żyć (...). Chyba oszaleję, ale pożyczać już nie chcę, bo będzie tak w kółko. (...) Przyszłam do domu po 14.00 głodna, bez śniadania. Bogdan i Marek też nic nie jedli”.

„Jestem robotnikiem dużej warszawskiej fabryki, po wyjściu z pracy nie mogę dosłownie nic kupić do jedzenia. Można dzień, dwa jeść słone paluszki, mrożone pyzy itp. Ale ja jak i tysiące moich towarzyszy ciężko pracuję i muszę raz dziennie zjeść kawałek mięsa, trochę kielbasy, aby mieć siłę do pracy”.

„Kazimiera, jeżeli możesz, przyslij mi kawałek jakiegoś ochłapa na B. Narodzenie, tylko nie kielbasę, bo wywają ją i zabiorą. Co się u nas dzieje z tym życiem teraz przechodzi ludzkie pojęcie, chyba że u Was tak samo, bo przecież jeden kraj, a w tym kraju... Boże, ulituj się”.

Taka apostrofa do Pana Boga powtarza się w listach równie często co retoryczne pytanie: „Czy to się naprawdę dzieje u nas trzydzieści lat po wojnie?”.

A przecież mimo wszystko dekada Gierka była z powojennych najlepsza. Jak zauważa Zaremba, następowало wtedy ostrożne otwarcie na Zachód (z początku otwarcie granicy z NRD), budowano więcej mieszkań, mechanizowano wieś, „wzrosła dostępność dóbr, a ludzie nie czuli już paraliżującego strachu, choć lęk [przed użyciem przez reżim przemo- cy], pamiętany zwłaszcza przez starszych, osłabiał skłonność do zachowań nonkonformistycznych”.

Świadomość społeczna się zmieniała. Rządzącym coraz trudniej było robić rządzoną wodę z mózgu. Propaganda sukcesu w „Dzienniku Telewizyjnym” budziła politowanie, tak jak patriotyczne frazesy maskujące szowinizm, wrogość do obcych (zwłaszcza Niemców z RFN) i narodową megalomanię.

W drugiej połowie dekady Polacy czuli się upokorzeni nie tylko brakiem „ochła-

pów”, kielbasy i kaszanki. Z „góry” ciągle słyszeli to samo: mimo przejściowych trudności musimy pracować. „Praca”, „wracajmy do pracy” – powtarzano te slogany niczym rytualne zaklęcia.

Na coraz częściej powtarzające się „przerwy w pracy” – czyli po prostu strajki – rządzący reagowali z obłudnym zdumieniem. „Dlaczego nie chcecie pracować, skoro tylko praca zapewni wam lepsze jutro?” Może naprawdę nie przychodziło im na myśl, że odmawiając pracy, ludzie paradoksalnie żądali PRAWA DO PRACY, ale tylko takiej, która dawałaby im poczucie, że pracują dla siebie i własnego narodu; pracy mającej sens, dobrze zorganizowanej i celowej, której owoców nie marnotrawi biurokratyczna niekompetencja ani nie są one przeznaczane na opłacanie aparatu przemocy albo oddawane za bezcen „Ruskim”.

Spśród wielu postępów moralnie obrzydliwych, które obciążają konto Gierka, jeden, wcale niebłahy, został mniej pamiętany. Aby społeczeństwo, upokorzone pracą niedającą poczucia godnego życia, nakłonić do pracy bardziej „wydajnej”, Gierek postanowił wykorzystać autorytet Tadeusza Kotarbińskiego.

90-letni, złożony niemocą filozof, najwyraźniej nieświadomy, jaką rolę przychodzi mu odegrać, stanął obok Gierka przed kamerami TV i drżącym głosem powiedział parę zdań. Zaremba nie opisał w książce tej sceny, a szkoda, bo tak jest pełna fałszu i obłudy, że można ją uznać za meritum gierkowszczyzny.

Przeżyłem w PRL-u długie lata. A jednak obraz polskiego życia, jaki Zaremba przedstawia, jest tak straszny i śmieszny, że chociaż do bólu prawdziwy, rodzi niedowierzanie. Zdumiewa i szokuje

Czy jednak Kotarbiński – takie głosy dają się ostatnio słyszeć – naprawdę miał wielki autorytet? Czy w PRL-u nie był zwykłym oportunistą? Czy jego wskazania, jak żyć i pracować godnie, mogły do Polaków trafić, skoro były tak ogólne, że nie miały związku z trudną do zniesienia rzeczywistością?

Kiedy w maju 1968 r., tuż po wydarzeniach marcowych, rozumny czytelnik pochylał się nad dwutygodnikiem „Student” z artykułem Kotarbińskiego „na temat prawdy i na temat patriotyzmu”, doskonale wiedział, co ma autor na myśli, potępiając „patriotyzm nacjonalistyczny” oraz „zawężanie koncepcji narodu”, choć nie pisał otwarcie, bo z wiadomych powodów pisać tak nie mógł, o łobuzach i nieudacznikach z PZPR-u, którzy rwąc się do władzy, pod hasłami „rewolucji narodowej” wywołali histerię antysemicką i antyinteligencją.

Zdaniem Marcina Zaremby dla społecznej samoobrony przed reżimem Gierka niemalże znaczenie miało poczucie humoru Polaków. Z jego książki wyłania się zarys antologii dowcipu politycznego w PRL-u. Często korzystał z rubryki „Humor krajowy”, którą Zofia Hertz prowadziła latami w paryskiej „Kulturze”, zaglądał do „Humoru zeszytów szkolnych” w „Przekroju”, czytywał donosy, kto, gdzie i kiedy I sekretarza wyśmiewał.

„Jaka jest różnica między Gomulką a Gierkiem?” – zgadywali Polacy. „Nie ma żadnej, tylko Gierek o tym nie wie”, „Dlaczego w Polsce nie ma masła? Bo Gierek nie rozmawiał z krowami”, „Do czego można porównać PRL? Najlepiej do papieru to-

aletowego – rozwija się, rozwija i ciągle jest do d...”.

Pod koniec dekady powstała parodia hymnu „Jeszcze Polska...”, „kwintesencja – jak uważa Zaremba – ówczesnych opinii i nawarstwiających się emocji: zawiedzionych nadziei, gniewu i złości na rządzących, wreszcie – zapowiedzi buntu”:

„Jeszcze Polska nie zginęła, bo jeszcze żyjemy,/ Ale w takim dobrobycie niedługo zginiemy./ Marsz, marsz, Polacy, bez żarcia do pracy,/ Pod Partii przewodem rząd nas morzy głodem. (...)

Mówi Gierek do swej Stasi drżący i ponury,/ Sluchaj, żono, ponoć chcą nam dobrać się do skóry./ Naród musi poznać prawdę, jak wygląda ona,/ W tym ustroju i stu Gierków cudów nie dokona. (...)

Gdy się trochę zastanowisz, sam przyznasz po chwili,/ Nie o taką wolną Polskę ojcowie się bili./ Gdzie ta druga Polska nasza, gdzie dostatnie życie?/ Jak się naród oszukuje, sami to widzieć”.

Czy poczucie humoru było w PRL-u skuteczną bronią bezbronną? Czy śmiech z „dobrobytu, w którym niedługo zginiemy”, mógł pokrzepić serca, podnieść na duchu?

Śmiech z kłamliwej polityki władz, śmiech plebejski, szczery, nieraz prymitywny, jest objawem zdrowia – znakiem, że społeczny organizm, nawet ciężko kłamstwami zatruty, nie przestaje się bronić. Ale znamy także śmiech innego rodzaju; śmiech, który bywa symptomem choroby (tego rozróżnienia w książce Zaremby mi zabrakło). To śmiech na pozór bardziej wyrafinowany, pełen zimnej ironii, cyniczny.

W „epoce edwardiańskiej” znałem wielu ludzi wykształconych i bardzo inteligentnych, dla których ironia stała się jedyną formą życia duchowego godną aprobaty. Ironizowali na temat wszystkiego i wszystkich. Życie w Polsce, za które nie czuli się odpowiedzialni, było dla nich ponurą groteską.

„Najważniejszy cel śmiechu, święty powód jego istnienia – pogrzebać podłość” – zanotował po powrocie z Pragi czeskiej amerykański pisarz Philip Roth. Nasi ironiści takiego celu sobie nie stawiali. Ich śmiech nie był optymistyczny, wyzwalający; był wyrazem głębokiego pesymizmu i kapitulacją przed podłością.

W 1976 r. wpadł mi szczęśliwie w ręce przemycony do kraju numer paryskiej „Kultury” z artykułem Leszka Kołakowskiego „Sprawa polska”. Kołakowski pisał, że najsukcesowniejszym sposobem zniszczenia narodu jest pozbawić go poczucia odpowiedzialności, „sprawić, aby uwierzył w to, że na skutek własnej bezsily (...) zmuszony jest żyć tak, jak mu inni każą”. Żyć odpowiedzialnie, w prawdzie, godnie to postanowić, że istnienie polskiej wspólnoty „rozstrzyga się w każdej chwili za sprawą wszystkich Polaków w Polsce żyjących”.

Nie jest to próżny slogan oderwany od rzeczywistości. „Każdy wie, każdy bez wyjątku, jak wielki jest nacisk, który ma go godności pozbawić. (...) Mało jest tych, co w dobrej wierze ośmielią się powiedzieć, że godności w żadnych warunkach nie utracili, że za cenę jej ocalenia oparli się wszystkim drobnym i dużym lękom, drobnym i dużym oczekiwaniom”. I dalej: „Można, oczywiście, utracić godność, nie tracąc rozumu, a z rozumem – zdolności do ironii; można więc umrzeć bez godności w konwulsjach bezsilnego śmiechu. Żyć w godności natomiast nie jest sprawą śmieszną ani niekłopotliwą”.

Tych słów nigdy nie chciałbym zapomnieć.

Początkiem rewolucji „Solidarności” były w 1980 r. sierpniowe strajki na Wybrzeżu rozpoczęte w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Dlaczego Polacy zbuntowali się akurat tamtego lata? Skąd ten wybuch?

Zaremba podejrzewa, że dyskusja na ten temat nigdy się nie skończy. Ma rację. Na genezę rewolucjiłożyło się zbyt wiele różnorodnych czynników, aby bez waha-



• I sekretarz KC PZPR Edward Gierek podczas uroczystego otwarcia Huty Katowice w Dąbrowie Górniczej, 14.12.1976 r. Z tyłu z lewej radziecki premier Aleksiej Kosygin.

FOT. INPLUS/EAST NEWS

nia wskazać jeden decydujący. W poszukiwaniu przyczyn doniosłych wydarzeń, które odmieniły oblicze Polski, a z czasem całej Europy Środkowej, historyk „schodzi w głąb ku coraz starszym warstwom narodowej pamięci”.

Znaczenie dla genezy rewolucji „Solidarności” miały jego zdaniem polskie tradycje insurekcyjne, pamięć o wcześniejszych buntach w PRL-u (Październik ’56, Grudzień ’70) i nabyte wtedy doświadczenia, kryzys ekonomiczny, nad którym partia nie potrafiła zapanować, dewaluacja złotego, nawiązanie dialogu Kościoła z lewicą laicką, potwierdzone i w dużej mierze inspirowane głośną książką Adama Michnika, wybitne dzieła literackie i filmowe, takie jak „Człowiek z marmuru” Wajdy czy „Pan Cogito” Herberta, a wreszcie – wydarzenie epokowe – wybór Karola Wojtyły na papieża i jego pielgrzymka do kraju w 1979 r.

Autor „Wielkiego rozczarowania” nie ma wątpliwości, że strajki na Wybrzeżu nie przekształciłyby się w rewolucję, gdyby we wrześniu 1976 r. nie powstał KOR, którego członkowie swoim jawnym działaniem przełamali barierę strachu i znieśli partyjny monopol na prawdę.

Zaremba nie zdecydował się na zamieszczenie w książce osobnego rozdziału o polskiej opozycji demokratycznej lat 70., wychodząc z założenia, że historia KOR-u jest już spisana zarówno przez jego założycieli, jak badaczy. To prawda, a jednak żałuję, że takiego rozdziału w książce nie ma.

Chciałbym w nim przeczytać m.in. o poczuciu wyobcowania ze społeczeństwa, jakie miało wielu opozycjonistów, zarówno zanim w 1976 r. zdecydowali się na działalność jawną, jak i później, w ostatnich latach dekady Gierka, kiedy wielu (jak wielu?) intelektualistów polskich ciągle jeszcze za pomocą pokrętnych argumentów próbowało dowiedzieć, że Kuroń, Michnik et consortes to ludzie nieodpowiedzialni, zagrożający naszym interesom narodowym.

Czy masowy ruch protestu, który zrodził „Solidarność”, rzeczywiście był rewolucyjny? Tak, odpowiada bez wahania Zaremba i w poglądzie tym nie jest odosobniony. Niektórzy uważają nawet, że sierpniowe wydarzenia były pierwszą w dziejach rewolucją robotniczą, bo kluczowe znaczenie miał w nich konflikt robotnicy – właściciele (w tym wypadku rządząca partia i jej biurokratyczny aparat).

Oczywiście Zaremba doskonale zdaje sobie sprawę, że ruch ten miał także cechy odróżniające go od historycznych wstrząsów, które zwykle traktowano jako rewolucyjne. Nie był krwawy, nie korzystał z plutonów egzekucyjnych, co – jak twierdził Lenin – pozbawia rewolucję sensu; narzucił sam sobie ograniczenia i nie zmienił istniejącego w Polsce porządku – nastąpiło to dopiero po upływie kolejnej dekady.

Historyk nie wybiega naprzód tak daleko. Zatrzymuje swoją opowieść w roku 1980 pod bramą Stoczni Gdańskiej. Ale czytelnicy tej opowieści A.D. 2023 mogą – każdy po swojemu – pisać jej kolejne rozdziały.

Mój ciąg dalszy „Wielkiego rozczarowania” opowiadałby o wielkim wstydzie.

Rekonstruuje genealogię duchową „Solidarności”, należy, jak sądzę, wziąć w rachubę trudne do opisanego zjawisko społeczno-psychologiczne, jakim jest kompleks wstydu dręczący świadomość, czy raczej podświadomość, zbiorową. Duży kompleks moralny wymagający odreagowania.

W książce Zaremby mowa jest o wstydzie z jednej okazji. Krótka, znakomity rozdział „Atakować wstydem” autor poświęcił „koszmarnym parteitagom”, jak Jarosław Iwaszkiewicz nazwał w swoich „Dziennikach” wiece potępiające „warcholów” – ludzi, którzy w czerwcu 1976 r. zastrajkowali w swoich zakładach pracy i protestowali na ulicach przeciw zapowiedzianym podwyżkom cen.

Za drastyczne pogorszenie warunków życia w Polsce wstydzić się mieli rządzeni, nie rządzeni. I właśnie rządzeni z lęku np. przed utratą pracy nie bez wstydu przecież

szli na wiece, niosąc tablice z napisem: „Jesteśmy z Wami, tow. Gierek”. Na jednym z owych parteitagów poeta Stanisław Ryśszard Dobrowolski wykrzyczał, że wstyd mu za „warcholów” jako Polakowi. Postępował zgodnie z instrukcją „ubojowania naszej partii”, jaką I sekretarz wydał podczas telekonferencji z sekretarzami komitetów wojewódzkich:

„Co się tyczy zakładów, które strajkowały (...), trzeba załodzić tych czterdziestu paru zakładów powiedzieć, jak my ich nienawidzimy, jacy to są lajdacy, jak oni swoim postępowaniem szkodą krajowi. Uważam, że im więcej słów bluźnierstwa pod ich ad-

Ten, kto dzisiaj utrzymuje, że Gierek był politykiem, który chciał Polskę prowadzić ku lepszej przyszłości, jest człowiekiem albo bezmyślnym, albo bezwstydnym

resem – nawet jeśli zażądacie wyrzucenia z zakładu elementów nieodpowiedzialnych – tym lepiej dla sprawy”.

I jeszcze: „Trzeba stworzyć atmosferę potępienia dla tych zakładów, to musi być atmosfera pokazywania na nich jak na czarne owce, jak na ludzi, którzy powinni się wstydzić, że w ogóle są Polakami, że w ogóle na świecie chodzą”.

Podczas największego wiecu na Stadionie Dziesięciolecia wystąpił I sekretarz komitetu zakładowego papierni w Jeziornie. Trzęsąc się ze zdenerwowania, zamiast: „W tych ostatnich dniach, Towarzyszu Gierek, Towarzyszu Jaroszewicz, byliśmy z wami”, powiedział: „Towarzyszu Gierek, Towarzyszu Jaroszewicz, to wasze ostatnie dni”. Pomylił się o cztery lata.

Rozdział „Atakować wstydem” – jak zresztą cała książka Zaremby – powinien za wstydzić każdego, kto wygłasza dzisiaj pochwałę Gierka jako patrioty, dobrego gospodarza, polityka z charyzmą, prawdziwego męża stanu. O jakim patriotcie, o jakiej charyzmie, o jakim mężu stanu tu mowa?

Rozumiem, że wysoki, postawny mężczyzna w dobrym garniturze może się niektórym z mężem stanu kojarzyć... Ale jaką politykę chciałby i potrafi prowadzić, Gierek, twarogłowy aparatczyk ze Śląska, dowiódł w marcu 1968 r. Informując zaufanych towarzyszy, że milicja zatrzymała warszawskich studentów, którzy pojechali do Katowic „mając spokojną śląską wodę”, zapowiedział, że ich protektorom – „różnym pogrobowcom starego ustroju, rewizjonistom, syjonistom, sługusom imperiaлизmu” – „śląska woda pogruchocze kości”.

Nieuk, półanalfabeta, jeden z typowych komunistycznych „ciemniaków”, by posłużyć się terminem Kisiele, wyniesiony został przez rządzącą partię na najwyższe stanowisko, by 40-milionowy kraj wyprowadzić z głębokiego kryzysu. Jakże miał do tego kwalifikacje?

Charakter, zdolności, klasę przywódcy poznaje się w obliczu wydarzeń, które wymagają przemyślanej reakcji. Dla rządzonego przez komunistów państwa o charakterze antyreligijnym takim wydarzeniem była pielgrzymka do kraju Jana Pawła II.

Partia przez długie lata utrudniała Kościołowi życie na wiele sposobów. Prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego, jako rzekomo bardziej w dekadzie Gierka ugodowego, przeciwstawiała Wojtyłę, zapowiadając, że wykorzysta wszelkie możliwo-

ści, by ten „awanturnik-intelektualista” na wysokim fotelu nie zasiadł (Zaremba przypomina słowa Stanisława Kani).

Niespełna miesiąc przed wyborem Wojtyły na papieża Gierek podczas spotkania z pierwszymi sekretarzami KW i kierownikami wydziałów KC PZPR przedstawił strategię partii z Kościołem:

„Widzicie, ja was nie namawiam do awanturnictwa (...). Natomiast nikt wam nie odradzał, żeby jeśli macie argumenty obciążające biskupa, żeby nie waszymi ustami, ale ustami innych towarzyszy mówić o tym, jaki to ten biskup jest, niech się rozchodzi (...). Towarzysze, wy – przepra-

Gierek chętnie powoływał się na bliski mu etos górniczy. Etos ten polega na solidarności z ludźmi ciężkiej pracy i przychodzeniu im z pomocą, kiedy tylko jej potrzebują. Zaremba pokazał w swojej książce, jak po zdobyciu władzy Gierek etos ten, przeniesiony z górniczego na wszystkie stany, zamienił w pośmiewisko.

Nie inaczej Kaczyński. Także on sprzeniewierzył się ideom i wartościom, którym chciał być wierny. Ideom rodem z PPS-u i AK, wartościom bohaterów powstania warszawskiego.

„Milcz, chamie!” – powiedziała jedna z ostatnich żyjących żołnerek powstania do prawicowego bojówkarza, który zagłuszał jej wystąpienie. Na podobne skandale Kaczyński nie reagował, nigdy nie powiedział o nich słowa prawdy, choć mógłby, bo w słowach nie przebiega. Prawicowych bojówkarzy jego partia hojnie wynagradza. W walce politycznej mogą być użyteczni.

Dzień 15 października roku 2023, dzień wyborów parlamentarnych, które pozwoliły wreszcie odebrać Kaczyńskiemu władzę – obok daty powstania KOR-u w roku 1976, narodzin „Solidarności” w 1980 i pierwszych po wojnie częściowo wolnych wyborów w roku 1989 – może być zapamiętany jako ten, w którym udręczeni „ogólną niemożnością” Polacy uwierzyli, że lepsza przyszłość zależy tylko od nich samych. Odchodząca władza nie wstydzi się swoich rządów. Wstyd, po staremu, zastępuje dumą, bezwstydną w całkowitym braku krytycyzmu.

Nie znam planów naukowych i pisarskich Marcina Zaremby, nie śmiałbym też cokolwiek mu sugerować. Nie potrafię jednak oprzeć się wrażeniu, że jednym z celów, które stawia sobie jako historyk, jest trylogia o powojennych losach Polski. Jeśli mam rację, po „Wielkiej trwodze” i „Wielkim rozczarowaniu” pora na „Wielki wstyd”. Najtrudniejsza to do napisania książka. I najbardziej potrzebna. ●



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Zbigniew Mentzel

• ur. w 1951 r., autor m.in. powieści „Wszystkie języki świata” (finał nagrody Nike) i biografii „Kotakowski. Czytanie świata”.

Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

Marcin Zaremba, **„Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności”**, Znak-Horyzont 2023. Książka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



Ten, kto dzisiaj utrzymuje, że Gierek był politykiem, który chciał Polskę prowadzić ku lepszej przyszłości, jest człowiekiem albo bezmyślnym, albo bezwstydnym.

Wspomniałem, że „komunistyczny, ale patriotyzm” Gierka chwalił Jarosław Kaczyński. Czy była to pochwała szczerą, czy tylko taktyczna, bo wygłoszona na Śląsku, gdzie prezes PiS-u zabiegał o głosy wyborców, nie jest ważne. Nie twierdzę, że za swoich rządów Zjednoczona Prawica stworzyła z Polski – PRL-bis. To byłby nonsens.

Jednak przy dziesiątkach różnic, jakie dzielą dekadę rządów Gierka od niepełnej dekady Kaczyńskiego, są też między nimi podobieństwa. Również sam Kaczyński pod PEWNYMI względami okazuje się politycznym i mentalnym spadkobiercą Edwarda Odnowiciela.

Krzysztof Pomian kończy 90 lat

Drobiazgi wielkiej historii

Najważniejsze swoje dzieło, monumentalną historię muzeów, napisał w ósmej i dziewiątej dekadzie życia.

Sergiusz Michalski

25 stycznia Krzysztof Pomian kończy 90 lat. Ten wielki historyk kultury i życia społeczno-politycznego jest w tej chwili w dziedzinie nauk humanistycznych niewątpliwie najbardziej znanym na świecie polskim uczonym. Siłą rzeczy nasuwa się tu analogia do sławy i reputacji, jaką cieszył się w światowej nauce Zygmunt Bauman. Powszechny podziw budzi też niesłychana witalność Pomiana – najważniejsze swoje dzieło, monumentalną historię muzeów, napisał w ósmej i dziewiątej dekadzie życia.

Urodził się przed 90 latami w Warszawie w rodzinie o korzeniach żydowskich związanej z ruchem komunistycznym. Wojnę przeżył na zesłaniu w ZSRR. W pierwszej połowie lat 50. studiował na Uniwersytecie Warszawskim. Nie doznał jednak skrajnego heglowskiego ukąszenia ideologicznego, zaś po 1956 roku przechodził stopniowo na pozycje opozycyjne. Był bodaj najmłodszym członkiem słynnej „warszawskiej szkoły historii idei” grupującej się wokół Tadeusza Krońskiego, Leszka Kołakowskiego i Bronisława Baczki. W 1966 roku wraz z Kołakowskim usunięto go z PZPR, a w dramatycznym 1968 musiał opuścić uniwersytet. Przez lata pracował w dziale rękopisów Biblioteki Narodowej. Niepozbowione problemów i zagrożeń lata warszawskie położyły jednak solidne podwaliny erudycyjne i metodologiczne pod późniejszą imponującą karierę naukową, jak również ukształtowały jego bardzo szerokie podejście do metod badawczych. Nie bez kozery Pomian uważa się za ucznia lewicowców Kołakowskiego i Baczki, ale też wybitnego katolickiego historyka filozofii chrześcijańskiej Stefana Świeżawskiego oraz wielkiego historyka Witolda Kuli.

W 1973 roku wyemigrował do Francji i tam rozpoczął się półwieczny, niesłychanie twórczy okres jego życia. Zaczynając od spraw polskich – to Krzysztof Pomian wraz z żoną Grażyną stali się jednymi z najważniejszych współpracowników Giedroycia i paryskiej „Kultury”. Ta współpraca trwała aż do śmierci księcia redaktora w 2000 roku i jej najpiękniejszym wytworem jest wspaniała „Autobiografia na cztery ręce”, wspólne dzieło Giedroycia i Pomiana; nasz uczony stworzył także ciekawy opis kręgu Giedroycia. Pomian jest również niezmiennie oddany sprawom nauki polskiej. Po zmianie ustroju wykładał przez osiem lat na toruńskim Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, został też członkiem Polskiej Akademii Umiejętności. We Francji z kolei został profesorem w Centre national de la recherche scientifique (CNRS), wykładał na słynnym paryskim EHESS-ie i na Uniwersytecie Genewskim. Jest też długoletnim dyrektorem tworzącego się Muzeum Europy w Brukseli.

Krzysztof Pomian zajmował się klasyczną humanistyką, zastanawiał się nad narodami tworzącymi Europę, nad pojęciem tradycji, stworzył również wspaniały przegląd kultury i życia społecznego czasu oświecenia. Jednak głównym polem badań stała się dlań w okresie francuskim historia przedmiotów, historia kolekcjonerstwa dzieł sztuki, a wreszcie historia

muzeów. W jedyny w swoim rodzaju sposób zdołał ukazać długie życie dzieł sztuki, zmienność gustów artystycznych i kolekcjonerskich, wreszcie teoretyczne i funkcjonalne podstawy muzeów. Dla określenia specyficznego nośnika znaczenia, jakim staje się przedmiot po przejściu progu muzealizacji, stworzył pojęcie semioforu, szeroko przyjęte w nauce światowej.

Na pewno zawdzięczał wiele wpływom francuskich historyków, a także socjologów, lecz specyfiką pisarstwa Pomiana jest niesłychane wyczulenie na koloryt i tzw. drobiazg historyczny oraz umiejętność winkrustowania tychże w metodycznie uporządkowany dyskurs. Polskiemu pochodzeniu zawdzięcza niewątpliwie wycucie częstej paradoksalności



FOT. MIECZYSLAW MICHALAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

życia ludzkiego i życia przedmiotów, czyli takiej paradoksalności, która umykała niekiedy narzędziom poznawczym francuskich strukturalistów czy też historyków ze wspaniałej szkoły „Annales”. Last but not least Pomian jest znawcą anegdot z życia nauki, którymi potrafi okraszyć wielce uczzone dyskursy.

Ukoronowaniem pracy naukowej Krzysztofa Pomiana jest wydana w ostatnich latach przez francuskie wydawnictwo Gallimard trzypięciotomowa historia muzeów, doprowadzona do współczesności. Skupia ona niczym w soczewce wszystkie zalety pisarstwa Pomiana – precyzyjne kryteria metodyczne, niesłychanie szeroką znajomość historii kultury, znakomicie wybrane egzemplifikacje, ale także posługiwanie się malowniczym detalem historycznym. Jest to niewątpliwie najwybitniejsza światowa historia muzeów i dzięki Pomianowi czytelnik na Zachodzie dowie się wiele o instytucjach muzealnych Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej.

Ukazały się już pierwsze dwa tomy w polskim tłumaczeniu. I może dzięki temu ulegnie zmianie cokolwiek paradoksalna sytuacja, w której ten wielki uczony o wielkich zasługach dla Polski jest znany bardziej w nauce światowej niż w kręgach szerokiej inteligencji humanistycznej nad Wisłą.

Ad multos annos! ●

Wiersz za:
„Od Kochanowskiego do Szymborskiej... Antologia poezji polskiej”, wybór Marek Wawrzkiewicz przy współpracy Krzysztofa Gąsiorowskiego, Książka i Wiedza, Warszawa 1999

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jan Kochanowski

Pieśni, Księgi wtóre, Pieśń V

Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda, Polaku! Ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprosny,
Nad Niestrem siedząc, dzieli łup żalosny!

Niewierny Turczyn psy zapuścił swoje,
Którzy zagnali piękne łanie twoje
Z dziećmi po społu, a nie masz nadzieje,
By kiedy miały nawiedzić swe knieje.

Jedny za Dunaj Turkom zaprzędano,
Drugie do hordy dalekiej zagnano;
Córy szlacheckie (żał się mocny Boże!)
Psom bisurmańskim brzydkie ścielą łóże.

Zbójce (niestety), zbójce nas wojują,
Którzy ani miast, ani wsi budują;
Pod kotarzami tylko w polach siedzą,
A nas nierządne, ach, nierządne, jedzą!

Tak odbieżale stado więc drapają
Rozbójce wilcy, gdy po woli mają,
Że ani pasterz nad owcami chodzi,
Ani ostrożnych psów za sobą wodzi.

Jakiego serca Turkowi dodamy,
Jesli tak lekkim ludziom nie zdołamy?
Ledwieć nam i tak króla nie podawa;
Kto się przypatrzy, mała nie dostawa.

Zetrzy sen z oczu, a czuj w czas o sobie,
Cny Lachu! Kto wie, jemu czyli tobie
Szczęście chce służyć? A dokąd wyroku
Mars nie uczyni, nie ustępuj kroku!

A teraz k'temu obróć myśli swoje
Jakobyć szkody nieprzyjaciel twoje
Krwią swą nagrodził i omył tę zmazę,
Którą dziś niesiesz prze swej ziemię skazę.

Wsiadamy? Czy nas półmiski trzymają?
Biedne półmiski, czego te czekają?
To pan, i jadać na srebrze godniejszy,
Komu żelazny Mars będzie chętniejszy.

Skujmy talerze na talery, skujmy,
A żołnierzowi pieniądze gotujmy!
Inszy to darmo po drogach miotali,
A my nie damy, bychmy w cale trwali?

Dajmy; a naprzód dajmy! Sami siebie
Ku gwałtowniejszej chowajmy potrzebie.
Tarczej niż piersi pierwszej nastawiają,
Pozno puklerza przebici macają.

Ciesz się ten rym: „Polak mądr po szkodzie”:
Lecz jesli prawda i z tego nas zbodzie,
Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi.

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



Z **TOMASZEM WIŚLICZEM**, HISTORYKIEM Z PAN I WSPÓŁAUTOREM WYDANEJ WŁAŚNIE „LUDOWEJ HISTORII KOBIET”, ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

– Nie wiem, czy jestem najlepszym dla pana rozmówcą. Trochę wbrew tytułowi książki nie piszę historii ludowej.

Dlaczego?

– Bo nie jestem ludem.

To lud ma sam sobie ją napisać?

– Wszystko zależy od tego, co rozumiemy pod pojęciem historii ludowej. Są różne jej modele. Niektóre są importami. Bardzo sobie cenię to, co robi Przemysław Wielgosz, redagując serię „Ludowa historia Polski”, w której ramach wyszły m.in. „Bękarty pańszczyzny” Michała Rauszera i książka, w której piszę o Kuśnierczance. Ale to wciąż jest aktywność raczej o charakterze popularyzatorsko-politycznym niż historycznym.

Ale bierze pan w niej udział.

– Uważam, że to są rzeczy moralnie dobre, ale nie tracę z oczu tego, że ludowa historia się skomercjalizowała. Najwięcej ubawu miałem, gdy się do niej zabrał Kamil Janicki, autor, który pisze książki na każdy aktualnie modny temat związany z historią.

Janicki pisał już m.in. o Słowianach, seksualności w międzywojniu, a niedawno wydał „Pańszczyznę”.

– Zapowiedział tę książkę zaraz po tym, jak Adam Leszczyński wydał „Ludową historię Polski”. To, co wytworzyło się w Polsce jako „historia ludowa”, jest w dużej mierze opowieścią stworzoną pod potrzeby rynku książki. To nurt komercyjny, trochę komercyjno-polityczny. Zarówno u Leszczyńskiego, jak i w „Chamstwie” Kacpra Pobłockiego czy w książkach Michała Rauszera można znaleźć wyraźne nawiązania polityczne. To jest historia skierowana do wyższej klasy średniej, która chce się wyegzorcyzmować ze swojej wyższości. Pobłocki w wywiadach przyznaje, że musi się wyłeczyć ze szlacheckiej przeszłości swojej rodziny.

Opowiadał na przykład o przemocy, którą jego dziadek przeniósł na własną rodzinę, gdy zabrakło chłopów.

– Dlatego wydaje mi się, że moja interpretacja jest słuszna. Ale pamiętajmy, że porównywanie swojej korpo do folwarku za grosz nie zmienia struktury społecznej.

Jest możliwość innej historii?

– Wszystko zależy od definicji, od tego, kogo nazwiemy ludem. Nie róbmy teraz tego. Przyjrzyjmy się czemuś innemu. Jeszcze w latach 50. XX wieku w Wielkiej Brytanii zastanawiano się nad tym, czym jest ludowa opowieść na temat historii. W założeniu miała ona być przeciwieństwem tego, czego uczymy się w szkole. Miała być



EGZORCYZMY KLASY ŚREDNIEJ

Pamiętajmy, że porównywanie swojej korpo do folwarku za grosz nie zmienia struktury społecznej.

opowieścią konstruowaną na podstawie doświadczenia przekazywanego z pokolenia na pokolenie. Ale w ostatnim stuleciu doświadczenia pokoleń przestały do siebie przystawać – zmiany są zbyt szybkie.

Weźmy pamięć chłopską. Dzisiaj chłopów praktycznie już nie ma. Na wsiach mieszkają ludzie, którzy obsługują zaawansowany technologicznie sprzęt, potrafią ubiegać się o dotacje, dopłaty, zarządzają firmami, mają też swoje lokalne elity. Fascynujące jest to, w jaki sposób te elity mówią i piszą na temat własnej przeszłości. W ostatnich latach zajmowały się na przykład „żołnierzami wyklętymi”. Rauszer twierdzi, że historia „żołnierzów wyklętych” jest antyludowa. Nie zgadzam się. Ona jest bardzo ludowa. Na wsi ludzie raczej nie znali członków Gwardii Ludowej, niewielu mia-

ło znajomych w Armii Krajowej. A wielu znało kogoś, kto był w lesie i w nim pozostał w 1945 roku. Pamięć o nich jest jak najbardziej pamięcią o ludowej historii.

Problem tkwi w tym, że współcześnie mamy do czynienia z profesjonalistami pamięci.

Temat „żołnierzów wyklętych” został upolityczniony, lecz jako jeden z niewielu poruszył lokalne społeczności. Zaczęto wyszukiwać i upamiętniać miejscowych „wyklętych”, nawet na Ziemiach Odzyskanych. W mieście, z którego pochodził, lokalnym bohaterem został Rajmund Niwiński, który po wojnie był prześladowany za członkostwo w AK. Dzisiaj ma pomnik, mural, a młodzież zna jego biografię, która rzeczywiście była niezwykła.

– I to jest ludowa historia. Historia „żołnierzów wyklętych” niestety została zaadaptowana na użytek polityki historycznej, w efekcie czego jest wyśmiewana i źle widziana w bańce intelektualnej. Nie dostrzegamy lokalnego ruchu naukowego, muzeów gminnych, regionalnych, tych wszystkich kulturotwórczych miejsc w całej Polsce, które opowiadają lokalną historię. Oczywiście większość z nich odwołuje się do curriculum ogólnonarodowego, lecz umieszczają w nim lokalne wydarzenia i bohaterów.

Kiedyś miałem spotkanie z nauczycielami głównie z gminnych szkół w bardzo „ludowym” rejonie Polski. Kiedy pojawił się temat chłopskiej historii, to wszyscy mówili o chłopach per oni. Zaproponowałem, byśmy mówili „my”, bo wszyscy właściwie pochodzimy z chłopstwa. Nie byli przekonani.

Wszystko zrozumiałe, kłopotów z tożsamościami mamy wszyscy sporo, ale co właściwie byłoby odpowiednie?

– Skomercjalizowana historia ludowa jest nam na pewno potrzebna. Widać, że jest na nią zapotrzebowanie. Jednak żeby ona była bardziej ludowa, żeby to był oddolny ruch, na to trzeba jeszcze czasu. I zmian w myśleniu o historii, które zajdą dopiero, gdy zmieni się program szkolny, który jest beznadziejny. Zakazałbym takiego sposobu nauczania historii. Doskonale to widać na przykładzie studentów pierwszego roku, którzy idą na historię z wyniesionym ze szkoły wyobrażeniem o tym, czym ona będzie. Na miejscu odkrywają, że jest czymś zupełnie odmiennym.

Czyli?

– Współczesna idea szkolnego nauczania historii powstała w XIX wie-

FOT. MNK / DOMENA PUBLICZNA



Włodzimierz Tetmajer,
„Zaloty”, 1894 rok

musi być dla niektórych pisania bajek.

– To nie jest bajka, ale narracja. Istnieje coś takiego jak historia „lesbjsko-gejowska” czy dzisiaj raczej „historia LGBT”. Jej głównym celem jest budowanie tożsamości grupy. Pisanie „homobiografii” to hasło polityczne, a nie sposób uprawiania historii. Poszukiwanie własnych korzeni przez grupę mniejszościową jest racjonalne, lecz to w dużej mierze sprowadza się do przeorganizowania znanych nam klocków w inną opowieść odpowiadającą naszym potrzebom. Tymczasem squerowanie historii trzeba zacząć od wystrugania ze źródeł zupełnie innej partii klocków, ze świadomością, że takie pojęcia jak „heteronorma”, „homoseksualność” itp. są także historycznie zmienne. To jest również szansa, żeby przywrócić historii osoby nienormatywne, ale nie pochodzące ze środowisk elitarnych.

Znamy bowiem raptem jeden nowożytny dokument, o którym możemy powiedzieć, że jego bohaterką jest osoba z ludu, którą współcześnie byśmy określili jako lesbijkę. Jeden dokument na kilkaset lat polskiej historii!

Co to za dokument?

– To wyrok sądu miejskiego z 1642 roku na Agnieszkę Kuśnierczankę, która została skazana za „zaloty męskie zmyślone”. Przebierała się za mężczyznę. I to jest pierwszy element queerowy. Wcale nie taki rzadki – kobiety chcące studiować na uniwersytecie czy służyć w wojsku często się przebierały. W przypadku Kuśnierczanki mamy sugestię, że mogło chodzić o seks z jakąś inną kobietą, ale nie jest to jednoznacznie zapisane. Najciekawsze w całej historii jest to, że Kuśnierczanka, chodząc ubrana „po męsku”, nosi warkocz. Zatem nikogo nie oszukuje. Nie chce oszukiwać, lecz grać z rolą płciową. Nie byłbym pewien, czy gdybyśmy ją przetransportowali do współczesności, to określiłaby się jako lesbijka.

Mamy jeden taki dokument i chociaż wierzę, że ktoś może znajdzie kolejne, to przede wszystkim liczę na uważność badawczą, zwracanie uwagi na queerowość tego, co już jest dostępne.

Czy nie jest tak, że o kobietach nieheteronormatywnych z czasów przednowoczesnych wiemy mniej, bo po prostu jest mniej dokumentów dotyczących kobiet w ogóle?

– Nie. Taki wniosek rzeczywiście można wyciągnąć, gdy bierze się pod uwagę dokumenty dotyczące życia politycznego. W nich kobiety są mniejszością, ale bardzo ciekawą. Na przykład jedna z moich bohaterek, Dorota Tarłowa, wdowa po hetmanie, niemal w ogóle nie pojawia się w dokumentach sądowych czy publicznych, co łatwo zinterpretować, że była ograniczana przez swoją pleć. Myślę, że było inaczej – od życia publicznego to ona miała swoich pełnomocników i pachołków. Po co się miała popolitować ze szlachecką tłuszcą. Przyjeżdżać do sądu. Odpowiadać na pozwy. Od tego miała swoich ludzi.

Co innego kobiety z warstw plebejskich...

...ludowych?

– Ciągłe mam z tym pojęciem problem. Wracając do kobiet z tych warstw – dużo częściej musiały brać sprawy w swoje ręce. Wiemy, że kobiety były niedopuszczane do sądów

jako powódki, ale wiemy też, że nimi bywały, bo po prostu nie było innego wyjścia. Im bliżej przypatrujemy się codzienności, tym więcej odkrywamy w niej kobiet. Kobiety równie dobrze jak mężczyźni się upijają, biją się w karczmach, skarżą, kradną. To jest zupełnie normalne. Dopiero jak docieramy do opowieści o życiu publicznym, to znikają.

Pamiętajmy, że często to nie nasi bohaterowie czy bohaterki zostawiają ten zapisany ślad, ale ktoś zapisuje ich zeznania, ich historie. Możemy próbować odtworzyć sposoby tworzenia tych zapisów, przyjrzyć się temu, jak to, co wypowiedziane, było przerabiane przez skrybę na protokół zeznania. I to przez świadomość tych pisarzy, ich sposób interpretowania, dzisiaj próbujemy wyobrazić sobie ludzi, którzy bardzo często nie umieli przecież pisać. A i z tymi, którzy potrafili, nie jest wcale łatwiej. To bywają strzępy, pojedyncze dokumenty, zupełnie nieweryfikowalne.

dało to różnie. Wiemy na przykład, w Polsce od czasów badań Krzysztofa Skwirczyńskiego, jak wiele osób miało – dziś byśmy powiedzieli – gejowskie stosunki seksualne w społecznościach deklaratywnie heteronormatywnych, czyli wśród duchowieństwa.

Brytyjski historyk Tim Hitchcock analizował nowożytnie pamiętniki intymne ludzi spoza elity. Zauważył, że przed połową XVIII wieku prowadzili bardzo intensywne życie seksualne, które niekoniecznie oznaczało penetrację. To mnie zastanowiło, bo w dokumentach dotyczących polskich chłopów właściwie w ogóle nie znajdujemy niczego, co nie jest penetracją. Warto zadać pytanie – nie było tego czy po prostu nie było komu o tym napisać? Polskie chłopstwo z tej epoki nie pozostawiło żadnych pamiętników. To, czego dowiadujemy się z akt sądowych, to przeważnie rzeczy niezgodne z normami prawnymi, a te zawsze koncentrowały się wo-

Ludowa historia się skomercjalizowała.

Najwięcej ubawu miałem, gdy się do niej zabrał Kamil Janicki, autor, który pisze książki na każdy aktualnie modny temat związany z historią

Arlette Farge, współpracowniczką Michela Foucaulta, pisała, że skoro nie mamy żadnych innych świadectw, to powinniśmy zaufać tej opowieści, którą poznajemy. Przecież ten sam problem dotyczy współczesności, nawet gdy na temat danej postaci czy sytuacji mamy kilka relacji, to cały czas pozostajemy w kręgu słów.

Musimy pamiętać, że historia nie może być wyłącznie opowieścią o polityce. To też – a może przede wszystkim – opowieść o tym, jak ludzie żyli, jak zmieniało się społeczeństwo, jakim procesom historycznym podlegało. Co znaczy, że historia musi mówić także o kobietach na równi z mężczyznami. Niestety, niewiele się o tym dowiedzą uczniowie w liceach czy podstawówkach.

Cytuje pan Laurę Gowing, profesorkę historii nowożytnej w londyńskim King's College, która pisze, że historia queer „nie ma na celu cofnięcia w czasie i przebadania, ile osób, z kim uprawiało seks”. Pisze pan o „rekonstrukcji krajobrazu”, co wynika z rekonstrukcji krajobrazu, którą można dokonać dzięki Kuśnierczance?

– Cytat, który przytoczyłem, to reakcja Gowing na postulat odnajdowania w przeszłości gejów i lesbijek. Gdy już ich znajdziemy, będziemy mieli napisaną historię i wiedzieli, jak było kiedyś. Tymczasem dla niej ważniejsze jest zrekonstruowanie jak najpełniejszego spektrum seksualności w danym czasie. Warto poszukać odpowiedzi na pytanie, jakie aspekty seksualności były wtedy nienormatywne. Wówczas okaże się, że w różnych miejscach wyglą-

kół penetracji. Jednocześnie trudno przyjąć, że chłopci uprawiali wyłącznie penetracyjne stosunki seksualne.

Dlatego potrzebujemy takich źródeł jak historia Kuśnierczanki, bo one przełamują to, co do tej pory wiedzieliśmy o przeszłości. Pozwalają ujawnić jakąś niedostępną nam dziś już opowieść o niej. Kuśnierczance wymierzono karę – ucięcie warkocza i założenie czepca. Była to kara, którą zwyczajowo stosowano wobec pańien, które zaszły w ciążę i nie zdążyły sobie znaleźć męża. Taki hańbiący odpowiednik oczepin. Kuśnierczanka nie zaszła w ciążę, nie było potrzeby udowadniać, czy jest dziewczą, czy nie. Jednak skazano ją na taki sam rodzaj kary, złamała zatem jakąś bardzo ważną normę.

Inną niezwykłą postacią, którą się pan zajmował, był Zelman Wolfowicz, a jak pisali Żydzi – Zalman Ben Ze'ev. Postać, której warto by poświęcić seriał sensacyjny.

– Trafiłem na niego, przeglądając akta miasta Drohobycz. Wolfowicz, lokalny mafioso, postać zniechęcona przez społeczność zarówno żydowską, jak i chrześcijańską, został w czerwcu 1755 roku skazany na karę śmierci.

Jesteśmy w XVIII wieku, w świecie szlachecko-mieszczańskim, polsko-żydowskim, ale też unicko-żydowsko-katolickim. Zelman Wolfowicz był zaufanym człowiekiem starościny Doroty Tarłowej. Jego pozycja zaskakuje – zmieniający się zarządcy majątków Tarłowej mają u niego mniejszy posłuch od niego. Zelman prze-

mocą, sprytem, kombinacjami dominował społeczność żydowską tak uciążliwie, że nawet doszło do prób zamachu na jego życie.

Sprawa przeciwko Wolfowiczowi zaczęła się od donosu o przestępstwa przeciwko majątkowi królewskiemu. Wyjaśnię kilka rzeczy – starostwo drohobyckie było dobrami królewskimi nadanymi jako dożywotnie uposażenie wdowie po hetmanie Stanisławie Chomętowski. Prawdopodobnie od śmierci męża w 1728 roku ani razu nie była w mieście. Z jej perspektywy liczył się tylko dochód. Zaufała lokalnemu żydowskiemu faktorowi, dzisiaj byśmy powiedzieli – menedżerowi, który zaczynał od nadzorowania produkcji słynnej drohobyckiej soli.

Zadaniem Zelmana było pilnowanie, by zyski Tarłowej nie malały. On sam musiał być trudnym człowiekiem – zraził do siebie wiele osób, szlachtę, mieszczan, Żydów. Jednak przez długi czas nikt nie był w stanie mu zagrozić. Do-

piero gdy doszło do sojuszu drohobyckich Żydów z mieszczańskimi, rozpoczęła się sprawa sądowa o nadużycia.

Czemu o nadużyciach wobec majątku króla, a nie jakiegoś przestępstwa, których – jak można z tej historii się domyślić – było sporo?

– Oskarżenia o przestępstwa wobec chłopów, Żydów czy mieszczan nie zainteresowałyby zbytnio sądu królewskiego. Pustoszenie dóbr królewskich to była już inna waga. Sprawa zaniepokoiła króla, a ten prawdopodobnie namówił wdowę, by w 1753 roku zrzekła się starostwa na rzecz nowo mianowanego hetmana Wacława Rzewuskiego, który zrobił porządek w mieście, nie czekając na rozstrzygnięcia sądu królewskiego. Wyrokiem podporządkowanego sobie sądu zamkowego skazał Zelmana na śmierć. Kara nie została wykonana, ale na wszelki wypadek zamknięto go w więzi. Próbowal uciekać, za drugim razem próba ucieczki niemal doprowadziła do wykonania wyroku. Uratował się w jedyny dostępny mu sposób – przeszedł na katolicyzm. Ocaliło mu to życie, lecz aż do śmierci, czyli jeszcze kilka miesięcy, żył zamknięty w klasztorze.

Mówił pan wcześniej o krajobrazie, który możemy sobie wyobrazić dzięki historii. Jaki krajobraz widzimy dzięki opowieści o losach Wolfowicza?

– Historia Wolfowicza pozwala zrekonstruować krajobraz społeczny w XVIII wieku. Mamy do czynienia z wieloma grupami interesu, które są mocno podzielone, i różnymi ośrodkami władzy bezpośredniej. Nad Wolfowiczem niemal nikt nie

miał władzy – podczas procesu miejscowa szlachta mówiła, że Zelman robił, co chciał. Był człowiekiem, który miał wpływ nie tylko na społeczność żydowską, ale też zbudował wokół siebie coś na kształt dworu. Chyba był świadom swojej potęgi, ale nie dość świadom, na jak wątych opiera się ona podstawach, to znaczy na łasce i zaufaniu Tarłowej. Pomimo skonfliktowania z lokalną społecznością, zwłaszcza żydowską, wydaje się, że wiele osób z zewnątrz uważało go za dobrego menedżera.

Co z chłopami?

– Wygląda na to, że w ogóle się tym nie przejmowali. Mieszczanie drohobyccy przed sądem zarzucają Zelmanowi eksploatowanie chłopów, ale w dokumentach nie ma żadnych skarg chłopskich.

Chłopi, gdy doświadczali ucisku, który był ponad ówczesną normę, często uciekali. Zwłaszcza po potopie szwedzkim w niemal całej Rzeczypospolitej panował głód rąk do pracy. Zapaść demograficzna była olbrzymia. W tej sytuacji chłopi wiedzieli, że zawsze znajdzie się dla nich miejsce w innych dobrach. Oczywiście mnóstwo było praw zakazujących szlachcie przyjmowania uciekających chłopów, a chłopom uciekać, ale prawo sobie, a rzeczywistość sobie, zwłaszcza że w Rzeczypospolitej nie było poliji.

Starostwo drohobyckie jest pod tym względem bardzo ciekawe. To ostatni region Polski, który został złupiony przez najazd tatarski w 1699 roku. Mieszczanie i Żydzi zamknęli się w mieście, które nie zostało zdobyte. Ale wsie całkowicie złupiono, zaludnienie starostwa spadło czterokrotnie. Chłopi poszli w jasyr lub uciekli. Zatem 30 lat później, w czasach Zelmiana, mamy do czynienia z pierwszym, maksymalnie drugim pokoleniem chłopów mieszkających w tej okolicy. Trudno ich jeszcze traktować jak ludność osiadłą od pokoleń.

A tak często, jak się dokopiemy praprzodka w jakiejś wsi, wydaje się nam, że jego rodzina mieszkała w niej od Piasta.

– Były zarazy, najazdy, wojny i zwykające migracje zarobkowe. Tak jak

pod koniec XIX wieku chłopi zaczęli emigrować do Chicago, tak też bywało wcześniej, tylko na mniejsze odległości – ktoś przetań szlak i za nim ruszali kolejni. Przez kilkaset lat chłopi zasilali na przykład Kraków, co ciekawie pokazał w swoich badaniach Mateusz Wyżga. W kilka pokoleń rodzina chłopska mogła się stać mieszczańską – zaczynał dziadek, który przywoził jęczmień na piwo do Krakowa, potem jego syn zostawał parobkiem w browarze, a wnuk już mieszczańinem – słodownikiem.

A polskość? Profesor Andrzej Nowak podczas dyskusji o ludowej historii Polski mówił, że chłop musiał „dorosnąć do polskości”. „W mojej tradycji rodzinnej było to traktowane jako powód do dumy – że moi dziadkowie dorosli do polskości” – mówił Nowak.

– Przodkowie profesora pochodzili ze Świlczy pod Rzeszowem. Znam Świlczę od XVII wieku, od kiedy zaczęto w niej prowadzić zachowaną księgę sądu wójtowsko-ławniczego, więc mogę powiedzieć, że Nowak to swój chłop. Chłopi stawali się Polakami pod koniec XIX wieku, a nawet na początku kolejnego, bo wcześniej zwyczajnie nie było tego rodzaju identyfikacji. Współczesna tożsamość narodowa pojawia się dopiero w wyniku zjawisk z przełomu XVIII i XIX wieku, m.in. rewolucji francuskiej. Owszem, chłop mógł się identyfikować z Polską, gdy spotykał się z czymś przeciwnym, na przykład z Rosją. Mieszkańcy województwa ruskiego niezależnie od języka, w jakim się porozumiewali, mówili, że jadą do Polski, gdy jechali do sąsiedniego województwa krakowskiego.

Profesor Nowak wskazuje na chłopski model aspiracyjny, gdzie aspiracje do profesorskości to następstwo aspiracji do polskości. Jest to zarazem bardzo ekskluzywny model polskości, gdzie mierzy się jej natężenie, a niedorastających do własnego wzorca – ekskomunikuje. Abstrahując od współczesności, to jest to po prostu niesprawiedliwe wobec naszych chłopskich przodków. Chłopi wielokrotnie oblewali egzamin na polskość. Najbardziej dotkliwie

Znamy tylko jeden nowożytny dokument, gdzie bohaterką jest osoba z ludu, którą dziś byśmy określili jako lesbijkę. To wyrok sądu miejskiego z 1642 roku na Agnieszkę Kuśnierzczankę skazaną za „załoty męskie zmyślane”

w rabacji galicyjskiej, gdzie opowiedzieli się po stronie „swojego” cesarza przeciw powstaniu polskiej szlachty. Ale dlaczego właściwie mamy ich z polskości egzaminować?

Żaden z moich ludowych bohaterów i żadna z bohaterek między XVI a XVIII wiekiem nie utożsamiali się z polskością. Mogli się utożsamiać, częściowo i od czasu do czasu, z Rzeczpospolitą jako krajem rodzinnym. Ale – jak już mówiłem – było to często w kontrze wobec innych lub dla materialnej korzyści. Pruskość od pewnego momentu oznaczała obowiązkową służbę wojskową i podatki, Moskwa – barbarzyństwo, Turcja – też barbarzyństwo, lecz egzotyczne. Niewiele pozostawało.

Polska jako brak alternatyw. Trochę to smutne.

– Jeden z uczestników Sejmu Wielkiego w anonimowym tekście opisał pomysł na odzyskanie zagrabionej przez Austrię Galicji. Należy namówić Turków – twierdził – żeby zaatakowali Galicję i wtedy chłopi, którzy inaczej nie chcieliby do Polski powrócić, przestraszą się najazdu muzułmanów i zwrócą pod opiekę Rzeczypospolitej. Szlachcic ten odznaczał się wielką trzeźwością umysłu. Zauważył, że nie ma żadnej możliwości, żeby w latach 80. i 90. XVIII wieku ktoś na wsi chciał zostać Polakiem. Chyba że się go przestraszy.

Dodajmy – dla uczciwości – że Austria też nie była krajem, w którym chłopi chcieli żyć. Dopiero krótkie samodzielne rządy Józefa II to zmieniły. Był przez chłopów bardzo pozytywnie postrzegany ze względu na reformy, które wprowadzał w całym cesarstwie. Jednak jego panowanie było krótkie. Gdy zmarł w 1790 roku, zmiany, które wprowadził, niemal natychmiast zostały odwołane. W pamięci pozostał jako władca sprzyjający chłopom, choć tak naprawdę mówimy o bardzo konserwatywnych zmianach. Zasadniczo to i w Polsce, i w Austrii była pańszczyzna, ale w Polsce podatki były niższe i nie brano do wojska...

...i dzisiaj właśnie bardziej ciekawi nas świadomość tego chłopu, niż to, co o nim sądził „cysarz”. To chyba powinien pana cieszyć „zwrot ludowy”, pisanie ludowych historii, nawet jeśli nie robi tego tak do końca lud.

– Tak zwany zwrot ludowy, z którym mamy teraz do czynienia, to przeorganizowanie wiedzy, niejmy nadzieję, że następujące we wszystkich klasach społecznych. Zaczynamy o przeszłości myśleć w innych kategoriach niż do tej pory. I przyglądać się innym postaciom. Wydaje mi się, że jest to też poniekąd efekt przecięcia państwowej polityki historycznej. To już stało się zbyt monotonne.

W 1998 roku francuski historyk Alain Corbin napisał biografię wiejskiego rzemieślnika Louisa-François Pinagota. Na temat swojego żyjącego w XIX wieku bohatera znalazł zaledwie kilka wzmianek źródłowych, a jego życie okazało się całkowicie zwyczajne i pozabawione dramatycznych napięć. A mimo to powstała obszerna książka, która odniosła wielki sukces czytelniczy we Francji. Zapytany o jego przyczyny odpowiedział, że to rezultat rozwoju świadomości historycznej Francuzów, którzy uzmysłowili sobie, że ich przodkami nie są ludzie pokroju bohaterów wojennych, generałów czy magnatów, ale właśnie kupcy, mieszczenie czy też chłopi. Przodkowie Francuzów są częścią jak René Artois z serialu „Allo ‘Allo!”

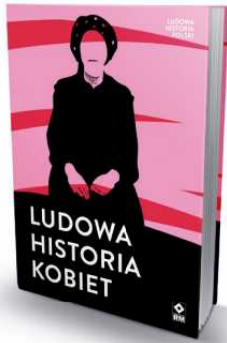
niż jak Jean Moulin, bohater męzcennik Ruchu Oporu.

Podobnie Polacy przez lata – dzięki XIX-wiecznej, nacjonalistycznej narracji historycznej – myśleli o sobie raczej jako o spadkobiercach Chrobrego niż potomkach Kuśnierzczanki czy Wolfowicza.

Przez lata dostępna była tylko jedna narracja, teraz – dzięki wolnemu rynkowi idei i internetowi – pojawiły się inne narracje, które odpowiadają na potrzeby pamięci zbiorowej poszczególnych ludzi i środowisk. Czasem powstają oddolnie, na przecięciu biznesu i dyktanctwa, jak wizja turbosłowiańska, czasem zarządzane są odgórnie, jak wizja ipeenowska, agregująca się na stronach kibolskich. W przypadku historii ludowej niekiedy objawia się podobna mieszanina neofickiego zaangażowania, komercji i ziemkiewiczowskiego riserczu. Są jednak podstawy do nadziei, że przyniesie ona jakąś poważną zmianę jakościową. Po pierwsze, dotyczy ona realnych ludzkich doświadczeń, będzie więc ściągana do konkretności. Po drugie zaś, jakoś zsynchronizowała się z postulatami i badaniami części środowiska akademickiego.

A potomkowie Wolfowicza naprawdę żyją wśród nas. Nie wiem tylko, czy już wiedzą o swoim przodku. ●

Artykuł „Niewidoczne: Jak squeeerować ludową historię kobiet okresu przednowoczesnego” Tomasza Wiślicza znajduje się w książce „Ludowa historia kobiet”, red. P. Wielgosz, wydawnictwo RM, Warszawa 2023



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34295976

Sztuka obsługi penisa

NOWE WYZWANIA



Gryżewski i Pilarski rewolucjonizują świadomość Polaków i Polek na temat zdrowia psychicznego i seksualności.

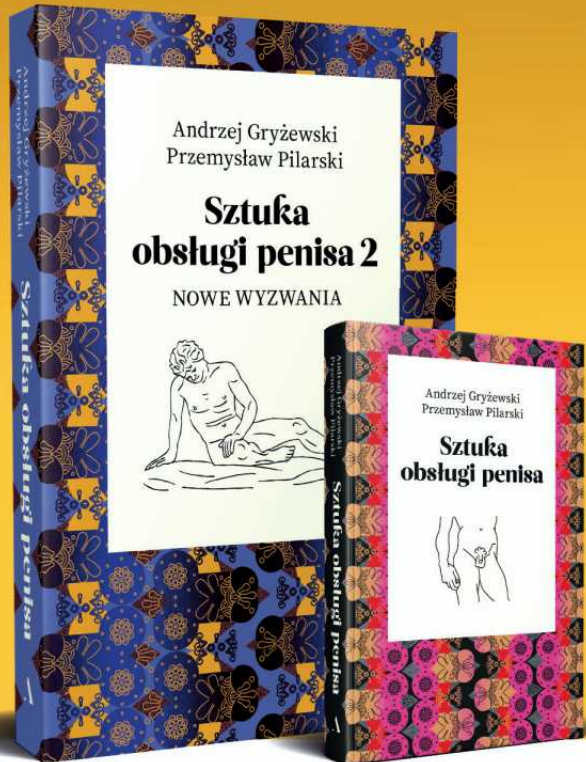
Sławomir Sierakowski

Ta książka to klucz nie tylko do męskiej przyjemności.

Maria Rotkiel

Zawarta w książce rysunkowa „Instrukcja obsługi penisa”, to zapowiedź polskiej nowoczesnej „Kamasutry”.

Zbigniew Lew-Starowicz



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl



**Wydawnictwo
Agora**

Opowiadanie na ferie

Symetrystom coś nie pykło

Zauważyłeś, że w mieście nigdzie nie ma kamer?
Nie są potrzebne, każdy człowiek jest ruchomym terminalem monitoringu

RAFAŁ KOSIK*

Przebudziłem się w piątek o szesnastej trzynastie, kiedy miałem wejść do windy. Jakaś część mózgu już podjęła decyzję, żeby wsiąść. O tej porze połowa klastrow kończy ośmiogodzinne shifty i na następną windę na osiemdziesiątym

czwartym piętrze czekałbym kilka minut. Ale zatrzymałem się tuż przed drzwiami. Nim się zasunęły, napotkałem zdziwione spojrzenia ludzi w środku. Zmieściłbym się, przecież było miejsce.
Pół minuty później już nie żyli.



ILUSTRACJA IGOR MORSKI

● ● ●

W metrze nie patrzę na nikogo. Nie wiem, co się dzieje, i nie chcę wiedzieć. Chcę tylko, żeby to się skończyło.

Przebudzenie spadło na mnie jak atak paniki, jak agorafobia i klaustrofobia jednocześnie. Nie potrafiłem zauważyć żadnej namacalnej zmiany, ale czułem się inaczej. Pragnąłem natychmiast znaleźć się dalej od ludzi, poza ich wzrokiem. Cud, że dowlokłem się do domu.

● ● ●

Siedzę teraz w aneksie łazienkowym, oparty o chłodny plastik ściany, i nie wiem, co robić. Jak wykonać ruch – którą nogą wstać, którą ręką się podeprzeć? I w ogóle, co dalej? Usiąść na kanapolóżku? A może napić się wody? Stan, w którym zawsze wiedziałem, co robić, zniknął, pojawiła się ssąca pustka. Zaciskam pięści, aż do bólu, i prostuję palce. Co teraz? Bardzo chcę zasnąć. Znow śnić na jawie, nie myśleć.

Wstaję jakoś. Coś przecież robić muszę, ale co? Każda decyzja pociąga konieczność podjęcia kolejnej. Ogrom potencjalnych możliwości rozgałęzia się w nieskończoność.

Robię więc rzecz najprostszą – zaczynam chodzić tam i z powrotem. Niezdarnie, jakbym się dopiero tego uczył. Przed przebudzeniem coś chodziło za mnie, coś chodziło mną.

Przestrzeń geometrycznej klity ogranicza mnie, i to jest dobre. Dziesięć metrów kwadratowych, jestem sam, więc nie przysługuje mi więcej. Gdybym całkiem złożył kanapolóżko, toby nieco ułatwiło. Ale którą ręką zacząć? Którą potem wepchnąć materac we wnękę? Schylić się czy przykłąknąć?

Ta pustka pojawiła się o szesnastej trzynaście i wciąż rośnie. Zniknął autopilot, który podejmował za mnie te wszystkie małe codziennie decyzje. Przestałem być tylko pasażerem we własnym ciele. Chodzę tam i z powrotem między kanapolóżkiem a wbudowaną w ścianę lodówką i ekranem relaksatora. Wokół ściany z jasnoszarego tworzywa, pod nogami podłoga z ciemnoszarego tworzywa.

Jasność, oczywistość, wszystko przepadło. Teraz muszę sam analizować, sam rozumieć i sam podejmować decyzje. To nieznosne.

Powinienem coś zjeść, zawsze coś jadłem po powrocie do domu. Otwieram lodówkę. Prawą ręką, to akurat oczywiste, bo otwiera się w tę stronę. Z ostatniej dostawy zostały dwa opakowania karmy. Na szczęście oba takie same, o smaku „owoce leśne”. Na jednym wdechu wypijam gęsty płyn. Trudno powiedzieć, czy ten słodkawo-kwaśny smak to owoce leśne.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Teraz godzina na relaksacyjne wyciszenie i spać. Ekran sam się włącza. Przebitki: dziewczyna biegnie po plaży na tle zachodzącego słońca; szczeniaczki drepczą po dywanie, potykając się pocieszenie; labędź majestatycznie ląduje na powierzchni jeziora; pracownicy przy taśmie produkcyjnej z zapalem i radością montują z małych elementów coś większego. Muzyka łączy te scenki nastrojem, wszystko idzie w dobrym kierunku.

Nie, kurwa, nie idzie w dobrym kierunku! Przecież ja nigdy nie widziałem prawdziwego labędzia. Prawdziwego jeziora też nie. I nigdy nie będę miał psa, bo w mieście nie wolno trzymać żadnych zwierząt.

W tamtej windzie był pies. Pies patrolujący, na smyczy funkcjonariusza Wydziału Bezpieczeństwa. Im wolno mieć psy. Szkoda, że chociaż ten labrador nie przeżył katastrofy.

Natłok obrazów staje się nie do zniesienia. Komendomyśłą wyłączam ekran. A raczej próbuję, bo jedynym efektem jest pytanie od Opiekunki:

– Czy jesteś pewien, że chcesz wyłączyć relaksację?

– Tak, chcę.

– Relaksacja jest bardzo istotnym czynnikiem zwiększającym wydajność.

Nigdy nie wyłączałem ekranu, gapilem się w niego aż do momentu, gdy nadchodził czas na sen.

– Po prostu to wyłącz.

– Oczywiście w każdej chwili możesz wyłączyć relaksację. Rozważ jednak, że znacznie lepsze dla ciebie jest niewyłączenie jej.

W powietrzu nie rozchodzą się żadne fale dźwiękowe, to akurat wiem. Mój komplant nadaje bezpośrednio do ośrodka słuchu.

– Jeżeli mogę ją wyłączyć w każdej chwili – mówię powoli, jestem już zmęczony – to teraz właśnie jest ta chwila.

– Oczywiście, to jest twoja decyzja. Chciałabym tylko poznać motywację, dla której chcesz to zrobić.

Sięgam za ekran, żeby wyciągnąć wtyczkę. Odchylam go, odlepia się z nieprzyjemnym mlaśnięciem. Nie ma żadnej wtyczki, kabel wnika w ścianę.

– Nie chcę niczego uzasadniać. Wyłącz go.

– Wyłączenie to jest twój wybór. Pozwól jednak, że zapytam, dlaczego tak ci na tym zależy.

Wyrrywam kabel.

– Agresja nie rozwiązuje problemów.

– Ten rozwiązała.

Opiekunka milknie. Rzucam się na łóżko.

Jakie to szczęście, że go nie złożyłem, bo teraz rozkwitał by w mojej głowie fraktal możliwości, jak je rozłożyć.

Może sen, ten zwykły, nocny, kilkugodzinny, sprawi, że rano obudzę się tak jak zwykle, samym tylko ciałem.

● ● ●

Leżę i z przerażeniem wpatruję się w sufit. Za oknem już jasno.

Zamykam oczy, liczę do trzynastu i otwieram. Nic się nie zmienia. Wstaję, pościel jest mokra od potu. Nie mogę iść w tym stanie na shift do kłastra, ale nie uda mi się tego uzasadnić bez diagnozy medycznej. Może to infekcja? Komplant informuje, że jedyne odstępstwa od normy to niedośpanie i stres. Muszę iść.

W holu na parterze mieszkaniowca podchodzę do automatu i wyciągam rękę. Podajnik wyrzuca puszkę izotoniku, o którym pomyślałem chwilę wcześniej.

● ● ●

Żyję, choć nie powinienem. Winda spadła aż na sam dół, na poziom minus pięć. Początkowo nikt tego nie zauważył, oczywiście poza inteligentną instalacją i administratorem budynku. Gdy przyjechały ekipy ratownicze, ludzie w holu nie wiedzieli nawet, co się wydarzyło.

Dlaczego nie wsiadłem do tej windy?

● ● ●

Pracuję wolniej niż zwykle. Mieszczę się w dopuszczalnym zakresie parametrów, ale jestem zdecydowanie poniżej mojej średniej. Leżę w wannie wypełnionej żelem chłodzącym, z wiązką kabli wpiętą w potylicę. Jestem, a jakby mnie nie było. Ja tylko procesuję. Znam ten stan doskonale, tym się zajmuję od lat. Dziś jestem jak niekontaktująca wtyczka. I co gorsza, nie potrafię tego zmienić. Dotąd poddawałem się sterowaniu zewnętrznemu, i było to bardzo przyjemne – podążać za jednoznacznymi wytycznymi. Chcę, żeby było jak kiedyś.

Połączenie dwóch mózgów daje nową jakość, a efekty ich wspólnej pracy znacznie przewyższają efekty pracy rozdzielnej. Dlatego nasz klastek składa się z trzynastu mózgów połączonych czymś lepszym niż rozmowa. Łączy nas złoto. Złote kable. Nie światłowody, odległość jest za mała, by opłacało się tracić cenne nanosekundy na zamianę sygnału elektrycznego na światło, i z powrotem. Procesujemy w burzy mózgów, a każdy z nas dodaje coś od siebie. Całości procesu nikt z nas nie ogarnia. Tak ma być. Wysoka wydajność wszystko wynagradza.

*Dziesięć metrów, jestem sam,
więc nie przysługuje mi więcej.
Gdybym całkiem złożył kanapolóżko,
toby nieco ułatwiło.*

*Ale którą ręką zacząć? Schylić się czy
przykłąknąć?*

Dane wpływają, dane są procesowane, dane wychodzą. Powinienem zapomnieć na czas shiftu, że jestem człowiekiem. Wcześniej zawsze byłem tylko tymi procesami. Teraz, zapewne dlatego, że je obserwuję, wszystko idzie trochę wolniej i stąd ten spadek wydajności. Przecież JA obserwujący jestem kolejnym procesem. Zakłóceniem zżerającym moce obliczeniowe mojego mózgu.

● ● ●

Synchronizujemy się, jak co dzień, w pubie na parterze biurowca, jedno piwo na osobę. Sala jest duża, bo i kłastrów w biurowcu jest wiele. Bezpośredni kontakt, wymiana spojrzeń, drobnych uśmiechów, gesty. Jeśli się lepiej poznamy, synchronizacja w klastrze będzie lepiej działać, procesowanie przyspieszy.

Popijamy w równym tempie, nikt nie liczy czasu. Dziś jest inaczej, bo ja liczę. Nerwowo przesuwam szklanką po okrągłym stole. Błat, udający drewno, miejscami przetarł się, odsłaniając szary plastik, jak na ścianach mojego mieszkania.

Czuję dyskomfort, choć przecież powinno być miło. Koniec shiftu, wysokich obrotów, czas na relaks.

– Jedna czwarta wind jest wyłączona – odzywa się Patrick.

Ktoś musi zacząć. Zwykle właśnie on.

– Przeprowadzają kontrolę – mówi Sara, liderka kłastra.

– Dyrekcja zmodyfikuje grafik pracy kłastrów, żeby uniknąć zatorów. Jutro zaczynamy i kończymy kwadrans później.

– Kontrolują co czwartą windę. Czyli te, którymi dziś jeździliśmy, nie były kontrolowane.

– Nie mogą wyłączyć wszystkich – odpowiada spokojnie Sara. – Wspinaczka na osiemdziesiąte czwarte piętro to duży wydatek energetyczny. To by obniżyło naszą efektywność.

Rozumiem, co robi liderka – powstrzymuje Patricka przed wyciąganiem niepożądanych wniosków.

– Co o tym sądzisz, Jessico? – Liderka patrzy na drobną dziewczynę po przeciwnej stronie stołu.

Teraz jest dla mnie jasne, że Sara do każdego z nas zwraca się według innego klucza.

Jessica zwykle mało się odzywa, a już sama z siebie – nigdy, i dlatego Sara zadaje jej pytania otwarte. Patricka trzeba tonować, Jessicę motywować.

– Myślę, że kontrolowanie wind jest bardzo dobre – odpowiada cicho dziewczyna. – One na pewno wszystkie są w porządku. Na pewno. Sprawdzenie ma to tylko potwierdzić.

Przestaję słuchać. Spada na mnie kaskada nieprzeżytych wspomnień. Gest zsuwania kosmyka włosów z czoła za ucho, w świetle zachodzącego słońca. To się nie wydarzyło. Przyglądanie letniej sukienki, nim uda dotknąć ławki. Palec ścierający poranną rosę z klonowego liścia. Uśmiech bez powodu. Chwiejny płomyk świecy i dłoń unosząca kieliszek wina. To wszystko się nie wydarzyło, a powinno.

– To bardzo dobrze, że dyrekcja sprawdza windy, prawda?

Orientuję się, że pytanie Sary jest skierowane do mnie. Pierwsza odpowiedź, która przychodzi mi do głowy, to że jutro i pojutrze też będziemy jeździć niesprawdzonymi windami.

– Tak, to bardzo dobrze – odpowiadam, bo wiem, że tego właśnie oczekuje Sara. – To profesjonalne i odpowiedzialne działanie.

A potem znow przestaję słuchać, patrzę tylko na Jessicę.

● ● ●

Przy prostszych zleceniach mogę się łączyć z domu lub nawet z metra. Przerabianie mniejszej ilości danych nie wymaga dodatkowego chłodzenia ciała ani podłączania do karmnika proteinowo-witaminowego. Wystarczy przedtem zjeść wysokokaloryczne batony i popić izotonikiem. Do dwóch godzin to się sprawdza, a przy zleceniach kilkuminutowych nawet nie jest potrzebne.

Zanim zostałem skierowany do kłastra, zajmowałem się taką drobnicą. Teraz to zajęcie dodatkowe. Do wczoraj, bo dziś nie pojawiło się żadne zlecenie. Kto mi je załatwiał? Nie pamiętam. Realizowałem je, bo była potrzeba ich zrealizowania.

Zleceń nie ma, pustka jest. I już rozumiem, że nie pojawiła się podczas przebudzenia, ona była wcześniej, tylko jej nie zauważałem. Wczoraj o szesnastej trzynaście ujawniła się, wypelzła zza horyzontu, gdzie zawsze istniała, przyczajona. Teraz jest to pustka do potęgi, bo skumulowana, ignorowana przez miesiące, lata. Rozprężyła się i wypełniła sobą całego mnie.

Umiem już wstać bez zastanawiania się, którą nogę najpierw zsunąć z łóżka.

Tej nocy śnię. Jestem w windzie i patrzę do góry. Jessica stoi w otwartych drzwiach na osiemdziesiątym czwartym piętrze i zagląda do wnętrza szybu. Nie rób tego! Za późno, już wsiadłem.

Nie rób tego!

● ● ●

Dziś pracuję jeszcze wolniej, ocieram się o wymagane minimum, a przecież dostałem się do kłastra dlatego, że osiągi miałem wysoko ponad średnią. Czuję na sobie virtualne spojrzenia pozostałych.

Leżymy w okrągłej sali w trzynastu wannach. Oczy zamknięte, uszy odłączone. Burza mózgów przetacza się złotymi kablami. Nie mamy wglądu w to, co robi reszta, ale widzimy, które kanały zamulają. Czyli oni wiedzą, że ja gorzej procesuję. Ale czy to zauważają, skoro nie są przebudzeni? A czy kilka dni temu ja bym wiedział, że ktoś z mojego kłastra przymula?

Przesyłam pakiety danych do Jess i zastanawiam się, czy dałoby się dodać coś prywatnego. Albo utworzyć dodatkowy kanał. Obracam w głowie seriami komendomyśli. Jeśli otworzę kanał do Jessiki, niewidoczny dla reszty, to czy będzie niewidoczny dla systemu?

No i co jej w ogóle powiem?

Im więcej takich rozmyślań, tym mniejsza wydajność. Zamulam i nie potrafię złapać rytmu, wspólnej częstotliwości.

● ● ●

Jadę windą z Jessicą. Zwykle przychodzi pierwsza, a wychodzi ostatnia. Celowo więc wolno się ubierałem, potem kręciłem po korytarzu. Jest tłoczno, wszyscy jak zwykle milczą.

Jedzie z nami dwóch beowców w granatowych uniformach Wydziału Bezpieczeństwa. Pewnie prowadzą śledztwo w sprawie windy. Stoją z przymkniętymi oczami, wymieniają dane z siecią i roztaczają wokół aury zagrożenia. Pasażerowie trzymają dystans. Ja szczęśliwie stoję po przeciwnej stronie kabiny. Obok Jessiki. Czuję jej delikatny zapach.

Na wyświetlaczu ubywa pięter, a ja nie wiem, jak zacząć.

– Co lubisz? – pytam wreszcie. Brzmi to idiotycznie, ale niczego lepszego nie potrafię wymyślić.

Nie rób tego!

Unosi głowę i patrzy na mnie, zaskoczona. Drzwi windy rozsuwają się.

● ● ●

Znow synchronizacja w pubie, taki jakby team building. Piwo chyba w tym pomaga, nie znam się na tym. Może siedzenie przy stole z obcymi ludźmi lepiej wychodzi, jeśli każdy ma przed sobą szklankę piwa. Dla mnie na pewno jest lepiej, bo mam czym zająć dłonie.

Patrzę po smutnych twarzach i rozpoznaję je według klucza charakterystycznych pakietów danych przesyłanych wewnątrz kłastra. Komplant zresztą podpowiada, kto jest kim. Nie w postaci etykiet, przesyłanych do nerwu wzrokowe-

go, lecz znacznie dyskretniej. Po prostu patrzę i wiem, kto jest kim.

Komplant, ten mały wszczep w mózgu, łączy mnie z cyfrową częścią rzeczywistości. Czyli tą ważniejszą. Fizyczne byty sprowadzają się do podtrzymywania tych wirtualnych. Ciało musi jeść, pić, ruszać się, żeby mogło sprawnie działać. Inne potrzeby są nieistotne.

A raczej nie były istotne, aż do przedwczoraj.

Zerkam co chwila na Jessicę. Zauważa to i dostrzegam w jej oczach strach. Coś niematerialnego wibruje we mnie, ale nie potrafię rozpoznać, czy to jest miłe, czy przykre. Może jedno i drugie naraz.

– W tej windzie mógł być ktoś z nas – zaczyna Patrick.

Przełykam ślinę i gryzę się w język, żeby nie powiedzieć, że prawie do niej wszadłem. Bo wtedy ktoś mógłby zapytać, czemu „prawie”.

– Ci cholerni deowcy. – Siergiej pociąga łyk piwa i odstawia głośno szklankę. – Nie powinni mieć wstępu między ludzi na poziomie. Potem przez to dzieją się takie rzeczy.

– Deowcy serwisują instalacje – mówi Sara.

– I dlatego mamy tolerować ich głupotę i niekompetencję?

– Ceowcy nie serwisują. Mamy inne zadania.

– Na nas opiera się świat. – Siergiej dumnie unosi głowę.

– A w tamtej windzie byli sami ceowcy.

– Bo beowcy pewnie wiedzą, które windy są lepiej serwisowane – zauważa Li. – Nas do nich nie wpuszczają.

– Mają osobne windy?

– Na pewno. Beowcy jeżdżą z wyższych pięter.

– Nieroby.

Nie odzywam się. Nie działa mój sufler, podpowiadający, co mówić, kiedy, jak i jakich tematów unikać. Żartować ani ironizować nie wolno w ogóle, to pamiętam. Każda niejednoznaczność, każda nieścisłość to potencjalny problem.

Sens tej rozmowy jest jasny. Każde słowo służy synchronizacji. Podział na „nas” i „innych” to jeden z jej elementów. Wcześniej tego nie zauważałem. Oczywiście nie lubilem deowców, nawet teraz to uczucie jest silne. Są prymitywni i odtwórczy.

Znów wpatruję się w Jessicę, to silniejsze ode mnie. Jakby rozlewało się we mnie coś drażniącego i gorącego.

– Deowcy lepiej dbają o windy beowców niż o nasze – mówi Siergiej. – Ich windy nie spadają.

– Windy w ogóle nie spadają – odzywam się po raz pierwszy. Z rozpędu. – Mają zabezpieczenia. To znaczy... nie powinny spadać, nawet jak się zepsuje napęd.

Wszyscy przenoszą spojrzenia na mnie. Było trzymać język za zębami.

– W zeszłym tygodniu zbliżyliśmy się do trzydziestu ośmiu operacji na minutę. – Sara zmienia temat. – To by nam dało awans do ligi szmaragdowej.

– Wzrost był mały, ale konsekwentny – przytakuje Patrick. – Zsynchronizowaliśmy się bardzo dobrze.

– Zabrakło dwóch dni – dodaje Li.

Mówią to neutralnym głosem, bez emocji. Nikt nie wskazuje winnego, ale wiem, że piją do mnie. Nie powiedzą wprost, bo to by jeszcze pogorszyło synchronizację. A oni przecież próbują jej bronić. Na razie ze mną, ale jeśli się nie poprawię, zaczną to robić beze mnie. Jest się o co starać. Wejście do ligi szmaragdowej oznacza przydziały lepszej karmy i dodatkowe punkty relaksacyjne do wykorzystania w dniu wolnym.

Sara patrzy na mnie znacząco. Pora na samokrytykę. Pocać mi się ręce.

– Poproś o diagnostykę – mówi Sara. – Może masz pasyżniczy watek. Marnuje moc obliczeniową.

Patrzę na Jessicę. Nie starła dobrze z włosów żelu chłodzącego. Gęsta kropla ścieka jej teraz po skroni.

Z trudem powstrzymuję drgawki. Powinienem coś powiedzieć. Tylko co? Jeśli się odezwę, stanie się jasne, że coś ze mną jest nie tak. Emocje we mnie buzują. Emocje, czyli watek pasyżniczy.

Pociągam duży łyk piwa, połowę wylewając na bluzę. Nikt nie pociąga dużych łyków, wszyscy piją w tym samym tempie, to przecież element wspomagający synchronizację. Wszystko źle, pograżam się każdą mikrodecyzją.

– Poproś o diagnostykę – mówi Patrick.

Chcę wyjść. Natychmiast. Ale mam pół szklanki piwa, nikt nie wychodzi przed wypiciem piwa. Nerwowe drgawki zaczynają się od prawego kolana.

Tak naprawdę nie chcę wychodzić. Patrzę...

I wtedy to do mnie dociera. Ja ją kocham. Kocham Jessicę. Pustka nie znika, ale definiuje się. Pustka jest brakiem Jessiki.

● ● ●

Leżę w łóżku i gapię się w sufit z szarego tworzywa. Obudził mnie koszmarny sen. Spadałem w windzie. Patrzyłem w górę na przerażoną twarz Jessiki na osiemdziesiątym czwartym piętrze. Oddalała się, a ja mknąłem ku śmierci.

Ale przecież winda spadła, a mnie w niej nie było. Ostatnie, co zapamiętałem, nim jej drzwi się zasunęły, to spojrzenie psa. Patrzył na mnie smutno. Psy wyczuwają rzeczy, o których ludzie nie mają pojęcia.

Leżę w ciszy, w przyciszonym świetle. Jak je wyłączyć? Zawsze gasło samo, kiedy zasypiałem, a zapalało się, kiedy

się budziłem. Teraz coś szwankuje. Obudziłem się o godzinę za wcześniej, a światło już się paliło.

Jessica.

Skąd wiem, co to jest miłość? Musiałem już kiedyś doświadczyć tego uczucia, skoro teraz je rozpoznałem i umiałem nazwać.

Chcę z nią być, ale przecież parowanie ludzi to zaawansowany proces badania możliwych pożądanych i niepożądanych cech potomstwa. Przyszłych partnerów nikt nie pyta o osobiste preferencje, bo są nieoptymalne. A ja nie umiem zwrócić na siebie jej uwagi. Nie mam nawet pomysłu jak. Nie zamieniła ze mną ani jednego słowa, odkąd się znamy. Podczas procesowania wymieniamy się tylko danymi dotyczącymi projektu. W pubie nigdy nawet nie usiadła obok mnie. Jakby się bała.

Pomysł przychodzi nagle. Chwilę go analizuję i uznaję, że nie ma wad.

Podchodzę do drzwi i komendomyślą otwieram zamek. Drzwi ani drgną. Zamiast tego odzywa się Opiekunka:

– *To nietypowe dla ciebie – wychodzić o tej porze.*

– Możliwe, ale chcę wyjść.

– *Oczywiście, możesz wyjść, kiedy chcesz. To twoje drzwi i twój zamek.*

– Więc go otwórz.

– *Chciałabym poznać powód, dla którego chcesz wyjść.*

– Otwórz, to powiem.

– *To nieoptymalna kolejność. Na zewnątrz nie będziemy mogli rozmawiać.*

– Czy możesz otworzyć ten zamek?!

– *Oczywiście, w każdym momencie. Pragnę ci tylko oszczędzić niepotrzebnego wysiłku. Na swój shift powinienes wyjść dopiero za czterdzieści trzy minuty.*

– Duszno mi, chciałem się przespacerować.

– *Klimatyzacja działa prawidłowo – zauważa. – Wrażenie duszności to tylko złudzenie.*

– Otwieraj, kurwa, te pierdolone drzwi!

– *Wydajesz się nie panować nad agresją – mówi beznamiętnie. – Wcześniej się tak nie zachowywałeś. Czy zamówić dla ciebie diagnostykę?*

Uderzam pięścią w kompozytową powierzchnię. Drzwi się odsuwają.

● ● ●

Dane wpływają, dane są procesowane, dane wychodzą. Wcześniej zawsze byłem tylko tymi procesami. Teraz je obserwuję, wszystko idzie trochę wolniej i stąd ten spadek wydajności

● ● ●

Światło nie zapala się automatycznie, jakby czujnik mnie nie zarejestrował, jakbym był niewidzialny. I pojawia się myśl, że zgłoszenie się na diagnostykę nie jest ani trochę dobrym pomysłem. Udane leczenie oznacza zaśnięcie.

● ● ●

Idę chodnikiem wzdłuż identycznych mieszkaniowców. Każdy to pięćdziesiąt pięter betonu, malutkie okna, których nie daje się otworzyć. Żadnych drzew. Wcześniej mi to nie przeszkadzało. Mijam szarych ludzi, szarych jak ja. Wszyscy patrzą w ziemię, ja nie. Ja patrzę przed siebie. Ulicą jadą z równą prędkością samochody autonomiczne. Za przyciemnianymi szybami wożą beowców, to oczywiste. Dla ceowców jest metro.

Podążam w stronę odległych wieżowców centrum. Nawigacja mi nie pomoże, bo dla systemu nie ma powodu, żebym nadkładał drogi, skoro bliżej mam stację. Pragnienie spaceru i zebrania myśli to absolutnie nieoptymalne wykorzystanie energii. Nachalna strzałka w polu widzenia zachęca do zawrócenia. W mózgu pipczy mi sygnał błędu. Przed przebudzeniem po prostu bym zawrócił.

Pojmuję już zasadę podsuwania mi tylko niezbędnych informacji. Nadmiar wolności prowadzi do dezorientacji. Dostajemy zatem tylko niezbędne dane, nie ma jak poprosić o więcej. Jaka jest populacja Nigerii? Jaka jutro będzie pogoda w Melbourne? Ilu astronautów przebywa teraz na stacjach na orbicie okołoziemskiej? Nie mam jak rozpocząć wyszukiwania, nie mam gdzie zadać pytania. To nie jest tajna wiedza, tylko zbędna. Odciąga uwagę. Obniża synchronizację. To wszystko dla mojego dobra.

Nawigacja niespodziewanie zachęca do kontynuowania marszu obroną przeze mnie trasą. Czyli przeszedłem już połowę dystansu i nieoptymalnie jest zawracać.

● ● ●

Podczas procesowania obracam w głowie plan. Doskonałe go, szukam słabych punktów. Zamulam jeszcze bardziej niż wczoraj, ale już mi nie zależy.

Podczas synchronizacji w pubie tematem rozmowy jest moje zamulanie. O windach nikt nawet nie wspomina. Sara przedstawia mi coś na kształt ultimatum – mam poprosić o diagnozę, inaczej będą musieli znaleźć kogoś na moje miejsce. Przytakuje grzecznie. Po pierwsze nie mogą się mnie pozbyć tak beztrasko, synchronizacja z nowym proce-

sownikiem zajmie im co najmniej dwa tygodnie. Po drugim, dziś oglądam ich twarze ostatni raz.

● ● ●

A jednak się denerwuję. Gdy leżałem w wannie z żelem, plan był tylko planem. Teraz, na schodach prowadzących do stacji Rondo Daszyńskiego, nie wygląda to już tak prosto.

Pozornie dryfuję wraz z ludzką rzeką spływającą schodami, a tak naprawdę podążam za Jessicą. Nie za blisko, żeby mnie nie zauważyła, i nie za daleko, żeby jej nie zgubić.

Męczy mnie pytanie, czy ktoś mnie monitoruje albo chociaż sprawdza, czy moje zachowanie nie zdradza podejrzanych zamiarów.

I tak nie zamierzam zrezygnować.

Jess jest niska, jej głowa to znika, to pojawia się w morzu innych głów. Po ubraniu też trudno odróżnić – wszyscy nosimy odcienie czerni i szarości. Przepycham się, odprowadzany niezadowolonymi pomrukami. Bliżej krawędzi peronu ścisk. Ludzie opierają się o szklane bariery, które otworzą się dopiero z drzwiami pociągu.

Nie rób tego!

Pierwszy pociąg odjeżdża bez nas, przerzedza nieco tłum. Przepycham się bliżej i teraz stoję tuż za nią. Opieramy się o poręcz na szczycie bariery. Widać już światła w tunelu. Czekam... czekam... Teraz! Popycham jej głowę ponad barierą. Odruchowo szarpie się w tył, ale nie ma szans. Pociąg jest coraz bliżej, dwie sekundy, jedna... Automat prowadzący pociąg trąbi, ale nawet nie próbuje hamować awaryjnie.

Szarpnięciem cofam Jessicę. Pęd powietrza rozwiewa jej włosy. Dziewczyna odwraca się gwałtownie. Czy to już? Przebudziła się? Uśmiecham się do niej, a ona patrzy z przerażeniem. Rozpoznaje mnie, to pewne, lecz wyraz jej twarzy się nie zmienia. Nie pojawia się uśmiech. Dlaczego?

Wyrwa się i odbiega w tłum. Zostaję w miejscu, niczego nie rozumiejąc. Skoro się przebudziła, to czemu ucieka?

Ludzie wokół odsuwają się, tworzą wokół mnie krąg. Są jak torbiel izolująca komórkę nowotworową. Szybkim krokiem przebijam się, wnिकam w tłum. Kawalek dalej nikt już nie wie, co się stało.

Rozglądam się, stoję na palcach. Wyszła ze stacji? Wsiadła do wagonu? Wbiegam na schody, pod prąd, i z góry próbuję ją odszukać. Po ranie, którą wykoilem w tłumie, nie ma śladu. Zagoiła się, jakby nic się nie wydarzyło.

● ● ●

Nie wiem, co myśleć. Może ten incydent jej nie przebudził? A może przebudziła się, tylko jeszcze nie rozumie, co się z nią dzieje? Po przebudzeniu trzeba czasu, żeby wszystkie nieprzeżyte wspomnienia wskoczyły na swoje miejsca. I wtedy Jessica przejdzie tę samą drogę, którą przeszedłem ja. I zrozumie, czego jej brakuje. Kogo.

To chwilę potrwa. Cierpliwości.

Nieliczni przechodnie unikają wymiany spojrzeń. Zanurzeni w AR, poświęcają otoczeniu tyle uwagi, ile jest konieczne, by się nie potknąć ani na nic nie wpaść. Przed przejściem przez jezdnię zatrzymuje ich autopilot komplanta. Sygnał „iść/stać” trafia wprost do ośrodka motoryki. Ja muszę o tym pamiętać, bo ja już nie otrzymuję polecenia, tylko słaby sygnał, ledwie sugestię. Komplant nakłada mi na szare otoczenie informacje i ostrzeżenia. Zawsze uważałem je za naturalny element świata, teraz nadmiar bodźców mi przeszkadza. Trudno to wszystko ignorować, jeżeli nie wiadomo, co jest naprawdę ważne. A kto ma zdecydować, co jest ważne? Niestety, ja.

Po prawej nad niższą zabudową starej Woli w niebo strzelają wieżowce. W jednym z tych budynków pracuję, do dziś. Dotychczas były nieistotnym elementem otoczenia. Dziś jednak widok coś we mnie porusza. Smukłe szklane domy w kontrastowym świetle zachodzącego słońca, pod nadciągającymi granatowymi chmurami wyglądają... majestatycznie. Ten widok niczemu nie służy, a jednak sprawia mi przyjemność. Może nie wszystko musi czemuś służyć?

Zaczyna padać. Super! Zmoknę, przewieje mnie, a niedospanie współ z osłabieniem załatwią resztę. Zyskam nieco czasu, nim pojawią się pytania, czemu nie przychodzę do kłastera.

Nie chcę już tam chodzić, Jess po przebudzeniu przecież też tam nie pójdzie.

● ● ●

Czy to może się komuś wydać podejrzane? Że idę piechotą, zamiast wsiąść do metra. Mijam niski budynek i zwalniam krok. Ciepłe światło zza szyb, ludzie piją piwo, rozmawiają. Może wejść, usiąść i odpocząć chwilę? Przez te kilka minut deszcz nie przestanie przecież padać.

Pokusa. Decyzja. Wchodzę.

Drzwi zasuwają się, odcinając mnie od chłodu i wilgoci.

Jak się zamawia piwo? Nie wiem. Nie zamawiałem piwa, samo się zamawiało. Komplant je zamawiał. Z trudem komendomyślą wywołuję menu komplanta. Kiedyś był częścią mnie albo ja częścią jego, teraz muszę wszystkim robić „ręcznie”. Wyświetla się lista opcji, zaślania mi część pola widzenia. Mrugam powieką, kolejnymi komendomyślami żmudnie przechodzę przez pozycje.

Sukces!

Przykładam zimny kufel do opuchniętego policzka i dopiero potem wypijam duży łyk. Smakuję inaczej. Zawsze myślałem, że piwo to piwo. Nie zwracałem uwagi na smak.

Stoliki są tu mniejsze, siedzą przy nich grupy trzy-, najwyżej czteroosobowe. Sami mężczyźni o potężnej budowie fizycznej, ubrani w ochronne stroje robocze, niezbyt czyste zresztą. Czyli deowcy! Garbię się odruchowo. Niepotrzebnie, deowcy są przecież zbyt prymitywni, by cokolwiek zauważyć.

Nie powinno mnie tu być. A jednak nie wychodzę. Piwo jest tu mocniejsze, ma też mineralny posmak, czyli pewnie jego dodatkową funkcją jest regeneracja po ciężkiej pracy. To nasze jest bardziej witaminowe, żelaziste.

Analizuję, co się dzisiaj wydarzyło, i dochodzę do wniosku, że ona się nie przebudziła. Żle się do tego zabrałem. Dałem Jessie impuls, chwilowy stres, ale to nie wystarczyło. To powinna być jej decyzja, a nie podjęta za nią. Zagrożenie życia może być triggerem uruchamiającym świadomość – tę tajną broń ewolucji. Budzi się, kiedy instynkty zawodzą, kiedy dają sprzeczne polecenia albo kiedy uleganie im oznacza katastrofę. Wtedy świadomie potrafimy podjąć decyzję, która zatrzymuje te instynkty. I następuje przebudzenie.

No a Jess nie dokonała przecież żadnego wyboru.

● ● ●

Nadal pada. Zdążyło się już ściemnić, a ja trochę straciłem orientację. Którędy do domu? Stoję przed pubem deowców i patrzę w perspektywę ulicy, na wieżowce. Wokół najwyższych pięter przelatują pojazdy aowców – oni na ziemię schodzą chyba tylko w swoich zielonych osiedlach, daleko za miastem. Wcześniej nie zauważałem tych pojazdów. Nie zastanawiałem się też, jak wyjechać z miasta, nie istniała nawet idea opuszczenia go. Dojechałbym metrem do stacji końcowej, ale co dalej?

Patrzę na wieżowce i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że rano było ich więcej i były wyższe.

Znów pojawia się to dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

Niespodziewanie wraca obraz psa w windzie. I nagle czuję głęboki smutek. Dziwne, czemu śmierć psa bardziej mnie porusza niż śmierć trzynastu osób. Prawie zaczynam płakać. A może płacę naprawdę, a deszcz pozwala ukryć łzy.

Nigdy nie spacerowałem po mieście, a już na pewno nie po trzech piwach. To wyraźnie gorsza dzielnica, budynki są niższe, starsze, niektóre wyglądają na opuszczone. Przechodniów jest mniej, a pokrycie rozszerzoną rzeczywistością – szczątkowe. Wyświetla się mało informacji, nie ma nawet augmentowanej sygnalizacji ulicznej.

Dobra, zgubiłem się. Wywołuję nawigację i wybieram adres z historii. Uuu... daleko. Nawet biorąc pod uwagę to, że chciałem się przeziębici.

● ● ●

Komplant, o dziwo, wyświetla mi trasę, bez pytania o powody. To ta chybocząca się, półprzezroczysta strzałka unosząca się nad chodnikiem. Choć może to nie ona się chybocze. Może to cały świat?

Do celu siedemset metrów.

Czuję dziwną słabość, może zwiastuje upragnione przeziębienie?

Stare betonowe pawilony, piętrowe, bez szyb ani drzwi. Obszar wykłety cyfrowo, nic tu nie ma. Dwa lokale noszą ślady pożaru. Pamiętam ze starych filmów, że takie miejsca powinny mieć ściany pokryte graffiti. Ale teraz nie ma kto mazać po murach – nie ma włóczęgów, nie ma punków, nie ma zbuntowanych dzieciaków. Koncepcja buntu nie ma przecież racji bytu, jeśli każdy śni własny sen.

Trzysta metrów do celu. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek tędy szedł. Nic dziwnego, bo nie znam okolicy mojego mieszkaniowca. Jedynie do stacji metra i z powrotem.

Sto metrów, a nadal nie widać mieszkaniowców. Nawet przy takiej pogodzie te stumetrowe graniastosłupy powinny się doskonale wycinać z nieba.

Jestem u celu, ale to nie jest wejście do mojego mieszkaniowca. Pawilon ma ledwie dwie kondygnacje i jest opuszczony od lat. Spłowiła tabliczka sprzed epoki AR informuje, że to ulica Senna 13. Skąd to miejsce wzięło się w historii nawigacji komplanta?

Ciekawość czy głupota? Wchodzę.

Pod ścianami gruz i tynk, stara technologia. Na podłodze śmieci przywleczone wiatrem. Z samej podłogi wiele nie zostało, plastik się złuszczył, chrząści pod nogami. Tu nikogo nie ma.

– Jest tu kto? – pytam jednak.

Jasne, że nie, tego miejsca unikają nawet szczury.

Z góry dobiega coś jakby szelest. Martwieję. W każdej innej sytuacji już bym uciekał. Ciekawość i alkohol zmieniają priorytety. Udaję sam przed sobą, że nie wejdę po schodach. Wchodzę. Wolno, betonowy pył chrząści pod podeszwami.

Po kilku stopniach czuję lekkie dotknięcie na piszczelu. Przesuwa się cienki drut, gdzieś wyżej słychać brzęk dzwonka. Prymitywny system alarmowy. Ale skuteczny. Czuję się jak w fabule starego filmu.

Zastanawiam się, co to są „stare filmy”. Nie pamiętam, żebym oglądał jakiegokolwiek filmy, ale i tak uruchamia mi się ciąg skojarzeń. I już wiem, czego się spodziewać tam, na górze.

Nora to najlepsze określenie. W przygaszonym do minimum żarze lampy akumulatorowej świecą oczy, intensywnie niebieskie. Gospodarz patrzy na mnie, jakby widział du-

cha. Chyba go obudziłem tym dzwonkiem. Unoszę dłonie. Nie mam pojęcia, skąd znam ten gest, wiem jednak, że oznacza brak złych zamiarów.

Człowiek pochyla się i rozjaśnia nieco światło. Z mroku wylaniają się stare meble, krzywe regały, butle z nieznanymi płynami, zapadnięty fotel, barłóg ze skotłamszonymi kocami. Mężczyzna może mieć czterdzieści lat, a równie dobrze – sześćdziesiąt. Dostrzegam zmarszczki wokół oczu i czapkę naciągniętą na czoło.

– Wróciłeś...? – pyta, a ja się orientuję, że to kobieta.

Zaciska dłoń na przedmiocie, który wygląda jak dzida, taka z muzeum archeologicznego, choć ze współczesnych materiałów.

– Znamy się? – odpowiadam pytaniem.

– Po co przyszedłeś?

– Nie wiem... Nie wiem, co robić. Nawigacja...

Bada mnie wzrokiem, po czym odsuwa dzidę. Nie za daleko. Przysuwam sobie krzesło. Trzeszczy przy najdrobniejszym ruchu, więc się nie ruszam.

Milczymy.

– Trochę zimno – zauważam. – I więcej.

Milczymy.

– Czemu się nie przeniesiesz? Tu jest na pewno dużo wolnych mieszkań.

Kręci głową. Jest w niej jakaś nerwowość. Chciałaby, żebym sobie poszedł. Nie zamierzam. Szukam odpowiedzi, a to jest pierwsze miejsce, w którym możliwe jest w ogóle zadawanie pytań.

– Są albo zamieszkane, albo wyłączone – mówi.

– Wyłączone?

– Kilka razy udało mi się wylać zamek i wejść, ale nie ma po co. W wyłączonym mieszkaniu nie działa nic, nawet wentylacja. Zresztą zawsze po godzinie, dwóch pojawiali się deowcy, żeby naprawić zamek. Tutaj mam spokój.

– Z której jesteś kategorii? Komplant nie działa mi prawidłowo i nie potrafię rozpoznać.

Milczymy.

– Z żadnej – odpowiada po chwili.

– Jak...? – Patrzę na nią podejrzliwie. – Nie można być z żadnej.

*Jesteśmy kosztowni w utrzymaniu,
ale nadal tańsi od maszyn.*

*Sami się produkujemy, sami rośniemy,
a żeby nami sterować,
wystarczy kilka miligramów nano*

– Też tak myślałam. Kiedyś byłam... – zastanawia się – beowcem.

Przez głowę przelatuje mi cień niechęci. Wzdrygam się. Pociągam nosem.

– Wypiłem trzy piwa w pubie dla deowców – wyjaśniam, choć ona nie pyta. – Nigdy wcześniej tyle nie wypilem.

Zapłata palce i zapada się głębiej w barłóg.

– Poczatkowo to wygląda jak przeziębienie. – W jej spojrzeniu dostrzegam coś, co przywodzi mi na myśl szaleństwo. – Objawy są identyczne, bo i przyczyna jest taka sama.

– Chodziłem po deszczu.

Znów kręci głową.

– To nie to. To reakcja organizmu na inwazję obcych mikrobów. W tym wypadku obcego nano. Bo nano są niewiele większe od wirusów.

– Nano?

– Miliardy nanobotów krążą w twoim krwioobiegu. Tworzą komputer o rozmytej strukturze.

– Masz na myśli komplant? – wskazuję palcem potylicę.

– Jest tutaj.

– Kiedyś był. Mały chip i zestaw interfejsów. Teraz tam jest tylko złącze, a komplant to miliardy nano. Miliardy. Profilują je pod twoją kategorię. Są we wszystkim, co jesz, co pijesz. Piwo w twoim pubie jest wypełnione nano, karma w lodówce, odżywki w biurze. Nawet automat na ulicy rozpoznaje twoją kategorię i wydaje ci odpowiedni napój. Wszystko z nano typu C, bo jesteś ceowcem, prawda? Przyjmujesz papkę, która cię formatuje na idealnego ceowca. Nano C opłata twój mózg i przejmuje nad nim kontrolę. Jesteś tym, co jesz. Nazwałam to kiedyś bańką dietetyczną. – Przygląda mi się badawczo. – Pamiętasz, jak się przebudziłeś?

– Spadła winda. Miałem w niej być. Coś mnie powstrzymało i nie wsiadłem. Wtedy się przebudziłem.

– Coś jeszcze?

– Tam był pies. Zrobiło mi się go szkoda. Miał takie spojrzenie... Mogłbym uratować chociaż psa.

– Spadek stężenia nano odblokowuje uczucia i emocje. Wcześniej nie przejąłbyś się losem psa, prawda? Nie odróżniłbyś go od mebla. Więc nie, ta winda nie miała nic do rzeczy. Musiałeś wprowadzić inne nano, wtedy pojawił się konflikt.

– Niczego takiego nie pamiętam.

Wzrusza ramionami.

– To jasne, przecież spałeś całe życie.

– To jak miałbym to zrobić, śpiąc?

Wycofuje się z plamy światła. Błysnęła zapalniczka, syknął podpalany tytoń.

– Może wszyscy się budzą. – Wydmuchuje dym. – Wielokrotnie, ale tylko na chwilę, po czym, przerażeni rzeczywistością, zasypiają ponownie. Bo tak jest bezpieczniej. Kiedyś potrzebowaliśmy świadomości, na pewnym etapie ewolucji, dawała przewagę. Świadomość i wolna wola. Żeby szybko myśleć, unikać nowych niebezpieczeństw, z którymi nie radził sobie instynkt. Ten nagły skok ewolucyjny dał naszym przodkom przewagę nad całą resztą biosfery. Ale teraz to już niepotrzebne. System dba o nasze bezpieczeństwo, karmi nas i nami kieruje.

– Kim ty jesteś...? – pytam.

Nie zwraca uwagi.

– Jedyne, co musimy, to wierzyć w odpowiednie idee. Jednomyślność to cnota, wątpliwość to grzech. Własne zdanie to zbrodnia. Pamiętasz, co cię napędzało przed przebudzeniem?

– Wydajność – mówię po chwili zastanowienia.

Papieros drży w pomarszczonych, drobnych palcach.

– Wydajność i optymalizacja to główne idee ceowców. Bo to idee rządzą ludźmi, nie odwrotnie. Ideożywienie. Beowcy dążą do jakości, deowcy podążają za ilością ukończonych zadań, niekoniecznie perfekcyjnie, i kochają używać siły. Każda kategoria święcie wierzy w te swoje idee i pogardza innymi. Emocje pozostają zduszone i ujawniają się, tylko kiedy na horyzoncie pojawia się inna kategoria. Są jeszcze aowcy, dla których nadrzędną wartością jest władza. No i klasy wyrzutków społecznych: „E”, „F” i dalej.

Dusi papierosa na podłodze. Milczymy.

– Ja początkowo nawet nie wiedziałam, że się przebudziłam. Myślałam, że byłam chora i że wyzdrowiałam. Myślałam, że to choroba przejęła kontrolę nad innymi. Stawiałam na jakiegoś wirusa albo na zmutowanego grzyba z rodziny tych, co zamieniają mrówki w zombi. I miałam rację, choć nie do końca. Łączyłam fakty i przypominałam sobie dawne życie – przecież wcześniej byłam taka sama, obca we własnym mózgu. Gdy zrozumiałam, było już za późno. Zatem już wiesz, że nie wybrałam sobie tego losu. I tobie też nie radzę.

– To co mam robić?

– Łykać papkę, tę przeznaczoną dla ciebie, i nie myśl samodzielnie.

– Ale... mnie już spodobało się to nowe życie. Coś ode mnie zależy.

Wzrusza ramionami.

– Chcesz żyć sam, bez przyjaciół, bez znajomych nawet? Zauważyłeś, że w mieście nigdzie nie ma kamer? Nie są potrzebne, każdy człowiek jest ruchomym terminalem monitoringu. Wszyscy donoszą na wszystkich. Uważają, że tak trzeba, że każdego, kto odbiega od normy ich kategorii, trzeba ukarać, naprawić albo usunąć. I to się stanie z tobą, jeśli z powrotem nie zaśnieesz. Stworzyliśmy system pozbawiony uczuć i litości. System nie pozbył się ludzi, choć mógłby to zrobić bez trudu. Trzyma nas przy życiu z przyczyn ekonomicznych. Jesteśmy kosztowni w utrzymaniu, ale nadal tańsi od maszyn. Sami się produkujemy, sami rośniemy, a żeby nami sterować, wystarczy kilka miligramów nano. Co ty myślisz, że robisz w tym swoim kłastrze? Że procesujesz coś, czego nie potrafią grafenowe procesory? Potrafią, tysiąc razy lepiej i szybciej. Tylko drożej. Jest was tam trzynaścioro, trzynaście omylnych i powolnych mózgów, ale średnia z waszej burzy mózgów jest coś warta. Nawet nie wiesz, co liczysz swoim mózgiem. Może prognozę pogody, a może kształt nowego łóżyska dla kontenera na śmieci. – Mówi coraz szybciej, prawie krzyczy. – Ty nic nie rozumiesz! Nie ma miejsc wolnych od nano! Nie ma enklawy dla przebudzonych, są tylko różne kategorie ludzi z różnym nano we krwi. Bez nano wypadniesz z obiegu, i tyle. Pierwsze znikną mniej ważne elementy świata. Przestanieś zauważać reklamy, informacje w metrze, bo one nie są prawdziwe, tylko nano wyświetla ci je w mózgu, profilowane dla ciebie. Potem, gdy nano będzie ubywać, zaczną szwankować poważniejsze sprawy. Nie zdobędziesz jedzenia, nie wejdiesz do metra, nie zrobisz diagnozy, nie będziesz mógł się leczyć, nie otworzysz nawet drzwi we własnym domu. System przestanie cię zauważać. Będziesz jak niewidzialny. Ludzie przestaną z tobą rozmawiać, a w końcu zgarnie cię Wydział Bezpieczeństwa.

Milczymy, aż złapie oddech.

– Nie możesz przyjmować dwóch typów nano – mówię spokojniej. – Będą się zwalczać w twoim krwioobiegu, a ty będziesz chorował, aż umrzesz. Ale możesz łykać po równo wszystkie typy. Ja tak robię, cały zestaw. Ale od tego nie ma już drogi powrotnej. Muszę pilnować równowagi, symetrii wielowymiarowej. Już zawsze.

Układam to sobie w głowie. Nie zadałem jeszcze najważniejszego pytania:

– Jak można kogoś przebudzić?

Pustelniczka zaczyna się głośno śmiać, odsłaniając trzy ocalale zęby. Ten śmiech, histeryczny, wygląda jak przeciek z innego wątku rzeczywistości alternatywnej.

– Przebudź ich wszystkich!!!

● ● ●
Idę szybko w stronę domu, mijam billboard z reklamą karmy premium dla ligi szmaragdowej. Dlaczego reklamują coś, co jest dostępne dla tak wąskiej grupy? Zatrzymuję się, wpatruję się w billboard.

I wtedy reklama znika. Zostają tylko duże kropki w równych rządkach. Może alkohol zaburza percepcję.

Idę szybko do domu po karmę dla Jessiki.

● ● ●
Relaksator od progu atakuje mnie pozytywnym przekazem. Naprawiony. Czyli ktoś tu był, serwis wezwany przez Opiekunkę, pewnie deowcy.

Otwieram lodówkę i gwałtownie wyciągam ostatni pojemnik z karmą. Czytam opis na odwrocie – w kodzie produktu odnajduję literę „D”. Czyli to pomyłka dostawcy! Od jak dawna jem karmę dla deowców?

Czy to wystarczy? Jedno opakowanie? Po ilu ja się przebudziłem?

Relaksator drażni, nie pozwala zebrać myśli. Sięgam za obudowę i wyrwam przewód.

Jeżeli Jessica ma się przebudzić, muszę podmienić jej karmę. Jak? Przecież nie włamię się do niej. A w sumie, czemu nie?

Błysk kolorów i dźwięki tuż obok! Cofam się i upadam na łóżko. Relaksator działa! A przecież dopiero co wyrwałem kabel. Może jest ich więcej? Łapię krawędź ekranu i ciągnę mocno. Wygina się elastycznie, odrywa się cały i spada na podłogę.

Obraz nie znika, tańczy kolorami w powietrzu. Dźwięk też nie zamiera. Kolory są coraz jaskrawsze, dźwięk coraz głośniejszy. Zatykam uszy, rzucam się do drzwi i komendo-myślą próbuję otworzyć zamek.

– Możesz otworzyć drzwi?! – krzyczę.

Opiekunka milczy.

Drzwi otworzyły się, kiedy wchodziłem, a teraz nie chcą mnie wypuścić. I nagle rozumiem! To współczesna wersja pułapki, jaką kiedyś ludzie zastawiali w jeziorach na głupie raki. Teraz sztuczna inteligencja łapie tak ludzi.

Przyklękam i dotykam futryny na wysokości, na której ukryty jest rygiel. Odrywam plastikową listwę, gmeram wewnątrz. Natrafiam palcem na coś, co daje się wepchnąć głębiej i przesunąć. Drzwi odsuwają się na centymetr. Z trudem otwieram je szerzej i wybiegam na korytarz. Relaksator za moimi plecami miesza świergot tysiąca ptaków w szumem wodospadu. Obraz rusza za mną, sunie w powietrzu w stronę drzwi. Nie uwolnię się od niego! Przecież on istnieje w mojej głowie.

Sięgam do przycisku windy, ale tam nie ma żadnego przycisku, jest tylko fragment ściany wysłizgany tysiącami okłamanych dotknięć.

Relaksator wisi nade mną, coraz większy i głośniejszy. Zbiegam schodami, niemal po omacku, bo tam też nie włączają się lampy. W dłoni ściskam opakowanie karmy. Zasycha mi w ustach. Chyba rośnie gorączka.

Na parterze wyciągam rękę do automatu z napojami, nie dzieje się nic.

● ● ●
Nocą ulice ani trochę się nie wyludniają. Warszawa nigdy nie zasypia, kolejne shifty w kolejnych fabrykach, startkraftach, informatorowniach kończą się i zaczynają, zachodzą na siebie płynnie. Godziny szczytu trwają nieprzerwanie.

Przechodzę przez ulicę z innymi, sam nie dałbym rady – nie widzę już sygnalizacji świetlnej. Z rozszerzonej rzeczywistości zostały mi tylko niektóre reklamy. Cała Warszawa, odarta z warstwy AR, wydaje się szara, jak na starych zdjęciach. Szare budynki, szarzy ludzie, samochody też straciły kolory. Odlażący tynk, zbite szyby.

Pewnie już po mnie przyjechali, funkcjonariusze Wydziału Bezpieczeństwa, i są wkurzeni, że przebudzeniec umknął. Ale to również znaczy, że nie potrafią mnie znaleźć.

A jeśli... nie ma żadnych onych, jest tylko system, piekielnie inteligentny, ale też beżświadomy. Algorytm algorytmów, nasze dziecko, które przerośło rodziców i zapomniało, jak to jest dostrzegać w nich ludzi.

Muszę przebudzić Jessicę.

Głośno kicham, kręci mi się w głowie. Jest coraz gorzej. Najpierw karma. Potem wymyślę wstrząs, który zwieńczy proces.

● ● ●

Znaleźć mieszkanie Jessiki.

Nie mam jak sprawdzić, która to stacja. Mogę polegać tylko na swojej pamięci i jednym zdaniu zasłyszany miesiąc temu. Już wtedy jakaś oporna część mnie przykładała dużą wagę do słów tej jednej najważniejszej osoby. Moja pamięć działa dobrze, ta biologiczna, nie cyfrowe protezy w chmurach.

Nawigacja nie działa, nawet nie wiem, która jest godzina. Niebo nad Pragą różowieje, czyli czwarta, może piąta. Jaka teraz jest pora roku? Nie wiem.

Co było wcześniej? Kim byłem?

A jednak przypominam sobie słowa Jessiki wypowiedziane podczas synchronizacji, że wsiada na stacji Lazurowa. To gdzieś na zachód ode mnie. Zaczekam na nią przed wejściem. Bramki nie wpuszczą mnie do środka, komplant już nie działa. Ale to dobrze, nie mogą mnie śledzić.

Pytam mijanego człowieka:

– Przepraszam, czy dojdę tędy do stacji Lazurowa?

Wyrwany z limbo, patrzy na mnie obojętnie, po chwili z nutą obawy. Nawet nie zwalnia. Następni tak samo. Pewnie nie rozumieją sensu pytania, każdy po prostu gdzieś idzie i nie zastanawia się nad tym gdzie. To jakbym ich pytał, jak się oddycha.

Czy ich komplanty ślą już do systemu automatyczne donosy na moje dziwne zachowanie? Przyspieszam kroku. Dochodzi do mnie, że właśnie tak zwracam na siebie uwagę. Idę więc wpatrzony w ziemię. Łypię tylko na innych, przelotnie. Czasem ktoś rzuci równie przelotne spojrzenie i zaraz ucieka wzrokiem.

Czy to oznacza, że jest nas więcej?!

Coś wokół mnie się zmienia, jakiś ruch. Słońce przebiega się przez szczelinę między starymi kamienicami. Czterech przechodniów jednocześnie porzuca swoje trajektorie i skręca w moim kierunku. Pies na smyczy ciągnie w moją stronę, warczy gardłowo.

I już na nic ta cała moja świadomość, która wyewoluowała, żeby unikać nieznanym wcześniej niebezpieczeństw.

● ● ●
Idę ulicą w poszukiwaniu stacji Lazurowa. Zaczekać tam na Jessicę.

Kaskady niechcianych myśli przepływają przez głowę, wysysane z czeluści pamięci. Kto wysysa? Nie ja przecież. Film puszczonej od tyłu, najpierw nowe wspomnienia, potem coraz starsze.

Niszczę relaksator. Gniew i irytacja zajmują miejsce bezsilności.

Nie mogę się ruszyć, motoryka jest wyłączona.

Popycham głowę Jessiki ponad barierą, wprost przed nadjeżdżającym pociąg. Ktoś pociąga mnie za łokieć, uderza pięścią w twarz.

To nie są zwykłe wspomnienia, zbyt wiele w nich szczegółów. Pamięć tak przecież nie działa.

Jest jakieś przebicie, bo słyszę przytłumioną rozmowę. Przenika po łączu.

– System zadecyduje, co dalej, kiedy będzie miał pełne dane. Na razie widzę nano D... podrobione.

Obraz rusza za mną, sunie w powietrzu.

Sięgam do przycisku windy,

ale tam nie ma żadnego przycisku,

jest tylko fragment ściany wysłizgany

tysiącami okłamanych dotknięć

– Pomyłka dystrybucji karmy?

– Nie, to kamuflaż. To nano tylko udaje D. Łykał tę propagandę co najmniej od kilku dni. Nieźle się wgrzyzło. Duże stęzenie. Każdemu by odwalilo.

– Już się wypłukują. Za kilka dni nic byśmy nie wykryli.

Wind jest trzynaście, jedna ma spaść. Nie wiem która.

To wspomnienie było wtedy niedostępne.

Skąd więc wiem, że jedna spadnie? Nie mam pojęcia. *Pies patrzy na mnie wściekłymi oczami i szczerzy kły. Poczul coś, do czego był szkolony. Zatrzymuję się na widok tych kłów, nie wsiadam do windy.*

Wreszcie wiem, co się ze mną dzieje. Leżę w wannie wypełnionej żelam chłodzącym. Ale to nie praca, nie procesuję, teraz to ja jestem procesowany. Rozmowa skanowników to odpływa, to powraca falami.

– To pewne, przekabacili go. Symetryści nie odpuszczają.

Dziwne, że się go nie pozbyli.

Patrzę w górę. Dwa metry wyżej, w rozsuniętych stalowych drzwiach widzę twarz Jess z szeroko otwartymi oczami. Powrót spojrzenia w dół, na moje dłonie mocujące kompaktowe ładunki wybuchowe do mechanizmów zabezpieczających windy.

– Rzeczywiście, dziwne, że się go nie pozbyli. Zwykle robią to od razu, to część algorytmu. Sprawca ginie z ofiarami. I nie ma śladów, nie ma kogo czytać.

– Tym razem coś im nie pykło.

– Ano nie pykło.

Na próbę ruszam małym palcem u lewej ręki. Trę nim o palec serdeczny, żeby się upewnić, że ruch nie jest złudzeniem. To samo robię stopą, potem minimalnie przekręcam głowę i czuję, jak kabel wpięty w potylicę przesuwa się. Trzymają mnie tylko podstawowe blokady. Skanownicy nie wzięli pod uwagę, że spędzam jedną trzecią życia na procesowaniu. Być może potrafiłbym z mojego poziomu przeprowadzić operację wyjścia. Nie zrobię tego. Muszę współpracować dla dobra swojego i ogólnego.

Nora, choć na pierwszym piętrze. Człowiek w kapturze bez słowa wyciąga rękę, widzę szczupłe palce, to kobieta. Odbieram zawinięte w materiał trzy małe pakunki. Kobieta dotyka palcem wierzchu mojej dłoni, a seria nanosekundowych impulsów elektrycznych przesyła do mojego komplanta informację, gdzie i jak umieścić ładunki.

– *Przebudź ich wszystkich* – mówi.

– Nano symetrystów. Nowe algorytmy, dopracowali to. Nadpisało się nad wszystko inne.

– Wybrali go, myślisz?

– Nie, losowy strzał. WB nie śpi. Celowanie to dodatkowe ryzyko.

– Miał pecha.

– Miał pecha. A suma cyfr w jego ID to trzynaście. Ironiczne.

Otwieram lodówkę, wyjmuję pojemnik z wieczorną karmą. Siadam na kanapolózku i oddaję się rytuałowi przyjmowania pozytywnego przekazu z relaksatora.

Hm, moja karma smakuje inaczej niż zwykle.

– Utylizacja czy recykling? Ma dobre parametry, może nawet na beowca. Można by go zresetować. Nowe ID, nowa pamięć, nada się jeszcze.

– To terrorysta. I próbował pozbyć się świadka. Usiłowanie morderstwa na stacji metra.

– Losowa sprawa. Trafiło na niego, a mogło na każdego. Sam byś tańczył, jak by ci zagrały algorytmy. System zadecyduje. Zaraz skończę wprowadzać wyniki analizy.

Synchronizacja w pubie. Moje piwo smakuje inaczej niż zwykle.

– Jest decyzja.

Niemal przyjemne kliknięcie wypinanej wtyczki, przez mózg przebiega chwilowy skok potencjałów na wejściach interfejsu. Powoli odpływam w błogą ciemność.

● ● ●
Jadę na mój shift. Z radością. Wagony czwartej linii metra są optymalnie wypełnione. Nie ma miejsc siedzących, ale nie ma też tłoku. Wolne miejsca oznaczałyby marnotrawstwo energii elektrycznej. Pociąg waży przecież więcej niż pasażerowie, a trzeba go rozpędzić i zatrzymać na każdej stacji. To obca myśl, jakby z innego życia. Usuwam ją z głowy, a raczej coś usuwa ją z mojej głowy. Od razu czuję się lepiej. Stoję, po prostu stoję, bo nie ma wolnych miejsc. Taka myśl jest w porządku. Wszystko jest w porządku.

Peron. Schody. Chodnik. Idę po równej powierzchni obok równych ścian czystych budynków. Patrzę na ziemię, na strzałkę nawigacji, która prowadzi mnie do celu. Nie myślę o niczym konkretnym. Jeszcze nie wiem, jakie dziś otrzymam zadania.

Autonomiczna furgonetka stoi zaparkowana w połowie Alei Ujazdowskich. Wewnątrz czeka cały niezbędny sprzęt. Bez zbędnej zwłoki zabieram się do pracy. Dziś wymieniamy moduły w tych czarnych skrzynkach przy skrzyżowaniach. Pytanie, do czego służą te skrzynki, pojawia się i od razu znika. Coś je znika. Zapominam. I to jest w porządku. Nie wiem, do czego służą, i nie obchodzi mnie to. Trzeba odkręcić sześć śrub, wyjąć stary moduł, włożyć nowy, podłączyć wszystkie wtyczki i przykręcić sześć śrub. Pracujemy we trzech, bo moduły są ciężkie. Nie rozmawiamy, nie ma potrzeby. Wiemy dokładnie, co mamy robić. Mój wewnętrzny głos podpowiada mi każdy kolejny ruch. To bardzo przyjemne.

Sto metrów dalej ceowcy wchodzi do szklanego budynku. Te nieroby siedzą całe dnie w klimatyzowanych biurach sto metrów nad ziemią i nie wiedzą, co to prawdziwa praca. Zdechliby po dwóch dniach, gdyby nie my.

Praca deowca nie jest lekka, ale nie narzekam, lubię wysiłek. Czeka na mnie zimne piwo w pubie i potem jeszcze godzina z relaksatorem.

Cudowne, beztroskie życie. ●

London / Warszawa / Katania 2023



FOT. KLAPI / DOMENA PUBLICZNA

*Rafał Kosik

• pisarz, wydawca, autor bestsellerowego, opowiadającego o paczce przyjaciół, nastoletnich nerdów, cyklu dla młodzieży „Felix, Net i Nika” oraz serii przygodowo-kryminalnej dla młodszych dzieci „Amelia i Kuba”.

W „dorosłym” dorobku ma ambientne, niepokojące powieści s.f. – „Mars”, „Vertical”, „Kameleon” i „Różaniec”. Współprowadzi wydawnictwo Powergraph, publikujące m.in. Radka Raka, Wita Szostaka i Roberta M. Wegnera. Niedawno ukazała się jego najnowsza książka, umieszczony w świecie słynnej polskiej gry „Cyberpunk 2077. Bez przypadku” – dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

FOT. DOMENA PUBLICZNA

weekendówka
86

ZGODA W CHMURACH

21 stycznia 1976 roku z lotniska Heathrow w Londynie i paryskiego Orly w swoje dziewicze loty rejsowe wystartowały dwa niezwykle samoloty. Ten pierwszy zmierzał do Bahrajnu, drugi do Rio de Janeiro (z międzylądowaniem w Dakarze). Dość szybko uporały się z dystansem, skracając czas lotu na tych trasach o ponad połowę.

Nic w tym dziwnego, skoro osiągnęły prędkość przelotową 2172 km/h. To znacznie szybciej niż prędkość dźwięku wynosząca 1224 km/h. Ale wszak mówimy o ponaddźwiękowych concorde'ach, chyba najsłynniejszych obok jumbo jetów, czyli boeingów 747, samolotów pasażerskich świata.

Barierę dźwięku jako pierwszy przekroczył Amerykanin Charles Elwood Yeager. 14 października 1947 roku dokonał tego, pilotując samolot Bell X-1. Dość szybko zrodziła się potem idea wykorzystania maszyn ponaddźwiękowych do przewozu pasażerów. Do rywalizacji stanęły USA, ZSRR oraz Wielka Brytania i Francja. Prace w tych dwóch ostatnich były już dość zaawansowane, ale z powodu rosnących kosztów Brytyjczycy i Francuzi połączyli siły. Oba państwa podpisały umowę, a żeby podkreślić wagę porozumienia, wspólny projekt nazwano Concorde, co w obu językach (ang. concord) oznacza zgodę.

Concorde po raz pierwszy wystartował 2 marca 1969 roku. Wcześniej, 31 grudnia 1968 roku, Rosjanie poderwali w powietrze swoją ponaddźwiękową maszynę pasażerską Tu-144 wyglądającą bardzo podobnie do concorde'a, stąd podejrzenia o szpiegostwo przemysłowe. Dlatego zachodnia prasa ochrzciła ją „Konkordski”. Amerykanie, którzy pracowali nad boeingiem 2707, wcześniej porzucili swój projekt.

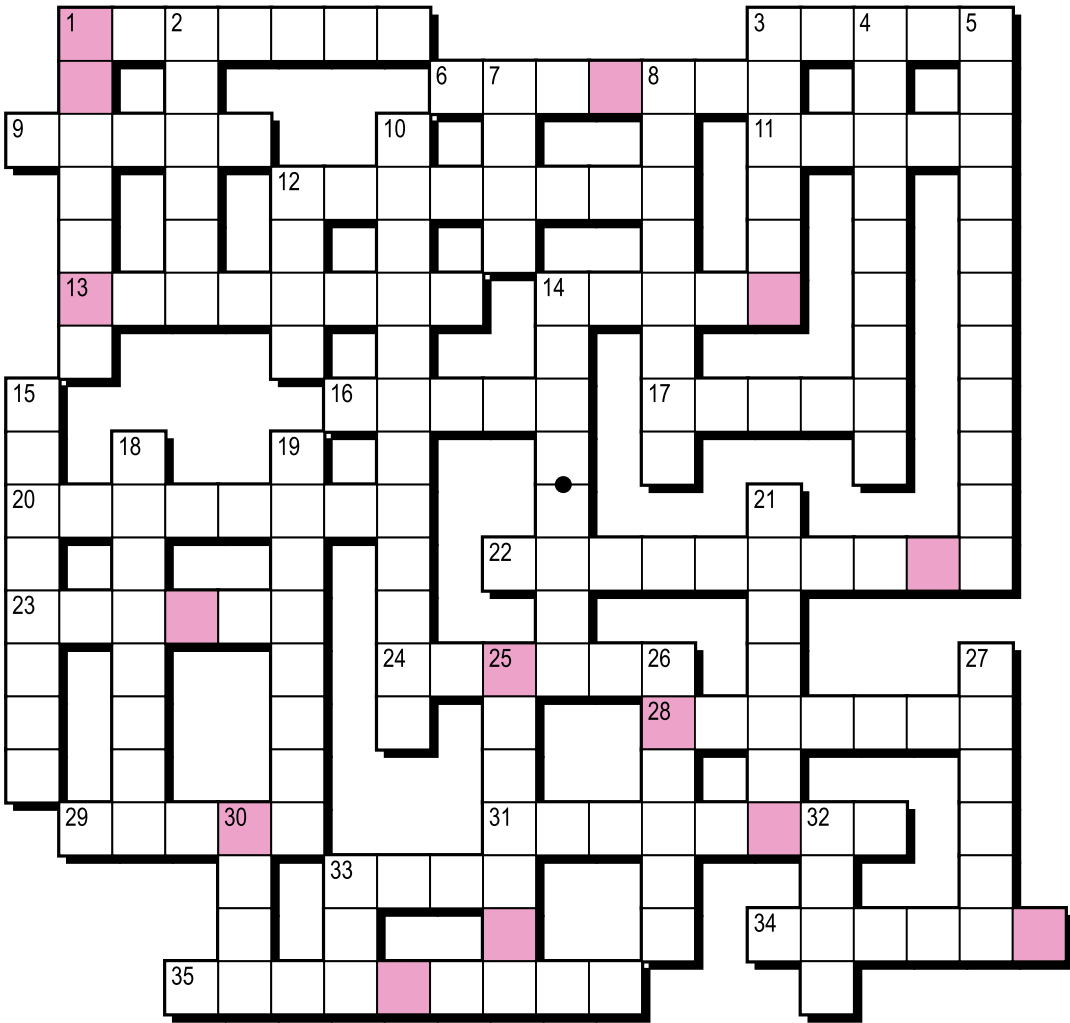
Rosjanie wyprzedzili też „aliantów”, jeśli chodzi o wprowadzenie samolotu do regularnej służby, ale w pierwszy lot pasażerski Tu-144 poleciał później – 1 listopada 1977 roku, z Moskwy do Alma Aty. ZSRR wygrał też inny wyścig – szybciej wycofał samolot z regularnych oficjalnych rejsów, bo już w 1978 roku.

Tu-144 był bardzo awaryjny i drogi w użytkowaniu. Concorde zawodny był dalece mniej, lecz koszty jego lotów były również wysokie. Liniom lotniczym bardziej opłacało się przewozić pasażerów tradycyjnymi samolotami, które zużywały mniej paliwa, a zabierały na pokład znacznie więcej osób.

Ostatni komercyjny lot concorde'a odbył się 24 października 2003 roku z lotniska JFK w Nowym Jorku do Londynu. Na pokładzie było stu pasażerów, w tym aktorka Joan Collins.

W dzisiejszej „Weekendówce” oddajemy hołd concorde'om, niezwykłym maszynom. I tym istniejącym, i tym, które powstały w wyobraźni artystów. W drogę zatem! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 85 z 13.01:

Poziomo:
2) Joker 6) Batura
10) snajper 12) Mickiewicz 13) Ryba 14) Atari
15) Hannibal 17) Real
18) Dmowski 20) Brunner 24) Kasparow
25) wojna 26) Tonya
27) prestiż 28) diabeł
30) Floyd 31) łotr
33) Wellington 37) Lord Voldemort 40) tetrycy
41) Sherlock 42) kot i pies

Pionowo:
1) Tusk 2) James Bond
3) Ryszard 4) pepsi
5) Ferrari 7) Adidas
8) Maradona 9) Kielce
11) Pawlak 16) Neron
19) Superman
21) Ronaldo 22) Montgomery 23) Tom i Jerry
24) Katy 29) Edison
32) rajdy 34) Neo
35) Kloss
36) Tutsi 38) Dick
39) Reno
HASŁO:
WALKA O PRYMAT

NIEZWYKŁE MASZyny

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1) ... Śpiewa, nagrał „Maszynkę do świerkania”
3) ... Miller, Amerykanin, konstruktor pierwszego kombajnu z ostrzem zamontowanym przed kierowcą
6) pojazd, którym można odjechać lub odpłynąć
9) marsjański ..., np. Curiosity lub Perseverance
11) ... kosmiczna, np. Voyager 2 albo Mariner
12) przejął funkcje telefonu i podręcznego komputera
13) niezwykle pojazd z XI księgi przygód Tytusa, Romka i A'Tomka (skojarz z żelazkiem)

- 14) zdalnie sterowane bezzałogowce
16) ... VR (wirtualnej rzeczywistości), zakładane na oczy
17) zaczęli od mikrokomputerów, oferując iPhone'y
20) imię włoskiego geniusza epoki renesansu, malarza i wynalazcy (m.in. maszyny wojenne)
22) genetyczne kopii-wklej
23) ziemia-ziemia albo ziemia-powietrze, naszpikowany nowoczesną technologią, odporny na zakłócenia GPS
24) termowizyjne, monitoringu, cofania
28) superszybkie, mkną z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę (np. TGV)

- 29) koncern kojarzony z autami elektrycznymi
31) Wielki ... Hadronów, akcelerator cząstek w CERN-ie, podobno największa maszyna świata
33) wybierane przez gracza lub przez lottomat (na chybił trafił)
34) efektywne urządzenie, nierzadko najnowsza zdobycz techniki
35) wariograf, czyli ... kłamstw

Pionowo:

- 1) skojarz: sztuczna inteligencja, OpenAI, dialog
2) niemiecka maszyna szyfrująca z czasów II wojny światowej
3) ich więzki mają szerokie zastosowanie m.in. w medycynie, obróbce metali, telekomunikacji
4) chroniony patentem

- 5) dużo więcej niż zwykłe zegarki na rękę
7) wielka piątka przedsiębiorstw IT: Google, Apple, Amazon, Microsoft i ...
8) poczęstuj go PIN-em, a odwdzięczy się gotówką
10) zajmuje się konstruowaniem mechanicznych malarstw, które pomogą m.in. w diagnozowaniu chorób
12) walczyła z nim maszyna cyfrowa z bajki Stanisława Lema
14) komputer grający w szachy, zbudowany przez firmę IBM
15) w dziełach science fiction: urządzenie do przenoszenia obiektów w przestrzeni
18) rewolucyjny naddźwiękowy samolot pasażerski

- 19) ... 3D, umożliwiała projektowanie i wykonywanie prototypów maszyn, modeli, części zamiennych, skomplikowanych kształtów
21) nazwa lotnictwa w czasach, gdy szczytem techniki był zeppelin
25) pracować jak ... (szybko, równo, bez chwili wytchnienia)
26) ultrasonograficzny, fotograficzny lub rentgenowski
27) przenośne urządzenie do czytania e-booków i e-gazet
30) ... w kosmos, z wykorzystaniem pojazdów naszpikowanych ultranowoczesną technologią
32) wehikuł ..., jak dotąd niewymyślony (wpisujemy w mianownik)
33) ... ruchu satelity, czyli orbita

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34295017

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play